

JAKUB CZARNY

PAN SAMOCHODZIK I „LALKA”

PS 88

JAKUB CZARNY
PAN SAMOCHODZIK I „LALKA”

PS 88

WSTĘP

Bolesław Prus naostrzył pióro. Wielki pisarz zerknął przez okno na ogromny Place de La Nation i westchnął z bólem. Każdorazowe przejście przez ogromną przestrzeń powodowało skurcz serca i napięcie wszystkich mięśni.

- Muszę napisać do Ochorowicza... - powiedział cicho do siebie.

Zamoczył pióro w kałamarzu. Strzepnął nadmiar atramentu i zaczął:

Kochany Julku!

Paryż nie imponuje mi. Miasto kolosalne, strasznie ruchliwe. Wszystko tu olbrzymie, ulice po kilka wiorst, place niby pola, domy po 6 pięter, pomniki jak domy, nareszcie Wi eża Eiffla! Ale te ulice są brudne i śmierdzą, kamienice podobne do siebie jak krople wody i nudne. Zdumiewa ruch na bulwarach środkowych, od kościoła St. Martin i St. Denis. Istotnie - ludzi i powozów tyle, jak u nas przy powrocie z wyścigów. Ale i to prędko nuży.

Przy okazji zwiedzania bulwarów byłem wczoraj znów w miejscu, o którym pisałem Ci w ostatnim liście. Papiery wiadome spaliłem. Powiedz o tym F. P., dr. S. i W. - odetchną pewnie z ulgą, jak ja i Ty.

Jestem trochę rozklejony podróżą i Paryżem, i nawet nie odchodzę od domu. Próbują mnie tu leczyć z agorafobii. Na szczęście przestudiowałem plan miasta i wiem, gdzie są mosty, tak, że nikt mnie nie przechytrzy i zawsze zdążę wysiąść z tramwaju, zanim wjedzie nad tę przeklętą rzekę. Musisz się znowu zająć moją biedną głową, Julianie! Muszę znowu wejść na ścieżkę zdrowia! Jeżeli uda mi się wejść na tę drogę zupełnie, kupię Ci, gdy przyjedziesz do mnie, funt jabłek krajowych, pod warunkiem, ażebyś je zjadł.

Przerwał na chwilę, uśmiechnął się do siebie. Przymknął oczy i odchylił się na krześle. Pod powiekami ukazał się znowu kominek, do którego wczoraj wrzucił ukryte w skrytce dokumenty. Patrzył z radością i wracającym spokojem, jak przeklętą listę trawi ogień. A potem poszedł bulwarami do domu. Światła latarni rozświetlały ulice, świeżo skropione deszczem. Ludzie spacerowali pod rękę wzdłuż zastawionych różnymi dobrami wystaw sklepowych. On też spacerował. Odprężony, pierwszy raz w Paryżu wolny od lęku przestrzeni. Lęk co prawda powrócił następnego dnia rano, ale radość i spokój pozostały. Otrząsnął się ze wspomnień i wrócił do pisania:

Nie, ja nigdy już nie będę podróżnikiem, gdyż za dużo mam nie ludzkiego, ale zwierzęcego przywiązania do moich kątów, I zdaje mi się, że wolalbym ńędzę tam, aniżeli rotszyldowski majątek za granicą.

Reasumując moje wrażenia powiem; najwięcej zachwyca mnie w Paryżu to, że już za kilka dni wyjadę.

Ściskam Cię serdecznie

Twój Al.

Paryż 30/VIII 1895

Adres: Paris, Avenue du Trone. N 2

Dr J. Zieliński pour AL GL

Prus włożył list do koperty i zaadresował.

- No, będę chyba musiał się znowu przejść przez ten plac - powiedział do siebie, ciężko

wzdychając. - Julek nie będzie przecież czekał na pocztę!

ROZDZIAŁ PIERWSZY

TAJEMNICZE OGŁOSZENIE * MISTRZI UCZEŃ * DZIWNE MIESZKANIE * IGNACY RZECKI * DOMEK REYMONTA * GDZIE JEST PROFESOR? * WIADOMOŚĆ Z AUTOMATYCZNEJ SEKRETARKI * TELEFON DO PANA SAMOCHODZIKA

„Sprzedam rękopis dwóch nieznanych rozdziałów »Lalki« Bolesława Prusa” - Andrzejowi Węgiełkowi, doktorantowi na Wydziale Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego aż zaschło w ustach, kiedy przeczytał to ogłoszenie w gazecie. Szybko sięgnął po telefon, ale równie szybko zrezygnował, bo zorientował się, że przy ogłoszeniu nie ma telefonu. Był tylko adres. I to w samym centrum.

Wiosna była ciepła tego roku, dlatego wysiadł już w połowie Nowego Świata i postanowił przejść się na Krakowskie Przedmieście piechotą. Oddychał głęboko, ale wkrótce po wyjściu z autobusu zapalił papierosa. „Chyba będę musiał rzucić palenie, bo przestaję czuć cokolwiek” - pomyślał. Przebiegł ulicę Świętokrzyską i szedł dalej, wzdłuż domu, z którego kiedyś rosyjscy żołdacy wyrzucili fortepian Chopina, co w swoim sławnym wierszu opisał Norwid, a o czym przypominała tablica wmurowana w ścianę dzisiejszego Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych. „Pomyśleć, że taki genialny poeta jak Norwid nie ma jeszcze w Warszawie pomnika” - zamyślił się, patrząc na tablicę z popiersiem poety, która miała zastąpić monument.

Doszedł wreszcie do miejsca, o którym mowa była w ogłoszeniu.

Kiedy wchodził w bramę i poprawiał wciąż opadające spodnie, zdziwił się, że osoba, która chce sprzedać rękopisy Prusa mieszka akurat w bramie, w której wielki pisarz ulokował dom Ignacego Rzeckiego.

Świadczyła o tym umieszczona w bramie tablica:

**TU MIESZKAŁ IGNACY RZECKI
POSTAĆ POWOŁANA DO ŻYCIA PRZEZ BOLESŁAWA PRUSA
W POWIEŚCI PT. „LALKA”
BYŁY OFICER PIECHOTY WĘGIERSKIEJ,
UCZESTNIK KAMPANII ROKU 1848
HANDLOWIEC
SŁAWNY PAMIĘTNIKARZ
ZMARŁY W ROKU 1879**

Klatka schodowa pachniała trochę jak antykwariat, trochę jak szalety na jakimś prowincjonalnym dworcu kolejowym. „To zupełnie typowe dla tego miasta - pomyślał Andrzej - z wierzchu wszystko jest bardzo zadbane, ale to tylko dekoracja, którą podtrzymują spróchniałe deski”.

Mieszkanie, którego szukał, znajdowało się na drugim piętrze. Zadzwoił. Zaczekał. Zadzwoił jeszcze raz. Dopiero za trzecim razem oczko judasza wypełniło się blaskiem, Andrzej usłyszał dźwięk otwieranego zamka i w szparze drzwi ujrzał wydłużoną, pomarszczoną twarz właściciela

lokalu.

- O co chodzi? - gospodarz otworzył wysuszone usta, broda z przerzedzonym, żółtym od tytoniu zarostem zatańczyła, jakby dolna szczęka była przyczepiona do twarzy sznurkiem. - Kim pan jest?

- Przyszedłem kupić rękopis Prusa - odpowiedział Andrzej.

- No to się pan spóźnił. Do widzenia - powiedział chrapliwie starzec i zatrzasnął drzwi.

Andrzej nie dał za wygraną.

- Niech pan mi otworzy - krzyknął - muszę o coś zapytać! - zaczął uderzać pięściami w drzwi, które na pierwszy rzut oka wyglądały jakby miały się za chwilę rozpaść, a okazały się bardzo twarde.

Po chwili musiał przestać i skulony rozcierał obolałe i zaczerwienione kanty dłoni.

Drzwi uchyliły się znowu i ze środka odezwał się tym razem czysty, niemal metaliczny głos:

- Wchodź pan.

Od progu pomyślał, że doskonale zna ten dom. Uwielbiał „Lalkę” Prusa, uważał ją za najlepszą polską powieść wszechczasów. To przekonanie dzielił z profesorem Czesławem Jordankiem, swoim przełożonym. To była zresztą ich jedyna wspólna cecha. No, jeszcze uwielbiali słodczyce. Poza tym różnili się od siebie całkowicie.

Profesor, chociaż dawno przekroczył sześćdziesiątkę, ciągle dbał o wygląd. Szary garnitur, elegancki krawat ze złotą spinką, w butonierce goździk. Wygląd doskonale odzwierciedlał jego charakter. Profesor był precyzyjny. Zanim sformułował jakąś teorię, zbierał ogromną ilość materiału, przygotowywał fiszki, zastanawiał się całymi dniami nad źródłami, które zgromadził. Pisał trzema piórami. W każdym miał inny atrament - czarnym odpisywał na listy i robił notatki, zielonym zaznaczał najważniejsze dla siebie rzeczy, czerwonym pisał w swoim notatniku i indeksach studentów. Chociaż szanowano go powszechnie za osiągnięcia w badaniach nad pozytywizmem, podziwiano za wiedzę i to jak prowadził seminaria dyplomowe, studenci nie lubili jego wykładów. Kiedy stawał na katedrze, zniknął jego spokojny ton, ręce zaczynały mu drżeć, a na czole pojawiały się kropelki potu, nawet jeśli był środek stycznia. Czytał z kartki i z wykładu na wykład na jego zajęciach było coraz mniej studentów.

Andrzej Węgiełek był przeciwieństwem profesora. Nienawidził bibliotek, uwielbiał czytać w domu. Od pięciu lat nie mógł napisać książki, która pozwoliłaby mu zostać doktorem. Zdołał za to opublikować dwa tuziny artykułów, ale nad żadnym nie pracował dłużej niż trzy dni. Pisał poobgryzаныmi długopisami, które gubił. O wygląd nie dbał prawie wcale. Często opadały mu spodnie. Jego ulubionym ubraniem do pracy były dżinsy i koszula. Okulary miał zawsze brudne. Kiedy jednak wstępował na mównicę, zmieniał się całkowicie. Opowiadał z zacięciem o powiązaniach pomiędzy dziełami literackimi z różnych epok. Jego wykłady cieszyły się taką popularnością i sławą, że zapraszano go nawet czasami na inne uczelnie, żeby opowiedział o wpływach Biblii na Dostojewskiego, motywach roślinnych w poezji arabskiej, wpływie japońszczyzny na modernizm czy ewolucji powieści na przestrzeni wieków. Pomimo tych różnic i uwielbienia profesora Jordanka dla dyscypliny rozmawiali długo, często się kłócąc, a profesor traktował swojego doktoranta tak, jak mistrz traktuje zdolnego czeladnika. A więc od razu poznał ten dom. Dom Ignacego Rzeckiego, taki, jakim go przedstawili scenografowie w serialowej „Lalce”. Nie miał czasu na przyglądanie się dziewiętnastowiecznym sprzętom, zauważył tylko gitarę wiszącą na ścianie. Znacznie ciekawiej prezentował się bowiem gospodarz. Był to człowiek wysoki.

Twarz, której teraz można się było przyjrzeć dokładnie, wyglądała jakby ktoś przerysował ją z ryciny przedstawiającej służącego z XIX wieku. Łysa, wydłużona czaszka. Po bokach siwe

bokobrody i broda, która pokrywała tylko podbródek. Nos długi i prosty. Na nosie małe okulary. Właściciel mieszkania miał na sobie szlafrok. W ręku, odzianym w rękawiczkę bez palców, chroniącą zapewne przed zimnem, trzymał dymiącą fajkę.

- Napije się pan herbaty? - spytał z uśmiechem ukazując swoje żółto-czarne od tytoniu zęby.

Kiedy Andrzej skinął potakująco głową, gospodarz pochylił się, zapraszając młodego naukowca do środka gestem bardziej podobnym do wyuczonych ruchów służącego niż szlachcica, za którego usiłował uchodzić.

- Z cytryną? - krzyknął z mikroskopijnej kuchenki na końcu przedpokoju, kiedy młody polonista sadowił się w fotelu.

- Dziękuję, tylko z cukrem, jeśli można - odpowiedział zapytany.

Czajnik zagwizdał i na stole pojawił się samowar, herbata w szklankach, z kawałeczkami cukru na spodkach oraz ciasteczka, a gospodarz, przebrany tymczasem w staromodny garnitur i dziwnie nie pasujące do jego ubioru oficerki, usiadł naprzeciwko Węgiełka. Andrzej chciał zacząć mówić, ale nie zdążył nawet otworzyć ust, bo gospodarz powstrzymał go ruchem ręki i sam przemówił.

- Widzi pan - jego ton był znacznie sympatyczniejszy niż przy drzwiach - bardzo nie lubię jakiegokolwiek rozgłosu, nawet jeśli miałby to być tylko rozgłos w bardzo niewielkich kręgach naukowców, dlatego tak bardzo chronię prywatność. Mam swoje rozmaite dziwactwa, żyję jakby sto lat temu, dla mnie czas nie płynie wcale. Nie potrzebuję, żeby ludzie pokazywali mi sobie palcami na ulicy i dlatego nie chciałem pana wpuścić. Później jednak - staruszek pociągnął łyk napoju ze szklanki i zagryzł kostką cukru - kiedy przyjrzałem się panu lepiej, rozpoznałem w panu osobę, o której opowiadał mi jeden z moich znajomych. I dlatego pan tu siedzi.

„Ciekawe kto?” - pomyślał Andrzej. „Przecież ty nie masz żadnych znajomych”.

- Niestety, rękopis, o który pan pyta, nie jest już w moim posiadaniu. Sprzedałem go przed godziną.

- Ale może chociaż pan pamięta, o czym to było? Przecież musiał pan to czytać - prawie krzyknął na starca Andrzej.

- Widzi pan, ja jestem tylko pośrednikiem. Tak naprawdę znam tylko pewne informacje, które mogą pomóc w odnalezieniu rękopisu, ale gdzie dokładnie znajduje się manuskrypt, nie wiem.

- Więc może mi pan powie, gdzie go szukać. Zapłacę panu.

- O... - na twarzy gospodarza pojawił się złośliwy uśmiech - Sądząc po pańskim wyglądzie ma pan problemy z zapłaceniem za mieszkanie, a co dopiero mówić o antykach. Wie pan, ile jest wart fotel, na którym pan siedzi, i który - jeśli nie przestanie pan się tak strasznie wiercić - zaraz się rozpadnie?

- Panie, panie... - Andrzej Węgiełek spoglądał wściekle na swego rozmówcę - pan mnie obraża!

- Niechże się pan uspokoi - odpowiedział z uśmiechem gospodarz. - Ile ma pan pieniędzy w portfelu?

Andrzej przypomniał sobie, że wybrał dzisiaj z bankomatu 300 złotych, którymi mieli zapłacić z dziewczyną za mieszkanie.

- Dwieście pięćdziesiąt złotych - odpowiedział.

- Dobrze, więc za trzysta złotych, podam panu rysopis człowieka, który kupił od mnie informacje o miejscu ukrycia rękopisu. Niechże się pan nie czerwieni, mnie nie można okłamać. Wiem, że się pan zgodzi. Proszę o pieniądze - ostatnie zdanie zostało wypowiedziane znowu tym samym metalicznym, nie znoszącym sprzeciwu tonem co przy drzwiach.

Starzec wziął do ręki sześć banknotów pięćdziesięciozłotowych, poślinił palec, policzył pieniądze, podrapał się w zarośnięte włosami, wydłużone ucho, uśmiechnął z zadowoleniem i zaczął mówić:

- Widzi pan, to był bardzo elegancki człowiek. Nosił bródkę jak konkwistador. Całkiem siwą. Jego głowa była podobna do odwróconej gruszki. W klapie miał goździk. Ho, ho! Widzę, że kogoś przypomina panu mój opis - powiedział gospodarz, obserwując Andrzeja, który wstał z fotela i zdecydowanym krokiem zmierzał do drzwi - Ale proszę poczekać do końca, chcę uczciwie zarobić swoje trzysta złotych. Więc człowiek ten wypisał mi czek, to bardzo dziwne, ale miał aż trzy pióra. I to zdaje się każde z atramentem innego koloru - czek wypisał zielonym, ale miał chyba jeszcze czerwony i czarny... Ooo! Już pan wychodzi? Nie wypił pan herbaty...

Ale Andrzej nie słuchał. Biegł już w stronę drzwi. Zatrzymały go dopiero słowa starca.

- Dobrze pan myśli, Węgiełek, to był profesor Czesław Jordanek.

Po plecach Andrzeja przebiegł zimny dreszcz.

- Ale skąd, skąd pan wie, jak się nazywam?

- Ja wiem wszystko, Węgiełek - powiedział z uśmiechem starzec.

- Skoro zna pan moje nazwisko - Andrzej odzyskał już panowanie nad sobą - to może sam pan się przedstawi.

- Z przyjemnością ale najpierw odprowadzę pana do drzwi.

Andrzej stał już na korytarzu, kiedy tajemniczy gospodarz powiedział przez szparę:

- Widzi pan, Węgiełek, ja nazywam się - ostatnie słowa mieszały się już z ochryplym śmiechem - nazywam się Ignacy Rzecki - powiedział starzec mocnym głosem i zatrzaskał drzwi.

Kiedy Andrzej przebiegł przez kampus uniwersytecki i dotarł do gabinetu, który dzielił z profesorem, nie znalazł w nim przełożonego. Na ich wspólnym biurku, przy którym egzaminowali studentów podczas kilku ostatnich sesji, była tylko karteczka wyrwana z leżącego zawsze na biurku bloczku. Charakterem pisma profesora, ale, co dziwne, ołówkiem, napisane było: „Lipce 1025”. Obok kartki leżała słuchawka telefonu, której profesor, zapewne w pośpiechu, nie odłożył. Andrzej podniósł słuchawkę, ale nie zdążył nic zrobić, bo poczuł nagle woń spalenizny.

- Czajnik! - pomyślał i spojrzał w kąt, gdzie znajdowało się prowizoryczne miejsce do parzenia kawy i herbaty. W bezprzewodowym czajniku, włączanym co rano odruchowo przez profesora po wejściu do gabinetu, nie zadziałał termostat. Woda wygotowała się, i grzałka zaczęła topić plastikowe denko. Zanim Andrzej dopadł do gniazdko i wyrwał wtyczkę z kontaktu, zdążył zająć się kablem i pozostawione w pobliżu książki. A Od nich bezcenna biblioteka profesora Jordanka. Andrzej nie patrzył, jak płonie pierwsze wydanie „Dziadów” Mickiewicza i „Ziemia Obiecana” z autografem Reymonta, tylko zaczął wyciągać z półek płonące książki. Jedna z nich spadła na podłogę. Andrzej zaczął gasić ją nogą. „Za wolno” - pomyślał i wybiegł na korytarz. Przedzierał się wśród tłumu na korytarzu, żeby dotrzeć do gaśnicy, kiedy zaczepił go jeden z jego studentów:

- Panie doktorze, czy mogę prosić o wpis do indeksu? - zapytał.

- Nie teraz, do cholery! - wrzasnął Andrzej. - Przepraszam pana - szybko się zmytygował - proszę przyjść na dyżur.

Student uciekł po schodach na parter.

Andrzej wpadł do gabinetu. Regał z książkami do połowy stał w ogniu. Węgiełek uderzył gaśnicą o podłogę i skierował strumień w stronę książek. Po pięciu minutach mógł odetchnąć i sprawdzić straty. Na szczęście żaden z białych kruków nie spłonął do szczętu. Książki były w większości w

twardych oprawach i ogień nie zdołał strawić tego co było pomiędzy nimi. Niektóre woluminy miały tylko poprzypalane brzegi, tak, że nie można było odczytać numerów stron, ale i tych było tylko kilka. Większe, na szczęście częściowo odwracalne straty, poczyniła gaśnica.

Osmolony i spocony Andrzej usiadł przy biurku. Wyciągnął z torby puszkę coli i wypił. Zapalił papierosa. Oddech powoli wracał do normy. Kiedy odpakowywał batonika, przypomniał sobie o karteczce profesora. „Co mogło spowodować taki pośpiech u Starego? Przecież zazwyczaj porusza się bardzo powoli.

Zostawił włączony czajnik, pisał ołówkiem, a nie piórem? Słuchawkę rzucił na biurko, jakby pędziło za nim stado wilków” - zastanawiał się.

Odłożył słuchawkę i znów podniósł ją do ucha. Sygnał. Nacisnął przycisk „redial”. Zajęte. Powtórzył to jeszcze cztery razy, zanim usłyszał: „Informacja PKP Warszawa, proszę czekać”. Odezwała się muzyka relaksacyjna.

- No nie, akurat teraz...

W końcu odezwała się telefonistka.

- Chciałem zapytać, o której odchodzą pociągi do... - zawahał się przez chwilę, ale zerknął na karteczkę i dodał - ... do Lipiec.

- Do tych Reymontowskich?

- Tak, właśnie tam.

- Niestety, na ten o 10.25 już pan nie zdąży, ale następny odchodzi o 11.20.

- Dziękuję - skończył rozmowę.

Zamknął gabinet i poszedł do sekretariatu:

- Pani Jadziu - zapytał sekretarkę - czy profesor Jordanek mówił, dokąd wychodzi?

- Nie, powiedział tylko, że musi gdzieś wyjechać, ale jutro już będzie w pracy. Wpadł tylko na chwilę i wyglądało na to, że się bardzo spieszy. Panie magistrze, czy mógłby pan poświęcić mi chwilę, chciałam z panem omówić dyżury...

- Przykro mi, pani Jadziu, dzisiaj też muszę wyjechać, ale jutro będę - powiedział i wyszedł z sekretariatu.

Na korytarzu zapalił papierosa i wyszedł z Instytutu odprowadzany krzykiem portierki: - Tu nie wolno palić! Ile razy mam to panu powtarzać!

Andrzej wysiadł z pociągu i ruszył do domku z czerwonej cegły, który stał w pewnym oddaleniu od stacji. Już z pociągu zobaczył napis na przedniej fasadzie niewielkiego budynku: „*Tu mieszkał Wł. St. Reymont w latach 1889-1891. Społeczeństwo Lipiec z okazji 25-lecia pracy zespołu »Wesele«*”. Drzwi były otwarte. Andrzej pchnął je butem i wszedł do niewielkiego pomieszczenia. W środku nie było nikogo.

Zobaczył tylko, że w jednym miejscu podłogi zostały zdjęte deski, a ziemię pod nimi rozkopano. Zajrzał do dziury w podłodze, ale nic tam nie znalazł. Wyszedł przed domek i zapalił papierosa.

Palił już chwilę, kiedy strącił popiół i podążył za nim wzrokiem. Wtedy to zobaczył. Pod jego stopami były długie ślady, jakby ktoś ciągnął drugą osobę po ziemi. Podążył za nimi wzrokiem i po chwili zobaczył następny trop. Tym razem były to ślady ruszającego szybko wozu. Poszedł wzdłuż kolein, ale wyraźnie odbity w ziemi ślad urywał się po kilkunastu metrach na szosie, która jak rzeka zacierała wszelki ślad.

- Cholera! - zaklął Andrzej i wrócił na stację. Następny pociąg do Warszawy odchodził za cztery

godziny. Na Dworzec Centralny przyjeżdżał dopiero o 17.45.

Prosto z dworca pojechał do centrum, do mieszkania rzekomego Ignacego Rzeckiego. Kiedy nikt nie odpowiedział na jego pukanie, nacisnął klamkę. O dziwo, drzwi nie były zamknięte! Delikatnie je otworzył.

Widok, który ukazał się jego oczom zmroził mu krew w żyłach. Mieszkanie było puste. Nie został w nim żaden z mebli, które stały tam rano. Świeżo pobielone ściany jeszcze pachniały farbą. Coś zaszurało w głębi mieszkania. Andrzej wszedł do saloniku, w którym przyjął go fałszywy Rzecki i zobaczył robotnika, który stał na drabinie i malował sufit:

- Proszę pana - odezwał się Andrzej - tu dzisiaj rano mieszkał Ignacy Rzecki, taki starszy pan z bokobrodami...

- Ja nic nie wiem - odparł malarz - dostałem dzisiaj rano telefoniczne zlecenie, że mam być tu o 15.00 i wymalować mieszkanie. No to jestem. I maluję. Lepiej niech pan stąd wyjdzie, bo wezwę policję.

Całą drogę do domu profesora Andrzej starał się przeniknąć sens wydarzeń tego dnia. Gdzie jest profesor? Jeśli ktoś go porwał, to po co? Tramwaj stanął na przystanku na Mokotowie i Andrzej wszedł do ciemnej klatki starej kamienicy, w której mieszkał profesor.

Otworzyła mu żona przełożonego, Teresa Jordanek. Na jej twarzy błąkał się teatralny uśmiech, ale w oczach Andrzej zobaczył strach:

- Zastałem profesora? - zapytał.

Teresa Jordanek zaprzeczyła powoli ruchem głowy, a potem się rozplakała. Andrzej wszedł do doskonale znanego sobie mieszkania. Nastawił wodę i zaparzył dwie filiżanki melisy dla siebie i profesorowej.

Kiedy wszedł do salonu, żona profesora siedziała w ulubionym fotelu męża i wpatrywała się bez ruchu w ścianę, na której wisiał portret Bolesława Prusa. Kiedy Andrzej ostrożnie położył tacę z filiżankami na szklanym blacie stolika, Teresa Jordanek powoli podniosła rękę i wycelowała wskazujący palec w twarz autora „Lalki”:

- To wszystko przez niego - powiedziała cicho - To wszystko przez niego! - powtórzyła niemal krzyżąc. Potem opuściła rękę i zrezygnowana przyjęła od Andrzeja filiżankę melisy. Piła powoli.

- Pani Tereso - powiedział cicho Andrzej - zadzwonię teraz do naszych wspólnych znajomych, może gdzieś został trochę dłużej i nie miał jak pani powiadomić.

Profesorowa skinęła głową.

Niestety, profesora nie było u znajomych. Nie słyszał o nim także żaden szpital ani policjant, który przyjął zgłoszenie Andrzeja o zaginięciu. Było już grubo po dwudziestej trzeciej, kiedy w mieszkaniu zjawiała się, wezwana przez Andrzeja, siostra Teresy Jordanek, Krystyna, żeby zostać z nią na noc.

- Zrobię co w mojej mocy - powiedział Andrzej cicho, patrząc profesorowej prosto w oczy - znajdzie profesora.

- Obiecuję pan?

Andrzej powoli skinął głową i wyszedł w hałaśliwą noc warszawską.

Kiedy wrócił do domu, dochodziła północ. Jego dziewczyna już spała. Miał zamiar się położyć.

Poszedł do łazienki i kiedy mył twarz, przypomniał sobie.

- Automatyczna sekretarka! - niemal krzyknął i pobiegł do pokoju. Przewinał taśmę do tyłu. Z taśmy odezwał się znajomy głos profesora Jordanka:

- Dzwonię z budki, tak na wszelki wypadek, jakby mnie pan nie znalazł. Na pewno zrozumie pan, o co chodzi... - profesor na chwilę zamilkł, odchrząknął i zaczął deklamować bardzo dziwny wiersz. Nagranie się skończyło i Andrzej wyłączył urządzenie.

- Chyba będę musiał do niego zadzwonić... - powiedział cicho. - Jeszcze chwilę się namyślał. Potem podniósł słuchawkę, zajrzał do notesu i wybrał numer.

Po drugiej stronie długo nikt nie odpowiadał, w końcu jednak ktoś podniósł słuchawkę i odezwał się zaszpany głos:

- Halo, czy pan wie, która jest godzina?

- Wiem, panie Tomaszu, wpół do pierwszej.

- Kim pan jest?

Andrzej Węgiełek, doktorant profesora Jordanka z Wydziału Polonistyki. Nie wiem, do kogo się zwrócić o pomoc... Panie Tomaszu, profesor zniknął...

ROZDZIAŁ DRUGI

PAMIĘTNIK STAREGO PROFESORA

Zostałem uwięziony i nie mam na czym pisać. Nie odebrano mi co prawda piór ani ołówka, ale zostało mi tylko pół kalendarzyka na ten rok, który mogę zapisać. Dlatego notatki z wydarzeń, które spowodowały moje uwięzienie, będą krótkie. Sporządzam je, bo czuję, że człowiek, który mnie pojmał i uwięził, jest niebezpieczny. Profesor Jordanek nie będzie milczał, kiedy trzeba mówić! Nawet jeśli jedyną osobą która mnie wysłucha będzie przypadkowy znalazca tych notatek i nawet jeśli kronika mego porwania zostanie odnaleziona za wiele lat.

Schwytany zostałem wczoraj. Nic nie wskazywało na to, że ktoś zastawił na mnie pułapkę, kiedy przeczytałem ogłoszenie w gazecie z propozycją sprzedaży dwóch nieznanymi rozdziałów „Lalki”. Primo, wiedziałem o ich istnieniu od dawna. Secundo, już trzykrotnie spotykałem się ze sprzedawcami rzekomych nieznanymi rękopisów autora „Placówki” i dotychczas byli to ludzie niezbyt uczciwi, ale łatwo było przejrzeć ich grę. Największym niebezpieczeństwem, na jakie narażałem się podczas spotkania z nimi, była strata mojego cennego czasu.

Tym razem spotkanie było wyznaczone blisko Instytutu. W mieszkaniu urządzonym w dziewiętnastowiecznym stylu przywitał mnie człowiek jakby żywcem wyjęty z „Lalki”. Oświadczył, że co prawda nie jest w posiadaniu rękopisu, ale może odsprzedać mi wiadomości, jak do niego dotrzeć. Suma, jakiej za to żądał, była horrendalna, ale moja naukowa intuicja podpowiadała mi, że człowiek ów mówi prawdę. Jak bardzo myliłem się, okazuje się dopiero teraz. Nie zdziwiło mnie nawet, gdy przy wypisywaniu czeku na dwa tysiące złotych mój gospodarz, zapytany, na kogo mam wypisać czek, odpowiedział bez mrugnięcia okiem: na Stanisława Wokulskiego. Na Stanisława Wokulskiego! Dobrze sobie. Miałem już okazję poznać tego draba!

Zgodnie ze wskazówkami człowieka, któremu zapłaciłem, udałem się do Lipiec Reymontowskich i odszukałem domek Reymonta. Usunąłem deskę z podłogi i zacząłem kopać. Po kilku minutach pracy, kiedy traciłem już oddech, saperka, którą kupiłem pośpiesznie w drodze na pociąg, natrafiła na jakiś metal. Po chwili wyciągnąłem z ziemi kasetkę. Nie była zamknięta. Uchyliłem wieczka i moim oczom ukazało się tak doskonale mi znane pierwsze wydanie „Lalki”. Zacząłem przeglądać książkę. Ani śladu rękopisu! A więc zostałem oszukany! No, może nie do końca, bo to wydanie powieści Prusa jest białym krukiem i może trochę za nie przepłaciłem, ale w sumie interes był niezły. Zastanawiałem się właśnie nad tym, po co sprowadzono mnie aż do Lipiec Reymontowskich, żeby sprzedać mi po trochę wygórowanej cenie antykwaryczny rarytas, kiedy drzwi za mną skrzypnęły. W drzwiach stała niezwykła para. Mężczyzna z bródką w stylu sprzed stu dwudziestu lat, w cylindrze i czarnym palcie. W lewej ręce trzymał laskę. Obok jego nogi stał czarny pudel.

Mężczyzna zostawił pudła na straży przy drzwiach, a sam podszedł do stołu. Chciałem uciec, ale kiedy zbliżyłem się do drzwi, tresowany zwierzak groźnie wyszczerzył kły i cicho zawarczał.

- Nie radzę - powiedział nieznajomy. - Ir wygląda jak pudel, ale to krzyżówka tego szlachetnego i niegroźnego gatunku z dwoma najostrzejszymi rasami psów bojowych.

- Kim pan jest? - zapytałem.

- Może pan zgadnie?
- Nie mam ochoty na głupie zagadki...
- Mówiono mi, że możesz być kłótniwy...
- Bezczelność, nie jesteśmy na ty...
- Dobrze, powiem ci, kim jestem...
- To już lekka przesada - zacząłem - proszę usunąć psa spod drzwi i pozwolić mi wyjść. Chcę...

Nie zdążyłem skończyć, bo tajemniczy gość uniósł błyskawicznie laskę do góry i uderzył nią o stół:

- Milczeć! - krzyknął niezbyt głośno, ale w jego głosie odezwało się zdecydowanie i siła.

Zrobiło się cicho. Stałem przerażony i patrzyłem, co robi mój prześladowca. A on sięgnął za poję palta i wyciągnął stamtąd średniej wielkości srebrne pudełko. Otworzył je w skupieniu. Chwilę manipulował, ale klapka pudełka nie pozwoliła mi zobaczyć co robi. Skończył. W jego ręku błysnęła strzykawka wypełniona przezroczystym płynem. Pstryknął palcem wskazującym w obudowę strzykawki, uśmiechnął się złośliwie i zaczął do mnie podchodzić. Byłem w pułapce. Próbowałem podejść do drzwi, ale napastnik krzyknął:

- Ir! - i pies zawarczał groźnie, - Radzę nie stawiać oporu, Jordanek, i tak nie masz żadnych szans. Ten zastrzyk tylko upraszcza sprawę. Twój opór wszystko by opóźnił, a nic nie zmienił. Zresztą nie grozi ci nic strasznego. Będiesz musiał tylko popracować dla mnie przez jakiś czas.

Wpadłem w panikę.

- Kim pan jest - krzyczałem - co pan chce zrobić z tą strzykawką?!

Człowiek w palcie podszedł do mnie i uderzył lekko. Natychmiast poczułem, jak wiotczeją mi mięśnie. Zatoczyłem się pod ścianę. Uderzyłem o nią plecami i osunąłem się na podłogę.

Tajemniczy nieznajomy podszedł do mnie, podwinął mi rękaw i wbił igłę. Prawie nic nie poczułem, ale natychmiast zacząłem widzieć podwójnie.

- Kim pan jest? - wymamrotałem ledwie żywy. Mgła zaczynała przesłaniać mi wzrok. Słyszałem też słabiej. Słowa, które wypowiadał nieznajomy, dobiegały do mnie jakbym siedział na dnie głębokiej studni.

- Mówiłem ci Jordanek, że opór nie ma sensu.
- Kim jesteś? - usłyszałem z oddali swój głos.
- Nazywam się Stanisław Wokulski - powiedziała ciemność głosem nieznajomego.
- Bardzo mi miło, jestem profesor Jordanek - odpowiedziałem automatycznie.
- Profesor Jordanek? - tamten zaśmiał się krótko. - A może... doktor Szuman?

Zapadłem w ciemność.

ROZDZIAŁ TRZECI

CO SIĘ STAŁO Z PROFESOREM? * NOCNY TELEFON * NARADA W KAWALERCE NA STARYM MIEŚCIE * SZYFR? * SPALONY GABINET * WĘGIELEK NA TROPIE * SEJF * PROFESOR PIEKAŁKIEWICZ STWIERDZA PLAGIAT * KLUCZ DO ZAGADKI * NAPAD * KSIĄŻKA POD BIURKIEM * ATRAMENT SYMPATYCZNY * ADRES * CZARNY PUDEL * PRAWNUCZKA WOKULSKIEGO

Nie spodziewał się, że staruszek będzie tyle ważył. Kiedy wreszcie zaciągnął nieprzytomnego Jordanka do samochodu i udało mu się go umieścić w bagażniku, zatrzasnął wieko, ciężko oparł się o tył pojazdu i otarł czoło z potu. Czarny cylinder przekrzywił się śmiesznie i po chwili zsunął mu się z głowy. Uderzył o karoserię i spadł w pył drogi. Fałszywy Wokulski podniósł nakrycie głowy i wrzucił je na tylne siedzenie czarnego opla vectry. Usiadł na tylnym siedzeniu i schował twarz w dłoniach. Po chwili otrząsnął się z emocji, jak pies otrząsa się z wody. Kiedy układali z Rzeckim plany, wyobrażał sobie, że wszystko pójdzie łatwo i przyjemnie, a tymczasem misja, której się podjął już na początku okazała się wymagająca dla jego mięśni i kości.

Rzecki i Wokulski! Śmiesznie to wszystko wymyślili, ale tak jest lepiej, dzięki temu ich działania mają drugie dno, są znakiem.

Z rozmyślań wyrwało go głośnie szczekanie Ira, jego czarnego pudła. Pies stał w polu i grzebał w ziemi łapą. Wokulski podszedł do niego i zobaczył, że grudka ziemi, którą uderzał Ir, ruszała się.

- Zostaw! - Wokulski krzyknął na psa. Zwierzak, usłyszawszy w głosie swego pana ostry ton, odbiegł kawałek i zaczął bawić się patykiem, wystającym ze skiby.

Wokulski przyjrzał się z zainteresowaniem grudce ziemi. To był skowronek! Podniósł go i oczyścił piórka ptaka z kawałków gliny. Potem podrzucił zwierzątko do góry. Ptaszek tylko przez chwilę przypominał kulkę kurzu. Po kilku metrach koszącego lotu, wzbił się wysoko i kilka razy okrążył człowieka stojącego na polu. Potem odleciał w stronę słońca. Fałszywego Wokulskiego ogarnęła nagle jakaś tęsknota. Poczul, że angażując się w tę sprawę coś utracił. Powiedział cicho do siebie.

- Ale teraz już przecież chyba nie ma odwrotu?

Wrócił do samochodu. Znalazł paczkę papierosów w kieszeni surduta. Już miał zdjąć rękawiczki, ale przypomniał sobie radę Ignacego, żeby nie zostawiać po sobie śladów, nawet najdrobniejszych. Nigdy przecież nie wiadomo, czy nie będzie trzeba nagle pozbyć się samochodu, a odciski palców na kierownicy mogłyby ich łatwo zdradzić. Otworzył więc paczkę i zębami wyciągnął z niej papierosa. Zaciągnął się dymem, wypuścił go nosem i zerknął na zegarek z dewizką. „A niech to lichy!” - zaklął w duchu. „Nieźle się tu zasiedziałem”. Pociągnął jeszcze raz papierosa, wyrzucił go i przydeptał stopą wgniatając w błoto.

„Żadnych śladów” - przypomniał sam sobie i pochylił się, żeby sprawdzić, czy ciemna, oleista masa dokładnie zakryła niedopałek. Potem rozebrał się z surduta, zmienił buty, odkleił sztuczną brodę i wąsy, otrzepał rękawiczki z ziemi. Wsiadł od strony kierowcy i przejrzał się w lusterku. Wyglądał normalnie.

Zwykła twarz. Szary sweter, pod nim koszula i krawat. Na nos nasadził okulary w grubych oprawkach i uruchomił wóz. Potem klepnął się w czoło i uchyliwszy drzwi od strony pasażera, krzyknął:

- Ir! Chodź tutaj! - usłyszał szybkie uderzenia łap psa, który biegiem wrócił z pola i wskoczył na siedzenie. - Jedziemy do domu, piesku - powiedział. Uśmiechnął się do pudła i podrapał go za uchem. Pies skulił się w kłębek i, wymęczony zabawą na świeżym powietrzu, momentalnie zapadł w sen.

Wokulski otworzył okno i rozkoszując się zapachami dolatującymi do niego z pól, ruszył w stronę Warszawy. Jechał powoli. Musiał uważać na Jordanka uwięzionego w bagażniku, a poza tym bał się, żeby policja nie zatrzymała go za szybką jazdę. Na pewno wtedy pot wystąpiłby mu na czoło, a w jego oczach policjanci mogliby dostrzec, że coś jest nie w porządku. Dlatego rygorystycznie przestrzegał przepisów i nie szarżował, jak to miał w zwyczaju.

Po trzech godzinach monotonnej, ale przyjemnej jazdy, dotarł wreszcie do pałacyku, który leżał w pewnym oddaleniu od centrum stolicy. Podjechał pod bramę. W oknie na piętrze zauważył Rzeckiego. Dał mu umówiony znak światłami. Brama po chwili otworzyła się z chrzęstem i fałszywy Wokulski podjechał pod garaż. Po chwili drzwi garażu uniosły się do góry i czarny opel vectra wtoczył się powoli do środka.

Brama zatrzasnęła się za pojazdem i niewielkie pomieszczenie rozświetliły jarzeniówki. Fałszywy Wokulski zobaczył swego kompana, który ręką dawał mu znaki, żeby otworzył bagażnik. Nacisnął przełącznik zwalniający blokadę tylnej klapy wozu, wysiadł i stanął obok Rzeckiego, który już nachylał się nad nieprzytomnym Jordankiem.

- Wszystko w porządku - powiedział Rzecki - puls w normie, nic mu nie będzie. Przeszukiwałeś go? - zapytał.

Fałszywy Wokulski zaprzeczył ruchem głowy. Rzecki zaczął zrećcznie przeszukiwać kieszenie profesora Jordanka. Po chwili wydobył z jednej z nich skórzany portfel i gorączkowo przeglądał jego zawartość. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Jego oczy zaślniły niezdrowym blaskiem, kiedy wyciągnął z portfela srebrną blaszkę i pokazał ją Wokulskiemu.

- A więc mamy już dwie - twarz Wokulskiego była skupiona. - Dobrze, Ignacy, zabierz stąd teraz to ścierwo! - powiedział władcym tonem, wskazując ręką na Jordanka. Fałszywy Rzecki uśmiechnął się ironicznie i sięgnął do pudła bagażnika. Chwycił mocno profesora i zarzuciwszy go sobie na plecy, ruszył krętymi schodkami prowadzącymi na piętro. W połowie drogi zatrzymał się i zapytał Wokulskiego, który stał do niego obrócony tyłem.

- Jakie plany na jutro?

- Jutro... - Wokulski uderzył pięścią w otwartą dłoń i szybkim ruchem obrócił się do Rzeckiego. Służący zobaczył w jego oczach złośliwą radość - jutro zajmę się staruchą...

Obudził mnie telefon komórkowy. Spojrzałem na wyświetlacz. Szef. Odebrałem.

- Dzień dobry, panie Tomasz, czy pan wie... - zacząłem.

- Wiem, jest pierwsza. Ale stało się coś strasznego i potrzebuję twojej pomocy, Pawle - mówił rozgorączkowany Pan Samochodzik. - Zaginął Czesiek Jordanek!

- Nazwisko brzmi znajomo - próbowałem odświeżyć swoją pamięć. - To profesor, chyba literaturoznawca...

- Czesiek Jordanek! Specjalista od pozytywizmu, mój przyjaciel ze studiów.

- Ach tak. „Świat »Lalki«”...

- To właśnie on. Zadzwoił do mnie jego doktorant, Andrzej Węgiełek. Twierdzi, że profesor został porwany. Zostawił mu tylko bardzo dziwną informację na sekretarce, jakiś wiersz. Węgiełek jest specem od poezji, ale nie potrafi powiedzieć, kto go napisał. Umówiłem się z nim u mnie za godzinę. Chcę, żebyś ty też był.

Pojechałem wehikułem przez śpiącą Warszawę. Na Starówce byłem po półgodzinie. W kawalerce Pana Tomasza siedział człowiek w moim wieku, o niezbyt schludnym wyglądzie, ale sympatycznej twarzy. Pił herbatę i jadł batonika. Na mój widok poderwał się z fotela, wyciągnął do mnie rękę i powiedział:

- Andrzej Węgiełek, bardzo miło mi poznać.

- Paweł Daniec - przedstawiłem się. - Czy pan trochę nie przesadza, może profesor jutro się znajdzie?

- Nie, panie Pawle, sprawdziłem w domu u profesora. Nie wrócił na noc. Jego żona mówi, że nie zdarzyło się to nigdy od kiedy go zna! I jeszcze to nagranie.

- Sławne nagranie - powiedziałem z przekąsem, wynikającym jednak ze zmęczenia.

- Pawle, to nie żarty. Czesiek jest w wielkim niebezpieczeństwie. On nigdy nie spędza nocy poza domem. Śmialiśmy się z niego na studiach, nazywaliśmy „Domatorem”, ale jeśli nie wrócił do domu na noc, może to oznaczać tylko poważne kłopoty.

Usiedliśmy w wygodnych fotelach. Najpierw wysłuchałem opowieści Andrzeja Węgiełka o Ignacym Rzeckim i mieszkaniu, które znikło. Pan Samochodzik podszedł do telefonu, wyjął z kieszonki automatycznej sekretarki kasetę i włożył jakąś inną.

Nacisnął przycisk. Najpierw usłyszeliśmy: „*Panie doktorze, czy mógłbym się umówić na egzamin? Przyjdę w piątek na dyżur. Bardzo proszę o odpowiedź.*” Potem zaszumiało i wreszcie z kasety popłynął głos należący z pewnością do człowieka starszego, ale ciągle w pełni sił:

- Dzwonię z budki, tak na wszelki wypadek, jakby mnie pan nie znalazł - powiedział profesor Jordanek, a Pan Samochodzik potwierdził z zafrasowaną miną:

- To Czesiek...

- Na pewno zrozumie pan, o co chodzi... - kontynuował Jordanek. Usłyszeliśmy chrząknięcie i profesor powiedział najdziwniejszy wiersz, jaki w życiu słyszałem:

Był klucz i nagle nie ma klucza

Czemuż się skarżysz na fortuny ciosy?

Słusznie cię wiążą i trzymają w cieniu,

Kiedy to jest tam ciągle we dnie oraz w nocy

Harmonia Koła Trójkąta Kwadratu,

Ze starych ksiąg, z zasłyszanych legend,

Przez wszystkie światy i wszechświaty

Fruwa w ciemnościach jak światło latarki.

Zbyt długo byliśmy błądzącymi w mroku.

- Po trzecim wersie od końca: dwukropek... - skończył profesor.

- I co pan o tym myśli? - zwróciłem się do Węgiełka. - Ta wiadomość jest skierowana do pana, czy pan coś z tego rozumie?

- Zastanawiam się nad tym i coś mi w tym wierszu wygląda znajomo, jeszcze dokładnie nie wiem

co...

- Może to szyfr? - rzucił Pan Samochodzik. - Szyfr, który Czesiek zostawił właśnie tobie, bo tylko ty możesz go zrozumieć...

Spojrzałem na Węgiełka, ale wyglądał na zmęczonego. Opadały mu powieki, co chwila ziewał.

- Nie wiem, panie Tomaszu - powiedział Andrzej - musiałbym napić się kawy i chwilę odpocząć, nie jestem w stanie teraz myśleć... Przydałoby się to jeszcze przepisać, może wtedy coś wpadnie mi do głowy...

Pan Samochodzik poszedł do kuchni robić kawę, a my z Andrzejem przepisaliśmy cały wiersz na kartkę i odbiliśmy ją w trzech egzemplarzach na małej kserokopiarce stojącej w kącie. Kiedy Pan Samochodzik przyniósł kawę, wzięliśmy do ręki kubki i zaczęliśmy czytać dziwaczny wierszyk. Po chwili Andrzej syknął z bólu. Spojrzałem na niego. Oparzył się kawą, ale minę miał zadowoloną.

- Chyba coś zaczynam rozumieć! - minęła mu senność i przebiegał kartkę oczami.

Wpatrywaliśmy się w niego z zaskoczeniem.

- To rzeczywiście jakiś szyfr. Nie wiem dokładnie, jak go złamać, ale mam trop. Ten wiersz jest chyba złożony z wersów pochodzących z różnych innych wierszy. Dwa z nich poznaję. *Był klucz i nagle nie ma klucza* to fragment „Klucza” Wisławy Szymborskiej, a wers *Kiedy to jest tam ciągle we dnie oraz w nocy* to trochę przerobiony kawałek z wiersza „To” Czesława Miłosza! - prawie krzyknął Andrzej, porwał z biurka długopis i wpisał tytuły obok odpowiednich wersów.

- W porządku - powiedział Pan Samochodzik. - Mamy jakiś trop, ale teraz musimy się przespać. Nasze śledztwo wznowimy jutro. Gdzie możemy się spotkać?

- Proponuję gabinet profesora - powiedział Andrzej - może panom coś wpadnie w oko, a jest tam biblioteczka, która może nam pomóc w poszukiwaniach.

- Zgoda - pan Tomasz pokiwał głową - spotkajmy się tam o ósmej rano.

Pożegnaliśmy się z Panem Samochodzikiem, zesliśmy na dół i wsiedliśmy do wehikułu. Odwiozłem Andrzeja. Kiedy wysiadał i podał mi rękę, powiedziałem:

- Jesteśmy w prawie jednym wieku, może przejdziemy na ty?

- Andrzej - Węgiełek się uśmiechnął.

- Paweł - odpowiedziałem i zamknąłem drzwi.

Kiedy dotarłem do domu, błyskawicznie zapadłem w sen.

Następnego dnia Węgiełek czekał na nas w gabinecie. Siedział przed biurkiem, pił kawę i zjadał zawartość małej bombonierki. Na nasz widok wstał i rzucił się do powitania.

- Profesora nie ma w pracy. Dzwoniłem też do jego domu. Ciągle nie wrócił. Aha, żona już powiadomiła policję, więc pewnie zaraz przyjadą. Siedzę tu już od godziny - mówił z ustami pełnymi czekolady - przepraszam, że jem, ale strasznie denerwuje mnie ta sprawa i udało mi się znaleźć trzecią część szyfru - wskazał na książki leżące na stole. Tu mam „To” Miłosza, a to jest „Wielka Liczba” Szymborskiej. Z tytułowego wiersza tego tomu profesor wziął przedostatni werset: *Fruwa w ciemnościach jak światło latarki...*

- Nasze poszukiwania idą za wolno - odezwał się pan Tomasz - Chodzi o to, żeby jak najszybciej wpaść na trop Cześka, poza tym policja będzie tu najpóźniej za dwie godziny, a kiedy oni przejmą dochodzenie, nie będziemy mieli żadnych szans, żeby coś jeszcze tu znaleźć - szef przygryzł dolną wargę - jesteśmy na polonistyce, muszą tu być ludzie, którzy są w stanie błyskawicznie rozpoznać resztę wersów...

- Jeżeli chodzi o poezję - wtrącił się rozgorączkowany Andrzej - najlepszym specjalistą na Uniwersytecie jest profesor Piekalkiewicz, mogę zaraz do niego iść...

- Dobrze - powiedział pan Tomasz - my tu na ciebie zaczekamy.

Andrzej wybiegł, a my przystąpiliśmy do oględzin pokoju. Przejrzeliśmy pobieżnie książki, ale nic nie znaleźliśmy. Także papiery w szufladach i na biurku nie miały żadnego związku z „Lalką”. W rogu gabinetu znaleźliśmy mały sejf. Był zamknięty. Jego szyfr składał się z dziesięciu cyfr. Spytaliśmy sekretarkę, czy nie zna szyfru, ale powiedziała, że profesor kupił sejf za swoje pieniądze i nikomu nie podał kodu.

Kiedy wróciliśmy do gabinetu, szef zapytał:

- Nie da się jakoś otworzyć tego sejfu?

Obejrzałem dokładnie urządzenie i powiedziałem:

- Lepiej tego nie ruszać bez szyfru, szefie. W tym sejfie jest mechanizm samozniszczenia. Jeśli spróbujemy otworzyć drzwiczki bez kodu, wszystko w środku spłonie.

W tym momencie wpadł do gabinetu Andrzej z batonikiem w rękę.

- Mam wszystko, to szyfr! Ale jego rozwiązanie jest bardzo dziwne. Piekalkiewicz nie bardzo chciał mi pomóc, bo ma jakiś egzamin, ale w końcu się zgodził. Spojrzał na tę kartkę i powiedział: „Co to jest, jakiś żart?” Kiedy powiedziałem mu, że napisał to jeden z moich studentów wściekł się i krzyknął: „To jakiś plagiat! Co mi pan tu przynosi?!” Zapytałem go grzecznie, czy może mi powiedzieć, o co chodzi, a on wytłumaczył, że każdy z wersów to fragment innego wiersza. Pierwszy, jak zgadłem, jest z „Klucza” Szymborskiej, drugi pewnie z jakiegoś wiersza Krasickiego, trzeci przypomina mu styl oświeceniowej poetki Urszuli Radziwiłłówny, czwarta linijka to rzeczywiście „To” Miłosza. Piąty wers pochodzi jego zdaniem z „Poematu liczb” Tytusa Czyżewskiego, znakomitego poety awangardowego dwudziestolecia międzywojennego. Następny wiersz to fragment „Ze starych ksiąg” Erwina Kruka. Kolejny kawałek to „Rachunek” Juliana Tuwima. Przedostatni to rzeczywiście „Wielka Liczba” Szymborskiej. Wreszcie ostatni wers to trochę przerobiony fragment „W rytm serca” Leopolda Staffa... - Andrzej ugryzł z zadowoleniem batonik, wyciągnął z paczki papierosa i zapalił.

- Nieźle, moja szkoła - powiedział Pan Samochodzik. W tym momencie rozległo się pukanie:

- Proszę - odezwał się Andrzej.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł wysoki człowiek w średnim wieku. Gładko ogolony blondyn, na nosie miał ogromne okulary w grubych oprawkach. W jego wyglądzie było coś sztucznego, nie mogłem jednak dłużej się nad tym zastanowić, bo Andrzej zaczął nas przedstawiać.

- O! Profesor Piekalkiewicz, proszę wejść. Panie profesorze, przedstawiam panu panów Tomasza N. N. i Pawła Dańca z Departamentu Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki. Panie Tomaszu, Pawle, to pan profesor Piekalkiewicz, kierownik Katedry Historii Literatury.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Piekalkiewicz o mało nie zmiądzzył mi ręki. Zdziwiłem się, że literaturoznawca ma taką krzepę.

- Miło panów poznać - powiedział Piekalkiewicz poprawiając palcem wskazującym okulary. - Mówiłem już Andrzejowi, że ten wiersz to plagiat. Przyszedłem, bo wiem już, z jakich utworów pochodzą drugi i trzeci wers. Drugi wers to fragment wiersza „Do...” Ignacego Krasickiego, trzeci jest rzeczywiście autorstwa Urszuli Radziwiłłówny, to fragment jednego z utworów z cyklu „Zagadki”. Ale co panowie tu robią? Czy coś się stało?

- Nic specjalnego - wykazał się reflekssem pan Tomasz - szukamy pewnego

dziewiętnastowiecznego rękopisu, a że Czesiek Jordanek to mój stary przyjaciel, postanowiliśmy poprosić go o pomoc. Czekamy właśnie na niego.

- Aaa... To nie przeszkadzam panom - powiedział Piekalkiewicz. Pożegnał się grzecznie i wyszedł.

- Dziękujemy za pomoc, profesorze! - rzucił prawie przez drzwi Węgiełek.

Kiedy drzwi zamknęły się za profesorem, rzuciliśmy się do kartki. Andrzej wpisał brakujące tytuły przy fragmentach wierszy. Teraz kartka wyglądała tak:

Był klucz i nagle nie ma klucza KLUCZ

Czemuż się skarżysz na fortuny ciosy? DO

Słusznie cię wiążą i trzymają w cieniu ZAGADKI

Kiedy to jest tam ciągle we dni oraz w nocy TO

Harmonia Koła Trójkąta Kwadratu, POEMAT LICZB

Ze starych ksiąg, z zasłyszanych legend, ZE STARYCH KSIĄG

Przez wszystkie światy i wszechświaty: RACHUNEK:

Fruwa w ciemnościach jak światło latarki. WIELKA LICZBA

Zbyt długo byliśmy błędzącymi w mroku. WRYTM SERCA

- O Boże, znowu szyfr. O jaką zagadkę może chodzić? - załamał się Andrzej.

- Może chodzi o sejf, o szyfr do sejfu - rzuciłem.

- Ale co to może znaczyć: *Poemat liczb ze starych ksiąg, Rachunek: Wielka Liczba, W rytm serca.* - myślał głośno Pan Samochodzik.

W tym momencie znów zapukano do drzwi. Nie było reakcji na „Proszę!” Andrzeja. Doktorant podszedł do drzwi i otworzył je. Potężny kopniak odrzucił go na biurko. Zamaskowana postać z pistoletem magnum w ręku wśliznęła się do pokoju i zatrzasnęła drzwi.

- Spokój! - rozkazującym tonem odezwał się napastnik - Ty, Daniec, rączki do góry, Samochodzik to samo. Węgiełek zostaje na podłodze. Gdzie jest ten sejf?

Milczeliśmy. Zamaskowany zaczął rozglądać się po gabinecie. Wykorzystałem okazję i sięgnąłem do kabury pod pachą po pistolet gazowy. Wycelowałem w stronę napastnika. Zanim zdążyłem strzelić, przeciwnik nacisnął spust. Poczułem ból w rękę. Zwinąłem się w kłębek. Napastnik podszedł i kopnął mnie w rękę. Ból pozbawił mnie przytomności.

Kiedy się obudziłem, zobaczyłem twarze Pana Samochodzika i Andrzeja nad sobą.

- Paweł, Pawełek, żyjesz? - Pan Samochodzik zachowywał się wobec mnie jak dziadek wobec wnuka.

- Nic mi nie jest, to tylko postrzał - powiedziałem stając na nogi - nie takie rzeczy się przeżywało w „czerwonych beretach”. Gdzie jest ten bandzior?

- Uciekł - powiedział pan Tomasz. - Andrzej go wykurzył. Kiedy leżałeś, ten facet podszedł do sejfu i wycelował w drzwiczki. Andrzej podniósł twój pistolet i strzelił w detektor dymu. Odezwał się alarm przeciwpożarowy. Facet w panice strzelił w sejf i uciekł przez okno.

Podeszliśmy do sejfu. Kula przeszła obok zamka. Brakowało dwóch milimetrów, a wszystko co było w środku poszło z dymem.

- Mieliśmy szczęście...

- I to nie tylko jeśli chodzi o sejf - powiedział Andrzej i pokazał mi małą książkę, której nie

znaleźliśmy przy pierwszym przeszukaniu.

- To zbiór wierszy Krasickiego - powiedział Andrzej - był pod biurkiem, musiał tam spaść podczas wczorajszego pożaru. Zobaczyłem go, kiedy tamten mnie kopnął i upadłem. Chyba wiem, jak złamać szyfr, panowie. Popatrzcie na to - powiedział zadowolony z siebie Andrzej i otworzył książkę.

Na lekko przypalonych stronach widać było tytuł, nazwisko autora i dwa rzędkie brązowych cyfr:

4435676577

8767787309

- No, no - spojrzałem - wygląda znajomo, to atrament sympatyczny. Ktoś musiał to napisać mlekiem albo czymś podobnym. Pismo staje się widoczne dopiero po podgrzaniu. Stara szpiegowska sztuczka. Czytałem w „Tajemnych przekazach” Kippenhaima, że agenci, którzy nie mieli czym pisać, używali jako atramentu sympatycznego swojego moczu.

- Te cyfry napisał profesor Jordanek - powiedział Andrzej - poznaję jego pismo.

Pan Tomasz zakończył naszą dysputę:

- Zaraz się tym zajmiemy, na razie trzeba opatrzyć rannego - powiedział pan Tomasz i poszedł po apteczkę.

Kiedy zawijałem rękę w bandaż, szef przeglądał książkę Krasickiego, a Andrzej palił papierosa w otwartym oknie.

- Popatrzcie na to... - Pan Samochodzik wpatrywał się w otwartą książkę - tu jest kawałek wiersza profesora:

Do...

Czemuż się skarżysz na Fortuny ciosy

W Twych uzaleniach mniej baczysz

Nie wiesz, jakie są zmienne ludzkie losy

Jaki jej humor dziwaczny

Zrozumieliśmy się z panem Tomaszem bez słów. Zaczęliśmy przeglądać książki Szymborskiej i Miłosza. Na kartach tytułowych widać było jakby ślady wody czy mleka, ale napisów nie dało się odczytać.

- Andrzej, daj mi swoją zapalniczkę - powiedział Pan Samochodzik i podał mi otwartą książkę Szymborskiej. Wiedziałem, o co chodzi. Chociaż strasznie bolała mnie ręka, chwyciłem książkę tak, że grzbietem oparła się biurko, a strona tytułowa przytrzymywana przez mnie w rękach zwiślała równoległe do stołu. Pan Tomasz zapalił ogień i podsunął go pod papier.

- Co wy robicie?! - krzyknął Andrzej. - To biały kruk! - dmuchnął i zgasił płomyk.

- Andrzej, musimy sprawdzić, czy profesor nie zapisał czegoś na tej kartce sympatycznym atramentem.

Andrzej uspokoił się, ale nie brał udziału w naszych operacjach i przyglądał się nam nieufnie.

- Niszczyciele książek, a pracują w Departamencie Ochrony Zabytków - mruczał pod nosem.

Płomyk zapalniczki ogrzał kartkę papieru i na stronie tytułowej „Wielkiej Liczby” ukazały się dwa rzędkie cyfr.

9874897447

3132132244

- Sprawdzamy dalej? - Andrzej już nie był obrażony i teraz sam podawał nam książki z półek. Po półgodzinie pracy mieliśmy przed sobą osiemnaście rzędów cyfr:

4435676577 4578899213 4121588787

8767787309 1144555555 8754668879

9874897447 7778789999 4778844788

3132132244 7568686789 4477771256

4687867418 4475879789 5646544413

4526584768 1456844787 3215435467

- Wielka liczba... - powiedział pan Tomasz. - Jak to szło? Rachunek; Wielka liczba w rytm serca. Ile razy na minutę bije serce? - zapytał.

- Sześćdziesiąt - odpowiedziałem.

Pan Tomasz siadł nad kartką i zaczął przebiegać po rzędkach cyfr długopisem. Co chwila zapisywał na kartce kolejną cyfrę. Tak powstał szyfr: 8778778778. Podeszedł do sejfu i wprowadził kod. Drzwi się nie otworzyły, za to z sejfu odezwał się ostro brzęczyk, a na wyświetlaczu pokazał się napis:

Kod błędny. Proszę otworzyć sejf w ciągu dziesięciu minut, inaczej zawartość ulegnie zniszczeniu.

Pan Samochodzik zbladł.

- Może pana tok rozumowania jest prawidłowy - próbowałem pocieszyć zdenerwowanego szefa - to znaczy szyfr składa się z co sześćdziesiątej cyfry z „Wielkiej Liczby”, tylko nie wolno brać pod uwagę cyfr, które już raz weszły do szyfru?

- Trudno, trzeba zaryzykować. Zrobimy tak, jak mówisz.

Po odpowiednich rachunkach kod wyglądał tak: 8774138871.

Panu Tomaszowi trzęsły się ręce, kiedy wstukował cyfry. Nigdy jeszcze nie widziałem go tak zdenerwowanego.

- Co za pycha? - mówił do siebie. - Jak mogłem was nie spytać o zdanie? Trudno, próbujemy. Po wprowadzeniu kodu maszyna zapiszczała inaczej niż za pierwszym razem, a na wyświetlaczu ukazał się napis:

Witam, profesorze Jordanek. Sejf jest otwarty.

Otworzyliśmy drzwiczki. Sejf był pusty. Dopiero, kiedy obejrzelśmy dokładnie wnętrze, zauważyliśmy przyklejoną do górnej ścianki sejfu szarą kartkę. Ona też była pusta. Znowu zapalniczka. Naszym zdziwionym oczom ukazał się tekst:

Adres prawnuczki Stanisława Wokulskiego:

(tu następował warszawski adres)

- Nieźle - Andrzej mówił przez ściśnięte gardło - jedziemy tam natychmiast.

- Najpierw z Pawłem do szpitala - powiedział Pan Samochodzik.

Zbieraliśmy się do wyjścia, kiedy wpadł mi do głowy pewien pomysł. Wziąłem z biurka papiery, z pomocą których złamaliśmy kod profesora i wrzuciłem je do sejfu. Zamknąłem drzwiczki. Wziąłem do ręki pręt leżący w kącie i spróbowałem podważyć drzwiczki. Odezwał się znajomy brzęczyk.

- Tak myślałem - mruknąłem pod nosem.

Na wyświetlaczu pojawił się napis:

Próba nielegalnego otwarcia sejfu!!!

Wprowadź prawidłowy kod albo zawartość zostanie zniszczona

w ciągu 2 minut. Zaczynam odliczanie: 01:59

Oczekaliśmy, aż na wyświetlaczu pojawiły się cztery zera. Potem usłyszeliśmy jakby mały wybuch gazu, a z rurki umieszczonej z boku sejfu poleciał czarny dym.

- Dobra robota, Pawle - powiedział szef. - Teraz już chodźmy, bo policja zaraz tu będzie. Zdobyte informacje prześlemy pułkownikowi Skorlińskiemu po drodze.

Pojechaliśmy wehikułem najpierw do szpitala, a kiedy moja ręka została fachowo opatrzona, pod podany na kartce adres.

Kiedy wysiedliśmy pod starą kamienicą, obok naszego samochodu przebiegł czarny pudel. Zaszczekał dwa razy i pobiegł w dół ulicy.

- A swoją drogą to ciekawe. Czy wiedzą panowie - zaczął mówić głośno Andrzej - że Ignacy Rzecki, jeden z bohaterów „Lalki”, też miał czarnego pudla.

- Nazywał się... - Pan Samochodzik szukał w pamięci imienia zwierzaka należącego do starego subiekta.

- Ir! - krzyknął Andrzej.

W czasie ich rozmowy przyglądałem się czarnemu pudlowi. Wydawało mi się, że kiedy Andrzej wymienił imię pudla Ignacego Rzeckiego, pies odwrócił głowę w naszym kierunku. Postanowiłem zaryzykować:

- Ir! - zawołałem w stronę psa.

Moi towarzysze spojrzeli na mnie dziwnie, a pan Tomasz powiedział:

- Nie musisz tak krzyczeć. Nie ogłuchłem ze starości.. Wiem, że Ir.

- Patrzcie - wyciągnąłem rękę w stronę psa.

Obrócili się zdumieni w kierunku pudla, który merdając ogonem biegł w naszą stronę.

- Dobry piesek, gdzie twój pan? - pogłaskałem go.

Pan Tomasz i Andrzej patrzyli zdumieni. W końcu Pan Samochodzik zarządził:

- Dość zabaw z psami, to pewnie zbieg okoliczności, mamy ważniejsze sprawy - powiedział i weszliśmy do bramy.

Kiedy wspinaliśmy się po schodach, rzuciłem okiem na wehikuł. Przy jednym z kół widać było plamę.

- Niewdzięczna bestia - syknąłem.

Stanęliśmy przed drzwiami mieszkania prawnuczki Wokulskiego. Nie było na nich tabliczki. Dopiero po trzecim dzwonku usłyszeliśmy powolne kroki. Drzwi się uchylły na tyle, ile pozwalał łańcuch. W powstałej szparze ukazała się siwa głowa kobiety. Zmęczony wzrok powoli przyzwyczajając się do mroku panującego na klatce schodowej. Wreszcie oczy, dotychczas patrzące z nieufnością, rozjaśnił błysk radości.

Łańcuch szczerknął i zobaczyliśmy niską i siwą staruszkę. Skierowała się w stronę Andrzeja,

położyła swoją pomarszczoną dłoń na jego policzku i powiedziała:

- Dzień dobry, Andrzejku, jesteś zupełnie taki sam, jak twój biedny dziadek.

ROZDZIAŁ CZWARTY
PAMIĘTNIK STAREGO PROFESORA

Kiedy obudziłem się, była noc. Leżałem na starym szezlongu i patrzyłem na dwa okna. Właściwie na jedno, ale trucizna, którą zaaplikował mi fałszywy Wokulski ciągle działała. Dom wyglądał bardzo dziwnie.

Zasłony był pozasuwane, za oknami nie słychać było samochodów. Mój wzrok przyzwyczał się do mroku i odzyskałem władzę w mięśniach. Zacząłem rozglądać się dokoła. W rogu stała ogromna gdańska szafa. Na środku pokoju umieszczono mały stolik obity zielonym sukniem, wokół którego były cztery rzeźbione krzesła. Pomieszczenie oświetlały płomyki gazowych lamp. Było dużo ciemniej niż gdyby świeciły żarówki.

Podszedłem do szafy i ujrzałem najwspanialszą kolekcję dziewiętnastowiecznych ubiorów męskich jaką kiedykolwiek oglądały moje oczy. Czegóż tam nie było: tabaczkowe spodnie, surduty, kamizelki. Do drzwi szafy przytwierdzono lustro: obejrzałem się w nim i zbaraniałem. Patrzył na mnie człowiek przebrany w chałat, z jarmułką na głowie. Do policzków miałem przytwierdzoną brodę, a wzdłuż baków spływały siwe pejsy. Skąd wiedzieli? Przecież dawno się zasymilowałem. Mniejsza z tym. Przy drzwiach, które - jak się szybko okazało - były zamknięte, zwisał sznurek dzwonnka. Pociągnąłem za niego. Po pięciu minutach zamek zachrobotał i w drzwiach ukazał się lokaj w liberii:

- Jaśnie pan mnie wzywał? - odezwał się i stanął na baczność.

- Nie, to znaczy, hm, tak... - byłem kompletnie zbity z tropu.

- Jaśnie pan czegoś sobie życzy?

- Proszę pana, o co tu chodzi, gdzie jestem? Chcę stąd wyjść...

- Wielmożny pan Wokulski zakazał mi z jaśnie panem rozmawiać na te tematy. Poza tym proszę jaśnie pana, aby zwracał się do mnie per Pawle, tak mam na imię, inaczej czuję się skrępowany tym, że jaśnie pan zbyt mi pobłaża, mówiąc do mnie per pan...

- Aaa... pan Wokulski - przypomniałem sobie draba z domku Reymonta - chcę z nim rozmawiać...

Natychmiast!

- Teraz to niemożliwe, pan będzie za dwie godziny, wtedy spotka się z jaśnie panem. Czy jaśnie pan reflektuje na kurę z rusztu z jabłkami i winem, czy woli zupę? A może znakomitego węgrzyna...

Chwyciłem świecznik stojący na sekretarzy ku i rzuciłem nim w Pawła, uchylił się zręcznie i powiedział:

- Rozumiem, że mam przynieść wszystko, służę jaśnie panu... - i wymknął się z pokoju. Zrezygnowany opadłem na szezlong.

ROZDZIAŁ PIĄTY

OPOWIEŚĆ PRAWNUCZKI, CZYLI BURZLIWE DZIEJE FELIKSA PAWŁOWSKIEGO * DWA STRONNICTWA
* SPRZYSIĘŻENIE CZTERECH * ZAGADKI * SREBRNY KWADRAT MAGICZNY * WIZYTA PROFESORA
CZESŁAWA JORDANKA * TAJEMNICZY GOŚĆ I JEGO PIES * ZAGADKA BŁAWATNEGO KUPCA

- Mój pradziad, Feliks Pawłowski, urodził się w roku 1859, co znaczy, że był młodszy od Bolesława Prusa o dwanaście lat - mówiła prawnuczka Wokulskiego. - W niemal wszystko, co panom opowiem, muszą mi panowie uwierzyć na słowo, bo całe archiwum Feliksa Pawłowskiego spłonęło w powstaniu warszawskim. Powstanie było zresztą pośrednio powodem także jego śmierci. Ale o tym potem. Wiele wskazuje na to, że to właśnie on był prototypem Wokulskiego. Proszę zresztą spojrzeć na to zdjęcie - starsza pani wyciągnęła z teczeki leżącej na sekretarzyku starą fotografię i podała ją nam.

Zobaczyliśmy portret trzydziestoletniego blondyna z ogromnymi czarnymi wąsami zasłaniającymi twarz, i stalowym, ale sympatycznym spojrzeniem. Zrobiono mu zdjęcie od torsu w górę, widać więc było także surdut, kamizelkę, białą koszulę z kołnierzem na stójkę, przewiązanym krawatką związaną w wytworną kokardę. Portret zrobiony w XIX stuleciu miał w sobie coś, co skłaniało oglądającego, by obdarzać zaufaniem dżentelmena na nim uwiecznionego.

- Prawda, że ma w sobie jakaś siłę - podjęła opowiadanie staruszka - jest może troszkę zbyt przysadzisty jak na Wokulskiego i za bardzo śmieją mu się oczy, ale już na pierwszy rzut oka widać w nim szlachetność i zdecydowanie. Widać, że to człowiek czynu. Najpierw był subiektem w sklepie swojego stryja, Antoniego. Bawił się w chemię, zupełnie jak Wokulski, ale potem wyjechał do Francji i tam doskonalił swe umiejętności ceramika w Sevres. Zatrudnił się w fabryce porcelany w Ćmielowie. Zbudował tam piec ceramiczny. Kierował finansami przedsiębiorstwa, a potem nawet całym zakładem. Za jego czasów ćmielowska ceramika zdobywała nagrody na wielu międzynarodowych wystawach. Zakład został rozbudowany, otwarto wiele nowych sklepów. Mój pradziad był także działaczem socjalistycznym. Kiedy miał siedemnaście lat, spotkał się z Ludwikiem Waryńskim.

- Tym wybitnym działaczem socjalistycznym, twórcą „Proletaryatu”? - zapytałem.

Starsza pani pokiwała głową.

- Znali się bardzo dobrze. Feliks działał w konspiracji. Dzięki skrytkom jego pomysłu można było przewozić tajną pocztę z zagranicy. Prawdopodobnie w Ćmielowie produkowano szklane kule, w których pływały sztuczne złote rybki. W tych rybkach można było chować listy. Pocztę przewoziła wysoko postawiona łączniczka, Maria Teresa Lubomirska. Mogła wyjeżdżać, bo miała glejt cesarski. Drogi mojego pradziada i Waryńskiego przecięły się jeszcze kilkakrotnie. Najpierw, po procesie krakowskim, Ludwik wyjechał na paszporcie mojego przodka za granicę. Potem, kiedy wrócił ze Szwajcarii do kraju, Feliks Pawłowski organizował dla niego obronę. Wykonał też wyrok śmierci na konfidentce Ochrany, o pseudonimie „Róża”, która zdradziła Waryńskiego. Podobno jeszcze do wojny miał zawsze w biurku pistolet, którym ją zastrzelił.

- A czy pani pradziadek znał Prusa? - zapytałem.

- Tak. Poznali się w konspiracji. Feliks drukował bibułę w drukarni „Tygodnika Ilustrowanego”, pisma, w którym publikował Prus. Zresztą w konspiracji Prus poznał jeszcze jednego prototypa późniejszych bohaterów „Lalki”. Chodzi o Aleksandra Jodkę. Podobno jego notatki były pierwowzorem „Pamiętnika starego subiekta”...

- A czy pani pradziad zostawił jakieś zapiski?

- Jak już mówiłam, wszystko spłonęło w powstaniu, ale w naszej rodzinie od pokoleń obecny jest przekaz, że powstał tekst „Dzień powszedni Feliksa Pawłowskiego”, który Prus czytał i na którym budował postać Wokulskiego. Prus zresztą podobno chciał ujawnić zasługi mego pradziada dla ostatecznego kształtu „Lalki”, ale pradziad mój nie zgodził się na to. Aha! Byłabym zapomniała. Kolejny punkt styczny z biografią Wokulskiego. Wyobraźcie sobie, że Feliks Pawłowski znał kupca nazwiskiem Suzin!

- W „Lalce” też jest kupiec rosyjski o tym właśnie nazwisku! - wykrzyknął Andrzej.

- Ten też był Rosjaninem. Znał się ze stryjem Feliksa, spotkali się na katordze. Suzin zaproponował Pawłowskiemu zamówienie na dostawy dla armii rosyjskiej. Feliks przyjął propozycję. Chciał zapewnić dobre dostawy rodakom w szeregach armii imperium. Liczył też na to, że idąc z taborami łatwiej będzie się porozumieć z rosyjskimi socjalistami. Lepsze czasy dla mego pradziada przyniosła, paradoks!, tragedia.

Stary sklep spłonął. Suzin pożyczył pieniądze na nowy i w krótkim czasie interes Feliksa Pawłowskiego przynosił takie zyski, że mój pradziad mógł zająć się filantropią. Już wcześniej pomagał różnym ludziom, na przykład siostrze Waryńskiego, którą zatrudnił w Ćmielowie, ale teraz rozwinął działalność naprawdę imponującą. Dawał pieniądze na zakłady dla nieletnich, prowadzone przez księdza Siemca, wspierał szkolnictwo rzemieślnicze, na przykład szkołę mebli artystycznych, w której wykładał Kenar. Nie zapomniawszy też o Bolesławie Prusie. Wyłożył pieniądze na książkową wersję „Emancypantek”. Założył pisarzowi konto w Banku Handlowym.

- Prus zmarł w 1912 roku. Co się później działo z pani pradziadkiem? - zapytał pan Tomasz.

- Mój pradziad przeżył Prusa o 32 lata. Kiedy przyszła pierwsza wojna światowa, był komendantem Wałów Obronnych stolicy, dbał o głodujących warszawiaków. Potem tworzył jadłodajnie dla biednych inteligentów, działał na rzecz odkupywania fabryk od Niemców. W swoim domu na Chmielnej 24 zgromadził ogromną kolekcję książek, rzeźb, obrazów. Chciał, żeby dorobek jego życia trafił do Muzeum Narodowego. Niestety, niemal cały dobytek spłonął w powstaniu warszawskim, a on sam opuścił miasto.

Dotarł aż do Częstochowy. Tam zmarł 20 października 1944 roku. Miał 85 lat - oczy starszej pani zaszyły łzami. Pociągnęła nosem i otarła twarz chusteczką z monogramem F.P. - ta chusteczka jest po nim - rozplakała się na dobre. - Takie są dzieje mego pradziada - zakończyła historię Feliksa Pawłowskiego i upiła kawę z filiżanki. - Brr... zimna... zrobię nową i zaraz opowiem panom dalej. Na razie proszę siedzieć i o nic nie pytać... pamięć już nie ta... teraz jestem skupiona... rozmowa wybiłaby mnie z rytmu...

Poszła do kuchni i po chwili wróciła z czterema parującymi filiżankami kawy. Siadła na fotelu. Napiła się kawy i podjęła opowieść.

- Tak więc dzieje mego pradziada były na pewno w jakimś stopniu wzorem dla historii Wokulskiego. Ale na tym nie koniec. Pamiętają panowie, jak kończy się „Lalka”?

Andrzej już wrywał się z odpowiedzią, ale starsza pani powstrzymała go ruchem ręki.

- Otóż „Lalka” kończy się rozdziałem opatrzonym wymownym znakiem zapytania, ale to wcale nie jest koniec. Powstały jeszcze dwa rozdziały. Dlaczego Prus ich nie opublikował? Powody były przynajmniej dwa. Pierwszy - natury artystycznej. O wiele lepiej jest przecież zakończyć powieść zawieszeniem. Przypomina wówczas dobrze spuentowany wiersz. Rozwiązanie tajemnicy, tak jak w wierszu, jest zawarte w utworze. Wystarczy trochę pomyśleć i już wiadomo, co zrobił Wokulski. Ale jest też drugi powód...

Rozległo się pukanie do drzwi. Staruszka zrobiła zdziwioną minę. Kiedy pukanie powtórzyło się, wstała z fotela i z przepraszającym wyrazem twarzy, która zdawała się mówić: „Ja też nie wiem, o co chodzi”, poszła do drzwi.

Po chwili wróciła z trzydziestoletnią na oko kobietą.

Pierwsza rzucała się w oczy ruda czupryna. Potem zauważało się zielone oczy, prosty, piegowaty nosek i usta, przypominające koci pyszczek, w które wetknięty był dymiący papieros. Dziewczyna była trochę przy kości.

- To moja cioteczna prawnuczka, Nina. Panowie pozwolą, że się do nas przyłączy? Szuka tego samego co panowie, więc... - tłumaczyła staruszka, kiedy rudowłosa wpadła jej w słowo.

- Dziękuję, babciu, sama potrafię się przedstawić - babka zbombardowała ją wzrokiem. - Jestem Nina Wołga - wyciągnęła do nas rękę, którą ściskaliśmy po kolei. Zdziwiło mnie, że ucisk jej dłoni był bardzo silny. - Przyjechałam tu z Irkucka. Idę tropem dwóch ostatnich rozdziałów „Lalki”, i jak widać, dobrym, skoro widzę tu samego Pana Samochodzika - uśmiechnęła się do pana Tomasza.

- No, no - odpowiedział szef - nie spodziewałem się, że moje skromne osiągnięcia...

- Niech pan nie przesadza. Pana sława sięga daleko, jest pan jednym z tych niewielu mężczyzn, których podziwiam - powiedziała i spojrzała na niego łaskawie - czego nie mogę powiedzieć o reszcie pana zespołu. Czy jest pan pewien, że otoczył się właściwymi ludźmi?

Obrzuciłem ją miazdzącym wzrokiem, a Andrzej wtulił się w fotel, jakby ktoś wycelował mu pistoletem magnum między oczy.

- Proszę jej wybaczyć - wtrąciła się staruszka - jest młoda i nie liczy się ze słowami. Nineczko, czy możesz sobie zrobić kawę i usiąść z nami, właśnie opowiadam o sprzysiężeniu...

Dziewczyna poszła do kuchni i po chwili wróciła z kubkiem kawy. Kiedy usadowiła się w fotelu, starsza pani podjęła opowieść:

- No więc, gdzie ja to byłam... Aha... Drugi powód. Drugi powód panowie i, oczywiście ty, Nineczko...

- Babciu, czy możesz nie bić pokłonów przed patriarchatem i przejść do rzeczy? - wtrąciła się dziewczyna.

- Drugi powód, moi państwo - kobieta zamilkła i położyła wskazujący palec na ustach, zamyśliła się - jak to powiedzieć...? Sama dokładnie nie wiem, o co chodziło. Prus ukrył w tych dwóch rozdziałach jakieś informacje dotyczące przeszłości grupy wysoko postawionych osób. Coś, co obciążało przynajmniej trzy czy cztery szacowne rodziny warszawskie. Ale nawet ja nie wiem, co to było... Mniejsza z tym. Prus zdeponował te dwa ostatnie rozdziały u człowieka, któremu ufał, u doktora Szumana... przepraszam, chodzi oczywiście o doktora Stanisława Słonimskiego. Ktoś jednak z bliskiego otoczenia Prusa zdradził. Grupa wysoko postawionych osób, o których wcześniej mówiłam, w jakiś sposób dowiedziała się o dwóch ostatnich rozdziałach „Lalki”. Jej członkowie wpadli w popłoch. Postanowili wykraść i zniszczyć rękopis. Łatwo było wtedy w Warszawie znaleźć ludzi niechętnym Żydom. Najęli więc jakiegoś antysemitę. Ich wysłannik najpierw zaczął

wysyłać listy z pogrózkami, a potem, kiedy doktor odmawiał kategorycznie wyjawienia szczegółów ukrycia rękopisów i rzadko wychodził z domu, ten drab włamał się pewnej nocy do jego mieszkania i gdyby nie lekki sen służącej i wrzask, jakiego narobiła, ujrzawszy obcego człowieka w domu, rękopis przepadłby bezpowrotnie.

Doktor bał się, że próby włamania się powtórzą i postanowił powołać sprzysiężenie, które byłoby dla niego pomocą w trudnej misji przechowania rękopisu. Sprzysiężenie zostało zawiązane wczesną wiosną 1889 roku, kilka tygodni przed drukiem ostatniego rozdziału „Lalki”.

Do spisku weszły cztery osoby. Doktor Stanisław Słonimski, Julian Ochorowicz, Feliks Pawłowski i twój - w tym miejscu schyliła się w stronę Andrzeja - dziadek, Stefan Węgiełek. Spotkali się pewnej nocy w domu doktora. Ustalili, gdzie ukryją dokumenty. Ochorowicz, jako wynalazca, miał zająć się skonstruowaniem urządzenia, w którym można by bezpiecznie ukryć rękopis. O miejscu ukrycia papierów wiem jedynie to, że zostały wywiezione z Warszawy. Był z tym zresztą problem. Oto jak poradzili sobie z nim nasi spiskowcy. Najpierw doktor Słonimski spotkał się niby przypadkiem z moim pradziadem w kawiarni na Nowym Świecie, która znana była jako „twierdza” tych, którzy poszukiwali dwóch ostatnich rozdziałów „Lalki”. Skarżył mu się, że ma jakieś cenne papiery, które ciągle przysparzają mu kłopotów.

Mówił przy tym tak głośno, by słyszano go nawet w najdalszych kątach lokalu. Mój pradziad równie gromkim głosem zaoferował mu pomoc. Kiedy byli już pewni, że ci, do których były skierowane te słowa, zainteresowali się rozmową, zniżyli głos do szeptu i poczęli, niby to w pośpiechu kreślić improwizowany plan na serwetce. Kiedy wszystko było gotowe, doktor spojrzął na zegarek i łapiąc się za głowę wyciągnął siłą mego pradziada z kawiarni pozostawiając serwetkę na stoliku. Doktor musiał być dobrym aktorem, bo kiedy tego samego dnia wieczorem odjeżdżała spod jego domu dorożka z nim i moim pradziadem, ruszył za nimi skromny powóz wysłany przez nieprzyjaciół. Ochorowicz i Węgiełek, którzy wcześniej odebrali od doktora dwa rozdziały „Lalki”, tylko na to czekali. Węgiełek, który doskonale potrafił powozić, pociągnął za lejce i ruszyli w kierunku przeciwnym.

Kiedy spiskowcy spotkali się w nocy, Węgiełek i Ochorowicz nalegali, by wymyślić jakiś klucz do zagadki, który pozwoliłby każdemu z uczestników sprzysiężenia odnaleźć dokumenty, gdyby inni, obojętnie z jakich powodów, nie mogli do nich dotrzeć, a przyszedłby już czas, że dokumenty mogłyby ujrzeć światło dzienne. Stworzyli więc specjalny czteroczęściowy szyfr. Rodzaj gry. Każdy z nich wymyślił jakieś zadanie, które doprowadzało do jednej z czterech skrytek. Każda zawierała część szyfru, prowadzącego do ostatniej, najważniejszej skrytki zawierającej wyjaśnienie wagi dwóch ostatnich rozdziałów „Lalki” i instrukcje, gdzie szukać rękopisu.

Prace nad zagadkami trwały miesiąc.

Podczas ponownego spotkania doktor i mój pradziadek otrzymali od Węgiełka i Ochorowicza koperty z kawałkami szyfru, który mieli umieścić w swoich skrytkach.

Spiskowcy związali się przysięgą, że przechowują tajemnicę aż do śmierci i jeśli by dwa rozdziały musiały pozostać w ukryciu, kiedy umrą, przełożą swoją wiedzę potomkom albo, jeśli umrą bezpotomnie, najbardziej zaufanym osobom. Ja jestem depozytariuszką skrytki mojego pradziada. Spisek okazał się skuteczny. Nikt nie zdołał wpaść na trop tajemnicy przez wiele lat. Dopiero profesor Jordanek wpadł na trop. Zadzwoił do mnie trzy dni temu. Zaprosiłam go do siebie. Jakiś czas temu wpadł na moje „pokrewieństwo” z powieściowym Wokulskim i od dawna chciał ze mną porozmawiać. To taki miły człowiek i od razu wzbudza zaufanie! Opowiedziałam mu o wszystkim i

pokazałam blaszkę. Jakież było moje zdziwienie, kiedy on ze swojego portfela wyciągnął inną część talizmanu. Kiedy zbliżyliśmy jedną do drugiej, okazało się, że pasują nie tylko pola kwadratu magicznego, ale również litery i cyfry po drugiej stronie. Profesor Jordanek powiedział, że otrzymał tę blaszkę w spadku po jakimś swoim wuju, który mieszkał w Stanach Zjednoczonych i trafiła do niego przypadkowo. Nosił ją jako swego rodzaju talizman, ale nie wiedział, że była znakiem sprzysiężenia. Pozwolił mi zrobić odbitkę ołówkiem swojej części blaszki. Zrobiłam też odbitkę obu części razem, a on wykonał kopię mojej. Oto one - starsza pani wyciągnęła z teczki leżącej na sekretarzyku cienką kartkę papieru i pokazała ją nam.

16 3

5 10

9 6

4 15

N 52°

E 21°

- Przekazałam profesorowi również wskazówkę mojego pradziadka - kontynuowała prawnuczka Wokulskiego - aby spróbował odszukać skrytkę. Zwrócił mi ją następnego dnia, uśmiechając się i mówiąc, że już w połowie rozwiązał zadanie. Nie chciał jednak zdradzać szczegółów i tłumaczył, że objaśni wszystko, kiedy odkryje skrytkę.

- A więc Czesiek był na tropie - pan Tomasz zamyślił się - Czy pani wie, że on zaginął, ale zostawił nam wskazówki, które doprowadziły nas do pani. Może więc odkrycie, gdzie schowane są dwa ostatnie rozdziały „Lalki”, pozwoli nam również odszukać Cześka? Czy możemy zobaczyć wskazówkę, którą zostawił pani pradziad?

- Proszę bardzo - powiedziała, staruszka. Sięgnęła po kopertę leżącą na stoliku i wyciągnęła z niej arkusz kartonu, na którym, w regularnych odstępach, ktoś powycinał dziury.

- Muszę panów zmartwić - staruszka mówiła bardzo cicho i z przejęciem - ale nie tylko profesor Jordanek wpadł na trop rękopisu. Dzisiaj, dosłownie kilka minut przed tym jak panowie przyszli, zjawił się u mnie pewien człowiek. Uchyliłam łańcucha. Był bardzo wysoki, nosił staromodne ubranie, a u jego boku stał czarny pudel.

„A więc to nie był przypadek!” - pomyślałem i ciarki przeszły mi po grzbiecie.

- Przychodzę od pana Stanisława Wokulskiego - powiedział - Zdziwiłam się. Pamiętam, że kiedy mój przodek przekazywał mi tajemnicę, powiedział, że hasłem spiskowców jest to właśnie zdanie. Nauczył mnie też odzewu.

- Czy aby nie po perkal i majolikę? - powiedziałam.

- Oczywiście, pięć funtów perkalu i dwie wazy z majoliki - odpowiedział nieznajomy.

- Wszystko się zgadzało. Już miałam mu otworzyć, kiedy przypomniałam sobie o kwadracie magicznym. Spiskowcy zabezpieczyli się dodatkowo. Doktor Słonimski narysował kwadrat magiczny o boku ośmiu pól, a Ochorowicz odlał go ze srebra. Potem spiskowcy rozłamali go na cztery części i każdy z nich wziął jedną. Dzięki temu nawet nie znający się potomkowie pierwszych uczestników sprzysiężenia mogli się poznać. Dodatkowym zabezpieczeniem były współrzędne miejsca, gdzie ukryto rękopis, odcisnięte na drugiej stronie kwadratu. Wystarczyło złożyć przynajmniej dwie części kwadratu, by być pewnym, że ma się do czynienia ze spadkobiercą członków sprzysiężenia. Kiedy zebraloby się czterech spadkobierców lub czterech członków stowarzyszenia, można było odczytać

wskazówkę. Proszę, niech państwo zobaczą: oto moja część kwadratu - powiedziała starsza pani i wyciągnęła z kieszeni pokrytą patyną czaszą blaszkę.

Wszyscy oglądali z uwagą zagadkowy przedmiot. Kiedy dotarł do mnie, wziąłem go do ręki i obejrzałem z uwagą. Na awersie miał cztery cyfry ułożone w kwadrat.

163

510

Po drugiej stronie widać było kawałki jakichś liter i cyfr.

N 52°

- Poprosiłam tego człowieka - kontynuowała starsza pani - żeby dał mi kawałek „talizmanu”, jak go nazywał pradziadek. Zrobił to niechętnie, ale dał mi w końcu blaszkę. Kiedy przyłożyłam ją do swojej, wszystko się zgadzało. Suma cyfr w pionie wynosiła 34. Wiedziałam od pradziadka, że taki właśnie wynik dawało dodawanie cyfr z magicznego kwadratu wykonanego przez Ochorowicza. Ale kiedy spojrzałam na drugą stronę, zadrżałam. Nic tam nie było. Chociaż byłam zdenerwowana, oddałam tajemniczemu gościowi blaszkę i powiedziałam, że wszystko w porządku.

Wyłumaczyłam, że zamknę drzwi i odczepię łańcuch, żeby mógł wejść. Zamknęłam drzwi i zatrzasnęłam zamki. - Otwieraj, wiedźmo! - krzyknął człowiek z brodą, a jego pies zaczął szczekać i drapać w drzwi. - Otwieraj, bo wyważę drzwi. - krzyczał nieznajomy. - Dzwonię na policję! - odkrzyknęłam i wykręciłam numer. Zaczął uderzać nogą w zamek. Drzwi prawie ustąpiły, kiedy na ulicy rozległa się syrena radiowozu. - Jeszcze się policzymy! - krzyknął napastnik i usłyszałam, jak zbiega ze schodów.

ROZDZIAŁ SZÓSTY PAMIĘTNIK STAREGO PROFESORA

Wokulski pojawił się po dwóch godzinach. Był zmęczony i wściekły. Do tego czasu zdążyłem się przebrać w trochę normalniejszy strój. Miałem teraz na sobie surdut, kamizelkę, tabaczkowe spodnie i lakierki. Drzwi otworzyły się i wszedł Paweł:

- Pan Wokulski przyszedł - zaanonsował służący.

- Prosić! - powiedziałem.

Do pokoju wszedł człowiek z domku Reymonta. Usiadł na krześle i po chwili zaczął:

- Przepraszam, doktorze, za to, że użyłem tak drastycznych środków, ale pański opór znacznie utrudniał moje plany.

- Nie jestem doktorem, jestem profesorem - odpowiedziałem obrażony.

- No, no, nie ma się co gniewać, po co wypierać się chwalebnej przecież przeszłości. Sprowadziłem tu pana, bo chcę prosić o pomoc. Obaj przecież szukamy tego samego.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Doprawdy? Pan i ja jesteśmy przecież rycerzami okrągłego stołu, szukającymi Świętego Graala polskiej literatury. Pozwoli pan, że mu coś pokażę... - powiedział i wyciągnął z kieszeni surduta dwie blaszki „talizmanu”. Złożył je razem i pokazał mi. Wszystko się zgadzało z jednej i drugiej strony. - Mam już dwie. Brakuje dwóch, żeby dotrzeć do współrzędnych, omijając tę głupią grę urządzoną między innymi przez pańskiego dalekiego kuzyna. Pana pierwsze zadanie, jeśli zgodzi się pan mi pomóc, będzie polegało na skopiowaniu blaszki starszej pani. A może gdzieś pan ukrył swoją kopię. Zresztą zaraz się dowiemy... - uśmiechnął się złośliwie. - Ignacy! Serum prawdy - powiedział. Podziękowałem niebiosom za to, że zniszczyłem papierową kopię blaszki prawnuczki.

Zza kotary, która zasłaniała drzwi przejściowe odezwało się skrzypnięcie i zza moich pleców wyłonił się drab, który sprzedał mi informacje o tym, gdzie ukryty jest rękopis. Tymczasem Wokulski skoczył do mnie i chwycił silnie za rękę. Kiedy Ignacy Rzecki celował w mój przegub igłą, a Wokulski mówił: „Radzę się rozluźnić, to nie będzie bolało...”, zobaczyłem coś, co ścięło mi krew w żyłach. Na dłoni rzekomego Rzeckiego odbity był fragment kwadratu magicznego, zupełnie taki sam, jak na mojej blaszce.

Lekarstwo zaczęło działać. Wokulski rozsiadł się w fotelu i zaczął jeszcze dwie minuty, zanim padło pierwsze pytanie:

- Czy wykonałeś kopię blaszki prawnuczki?

- Tak, ale ją zniszczyłem - odpowiedziałem, nie mogąc się oprzeć działaniu serum.

- Czy starsza pani miała wskazówkę Pawłowskiego?

- Tak.

- Czy rozwiązałeś zagadkę?

- Prawie - uśmiechnąłem się złośliwie - otwierałbym dziś pierwszą skrytkę, gdybyście mi nie przeszkodzili...

- Gdzie jest skrytka?

- Nie wiem...
- Jak to nie wiesz? - zdziwił się Wokulski. - Co to była za wskazówka?
- To był patron.
- Patron?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

PATRON * KIM JEST WĘGIELEK? * ROMANS SPRZED LAT * KLUCZYK *

SMS OD PROFESORA * UWAGA NA CZARNEGO PSA! * NINA RUSZA Z NAMI * PRZĘDZALNIA * MAPA *

CZARNY PUDEL * SŁAWNA ĆMIELOWSKA PORCELANA * PRZEZ FOSE * DYSKUSJA O FEMINIZMIE *

ZAMASKOWANY NAPASTNIK * WEHIKUŁ POKAZUJE, CO POTRAFI * DELIKATNY SKARB W ROWIE *

JEJ IMIĘ

- Patron? - Andrzej zdziwił się, kiedy powiedzieliśmy mu, czym jest wskazówka Feliksa Pawłowskiego

- Co to jest ten patron?

Staliśmy teraz wszyscy w kółeczku wokół pana Tomasza, który trzymał w ręku patron Feliksa Pawłowskiego i dokładnie oglądał go pod wielką lampą zwisającą z sufitu.

- To rodzaj karty perforowanej z programem dla urządzenia przedzalniczego - wytłumaczył pan Tomasz - system perforowania patronów ze zdjęć opracował genialny polski uczonec, Jan Szczepanik.

- A więc nie pozostaje nam nic innego, jak znaleźć jakąś przedzalnnię i zobaczyć, co kryje w sobie ten patron - powiedziałem.

- Zanim panowie wyruszą w drogę - przerwała mi starszka - mam jeszcze dwie sprawy. Proszę niech wszyscy usiądą.

Rozsiadliśmy się wszyscy na fotelach.

- Pierwsza sprawa, którą muszę wyjaśnić dotyczy ciebie, Andrzejku - starsza pani spojrzała na Węgiełka. Zadajesz sobie pewnie pytanie, skąd cię znam? - odetchnęła głęboko. - Znałam dobrze twego dziadka, przez pewien czas byliśmy nawet zaręczeni. Niestety... czasem w życiu układa się tak samo jak w książkach. Ludzie zresztą nie uczą się niczego - przyłożyła palec do oka, jakby coś jej do niego wpadło i przerwała na chwilę - przecież mój pradziad sam popełnił coś, co podówczas w eleganckich salonach nazywano po kątach mezaliansem... ale nie dał z siebie zrobić trędowatego... Więc twój dziadek był pierwowzorem powieściowego Węgiełka. Był to człowiek nieuczony, ale z ambicjami. Dużo czytał, a szczególną czią otaczał Bolesława Prusa. Kiedy dowiedział się, że jego osoba posłużyła za inspirację dla wielkiego pisarza, nie wahał się ani chwili i w Urzędzie Stanu Cywilnego zmienił swoje prawdziwe nazwisko, jakie ono było - już nikt nie pamięta, na Węgiełek. To on później przystąpił do sprzysiężenia i razem z Ochorowiczem ukrył rękopisy. Czy jesteś jedynym męskim potomkiem swojej rodziny?

Andrzej był poruszony. Zduszonym głosem powiedział:

- Tak, ale nie mam trzeciej blaszki...

- Nikt nigdy nie przekazywał ci tajemnicy?

- Nikt... Całe rodzinne archiwum zginęło w powstaniu warszawskim.

- No trudno... - powiedziała starsza pani i wytarła nos. - Druga sprawa... - powiedziała - przepraszam na chwilę... - prawnuczka Wokulskiego wybiegła na chwilę z pokoju. Usłyszeliśmy trask przewracanych przedmiotów, jakby ktoś oparł się o szafkę wypełnioną małymi przedmiotami. Po chwili weszła do pokoju.

Miała zaczerwienione oczy, ale uśmiechała się. Trzymała w ręku jakiś mały przedmiot połyskujący złotym kolorem w świetle lampy.

- Po drugie - przełknęła ślinę - jest kluczyk... - podała Węgiełkowi mały klucz. Andrzej wziął go do ręki, a potem przekazał nam. - Nie wiem, co otwiera ten kluczyk, może skrytkę z rękopisami? Wpatrywałam się w niego czasami bardzo długo, ale nie zdołałam odkryć, do jakiego zamka pasuje. Może panowie...?

Przerwał jej dźwięk telefonu komórkowego. Usłyszeliśmy dwa długie dźwięki, a pan Tomasz zaczerwienił się.

- To mój - powiedział - przepraszam.

Odszedł na chwilę od naszego grona i kiedy my oglądaliśmy klucz, odczytywał wiadomość.

Kluczyk był złoty, niezbyt długi, ale musiał być od dość skomplikowanego zamka, bo na jego końcu szczyrzyło się kilkanaście ząbków. Bez sprzętu trudno było określić, ile mógł mieć lat.

- Moi drodzy - pan Tomasz wrócił do nas z wypiekami na twarzy - dostałem SMS od Cześka, posłuchajcie:

Tomku! To ja Czesiek! Uważaj na czarnego psa i jego właściciela. Po nitce do patrona, po patronie do kłębka. Ratujcie! Jestem w

- A więc wszystko jasne! - wykrzyknął. - Ruszamy. Odwiedzimy mojego znajomego, pana Wronę, który jest fanatykiem starego przemysłu przędzalniczego. Myślę, że może nam pomóc.

- Niech pan weźmie to ze sobą - staruszka wyciągnęła w kierunku Pana Samochodzika srebrny talizman - na szczęście.

Pan Tomasz podziękował kiwnięciem głową.

- Dziękujemy paniom za miły wieczór - ukłonił się pan Tomasz.

- Idę z panami - Nina Wołga podniosła się z fotela. - Na pewno się na coś przydam. Mam nadzieję, że nie jesteście szowinistami i nie boicie się w swoim gronie kobiety.

Andrzej coś bąknął pod nosem, ja milczałem, a szef powiedział:

- Ależ oczywiście, pani Nino, co cztery głowy, to nie trzy. Zapraszamy.

Twarz Rudolfa Wrony rozpromieniła się na widok pana Tomasza:

- Witam, witam, cieszę się, że nareszcie znów mnie pan odwiedził! - Wrona przypominał trochę zapaśnika. Był całkiem łysy, a nad roześmianymi ustami rozpościerały się ogromne siwe wąsy, podkreślone na końcach. Inżynier Wrona miał na sobie pasiasty podkoszulek. Pomimo podeszłego wieku jego mięśnie ciągle były mocne, a ręce uwalane smarem i farbą przypominały bochenki chleba. Z kieszeni jego granatowego kombinezonu, wybrudzonego bardziej jeszcze od rąk, wystawały rozmaite narzędzia; młotek, obcęgi, kombinerki, śrubokręty.

Pan Tomasz wytłumaczył panu Wronie, co nas do niego sprowadza:

- Ma pan szczęście - krzyknął Wrona - kiedyś zrekonstruowałem maszynę przędzalniczą Szczepanika! - w jego oczach pojawił się błysk pasji. - Będzie dla mnie zaszczytem użyć tego urządzenia do odczytania patrona z czasów naszego zapomnianego mistrza! Proszę za mną.

Weszliśmy do sporego warsztatu. Pod ścianami stały stoły zarzucone dziwacznymi urządzeniami i planami maszyn. Na ścianach wisiały portrety wielkich wynalazców. Rozpoznałem Tomasza Alwę Edisona, Franciszka Rychnowskiego, Grahama Bella i Jana Szczepanika. Ten ostatni, młody,

elegancko ubrany, z jasnym wąsem pod nosem, siedział zamyślony przy jakimś sekretarzyku. W jednej ręce trzymał kawałek tkaniny, w drugiej patron, bardzo podobny do naszego. Pod sufitem warsztatu zwieszały się kable, druty, podręczne lutownice i ogromne żyrandole, które rozświetlały całe pomieszczenie.

- Oto genialny wynalazek Jana Szczepanika! - inżynier Wrona wyciągnął z kąta zakurzone urządzenie i ustawił je na środku pomieszczenia. - Ten stół - wskazał na potężny mebel, na blacie którego wznosiła się maszyna z umieszczonymi na niej wskaźnikami - to swego rodzaju skaner. Kable, które tu państwo widzą - podniósł wiązkę drutów, którymi maszyna była połączona z wielkim, podobnym do szafy urządzeniem, w którym zwracały uwagę przede wszystkim koła rozmaitych rozmiarów - przekazują impulsy elektryczne ze zdjęcia do maszyny perforującej patrony, połączonej z maszyną tkacką Jacquarda - inżynier poglądził jedno z kół urządzenia podobnego do szafy. - Perforacja na patronie „mówi” maszynie, kiedy ma stosować nitkę białą, a kiedy nitkę czarną. Dziurka przepuszcza ładunek elektryczny i wtedy maszyna wybiera czarną przędzę, a kiedy ładunku nie ma, przędzie białą nitką. Dzięki temu można w godzinę utkać gobelin, który ręcznie trzeba by tkać dłużej niż miesiąc! Czy mogą mi panowie dać patron?

Pan Samochodzik wręczył inżynierowi Wronie karton, który dostał od prawnuczki Wokulskiego. Rudolf Wrona umieścił go w maszynie i puścił urządzenie w ruch. Po chwili maszyna tkacka ruszyła. Nitki z dużą prędkością zaczęły układać się w obraz.

- To chwilę potrwa, zapraszam państwa na kawę.

Inżynier Wrona opowiadał nam o wielkim sukcesie finansowym, którym było wykorzystanie jako wzorca do gobelinów obrazu przedstawiającego apoteozę cesarza Franciszka Józefa:

- Trafił wtedy w dziesiątkę - powiedział inżynier - miłościwy pan obchodził pięćdziesiątą rocznicę swych rządów i kopie obrazu Rauchingera sprzedawały się jak ciepłe bułeczki w całych Austro-Węgrzech... - Wrona na chwilę zamilkł, podniósł palec wskazujący do góry i zastygł, jakby się w coś wsłuchując. Po chwili powiedział cichszym tonem: - Oho! chyba stanęła!

Z otwartymi ustami przyglądaliśmy się gobelinowi, który leżał przed nami. Na samej górze widniała wielka litera „Ć”. A pod nią herb jakiegoś miasta. Pod spodem był plan. W jednym miejscu widniał na nim krzyżyk, zupełnie jak na pirackich mapach.

- Co może oznaczać to „Ć”? - zastanowiłem się głośno.

Nina popatrzyła na mnie z politowaniem. Złożyła palce w kółeczko, które w międzynarodowym kodzie gestów oznacza „OK.” i powiedziała:

- Twój mózg jest taki, bo spuchł od myślenia. Nie słuchałeś mojej ciotecznej prababki. „Ć” to Ćmielów.

Nina działała mi na nerwy, ale musiałem przełknąć jej obelgę. Miała rację. To była mapa zamku w Ćmielowie. Znałem ten plan z internetowej bazy danych o zamkach w Polsce, którą lubiłem przeglądać w czasie, kiedy nasz departament nie miał nic do roboty.

- Kierunek Ćmielów - zakomenderował Pan Samochodzik. Zwinęliśmy makatkę, podziękowaliśmy panu Rudolfowi i wsiedliśmy do wehikułu.

- Jest czwarta w nocy - powiedział Pan Samochodzik. - Czesiek czeka na ratunek. W Ćmielowie możemy być już za dwie - trzy godziny. Będziemy zmieniać się przy kierownicy co godzinę. A żebyśmy nie zasnęli, Paweł opowie nam o sławnej ćmielowskiej porcelanie.

- Interesujesz się porcelaną - Nina spojrzała na mnie z pogardą - I ty służyłeś w „czerwonych beretach”? - zaśmiała się.

Pan Tomasz przekręcił kluczyk stacyjki i noc rozświetliły reflektory wehikułu. W jaskrawych snopach bieli ujrzeliśmy psa - przed samochodem stał czarny pudel i machał ogonem.

- Żadnych gwałtownych ruchów, złapię go - powiedziałem. Powoli otworzyłem drzwi i do samochodu wpadło chłodne, nocne powietrze. Postawiłem nogę na chodniku. Pies ciągle machał ogonem, ale w tym momencie Nina kichnęła potężnie i Ir uciekł w ciemność.

- Przepraszam - powiedziała zaczerwieniona - to przez ten chłód.

Wściekły wsiadłem do samochodu. Ruszyliśmy w kierunku alei Krakowskiej, minęliśmy pustą o tej porze pętlę autobusową obok lotniska Okęcie i ruszyliśmy w kierunku Raszyna. Powiedziałem do szefa:

- Widziałem u pana, panie Tomaszu, kotka z Ćmielowa. Bardzo ładny okaz. Czy zdaje sobie pan sprawę, ile jest wart drobiazg, który trzyma pan na biurku?

- Coś mi wspominałeś, pewnie z 50 złotych...

- Otóż figurki ze sławnej ćmielowskiej fabryki porcelany, podobne do tej pańskiej, można dzisiaj kupić na internetowych aukcjach po 500 zł.

Pan Tomasz pokręcił głową z niedowierzaniem. A ja opowiedziałem o garncarzu Wojtasie, który założył w 1790 roku warsztat garncarski, przeistoczony z czasem w fabrykę, należącą potem między innymi do rodziny Druckich-Lubeckich. Opowiedziałem o czasach świetności zakładu, o nagrodach na wystawach międzynarodowych, o tym, jak postanowiono w Ćmielowie produkować figurki, zaprojektowane przez świetnych polskich artystów. O tym, jak zakład podupadł i jak teraz powoli się znów odradza.

O ósmej byliśmy w Ćmielowie. Skręciliśmy na południe i już po chwili mogliśmy cieszyć oczy ruinami zamku otoczonymi fosą i oświetlonymi mocnym, porannym słońcem. Kiedy wjechałem w wodę, Nina krzyknęła:

- Czy twoje ego tak się rozrosło, że wierzysz w to, że samochody, które prowadzisz, umieją pływać.

Nic nie odpowiedziałem, tylko uruchomiłem śrubę umieszczoną z tyłu wehikułu. Nina, kiedy zorientowała się, że nasz samochód jest także amfibią, nic nie powiedziała, tylko ze strachem w oczach zwinęła się w kłębek i dopiero, kiedy odpłynęliśmy trochę od brzegu rozluźniła się i usiadła normalnie.

Ruszyliśmy przez fosę w kierunku wyspy. Kiedy powoli zbliżaliśmy się do majestatycznych ruin, opowiedziałem moim towarzyszom o historii zamku:

- Pierwsze wzmianki o zamku pochodzą z 1388 roku. Gniewosz z Dalewic kupił go wtedy za 10 tysięcy grzywien od braci Marcina i Mikołaja z Baruchowa. Na początku XVI wieku Krzysztof Szydłowiecki, późniejszy kanclerz wielki koronny, przebudował warownię i uczynił z niej swoją rezydencję.

W 1606 roku zamek stał się własnością księcia Janusza Ostrogi, który uczynił z ćmielowskiej warowni swoją „stolicę”. Dobudował cztery bastiony. Umieścił na zamku także oddział wojska. W 1621 roku książę zmarł bezpotomnie i zamek przeszedł w ręce księcia, nomen omen, Franciszka Zasławskiego. W czasie potopu szwedzkiego zamek został zniszczony. Z jego zdobyciem wiąże się ciekawa legenda. Szwedzi nie mogli zdobyć fortecy. Otaczające go bagna skutecznie hamowały ich wysiłki. Wówczas posłużyli się podstępem. Przebrali się za orszak ślubny i podeszli pod zamek. Wiedzieli doskonale, że polska gościnność każe przyjąć młodą parę. Nie pomylili się w rachubach. Obrońcy otworzyli bramę i Szwedzi zdobyli zamek.

Potem czekali tu na księcia siedmiogrodzkiego, Jerzego Rakoczego. Kiedy ten przybył, zniszczyli niepotrzebną im już warownię. Zamek próbowali odbudować w drugiej połowie XVIII wieku Małachowscy, twórcy fabryki porcelany. Nic z tego jednak nie wyszło i w 1800 roku w pozostałościach zamku powstał browar. Zamek, jak państwo widzą, nigdy już nie odzyskał dawnej świetności.

- Nie on pierwszy i nie ostatni - podsumował ze smutkiem pan Tomasz.

Kopaliśmy we wskazanym przez Feliksa Pawłowskiego miejscu od dwóch godzin. To znaczy kopalem ja i Andrzej, bo pana Tomasza zwolniliśmy z tego wysiłku, a Nina zwolniła się sama. Wyciągnęła z torby jabłko i siadła na ziemi kilka metrów od nas.

- No i nasza emancypantka pokazała, na czym polega feminizm - powiedział w pewnej chwili Andrzej wyrzucając kolejną łopatę ziemi na spory kopczyk. - Na wymigiwaniu się od roboty!

Ogryzek jabłka trafił go w głowę, kiedy się pochylił, żeby wbić łopatę w ziemię.

- To przemoc! - krzyknął.

- Nie, to tylko niewystarczająca zapłata za te wszystkie lata uciskania kobiet przez patriarchów - ripostowała Nina.

- Nie kopię więcej! - Andrzej rzucił łopatę ze złością. - Niech ona weźmie się do roboty i pokaże przewagę nie tylko na froncie ideologicznym.

- Cicho! - krzyknąłem, bo poczułem pod swoim szpadlem coś twardego. Wszyscy zamilkli, a ja jeszcze raz ostrożnie uderzyłem w to samo miejsce, w którym poczułem opór. W porannej ciszy odezwało się brzęknięcie metalu o jakiś szklany przedmiot. Padłem na kolana i zacząłem odgarniać ziemię rękami. Po chwili ukazało się naszym oczom, bo już wszyscy moi towarzysze zgromadzili się zaciekawieni na brzegu dołu, ubrudzone naczynie podobne do chińskiej, wydłużonej ku górze wazy, zamknięte pokrywką. Po dwudziestu minutach naczynie zostało oczyszczone. Patrzyliśmy na znakomity przykład ćmielowskiej porcelany z końca XIX wieku.

- Dziękuję państwu za wysiłek - odezwał się głos za naszymi plecami. Odwróciliśmy się jak na komendę. Na zrujnowanym budynku pałacowym, trochę ponad naszymi głowami stał wysoki mężczyzna.

Czarna peleryna powiewała na lekkim wietrze. Na głowie człowiek miał czarny cylinder. Na twarzy maskę, która przypominała mi tę zakładaną przez sławnego Zorro. W ręku, zamiast szpady, trzymał długą laskę ze srebrną główką.

- Czarny Cylinder! - wyrwało się Andrzejowi.

- Do państwa usług! - złoczyńca zaśmiał się szyderczo.

Andrzej podszedł do wazy wydobytej z ziemi i pochylił się, żeby ją zabrać.

- Odradzam! - odezwał się ostry głos z góry. - Ta laska, nie jest zwyczajnym drobiazgiem dla dżentelmena. To również doskonała strzelba. A ja, mili państwo strzelam wybornie - powiedział, po czym nacisnął srebrną główkę. Odezwał się strzał i kula uderzyła w ziemię kilka centymetrów od nóg Andrzeja.

- Teraz proszę mnie słuchać, bo mam tu jeszcze parę kulek. Najpierw Samochodzik - warknął, a pan Tomasz wystąpił krok do przodu - kładź kluczyki od gruchota na wazie!

Pan Tomasz wykonał polecenie.

- Dobrze - odezwał się znowu władczy głos - a teraz przejdźcie w prawo, daleko od tej parodii samochodu. Tak, w porządku, kładźcie się na ziemię.

Posłuchaliśmy go. Poczulem zapach ziemi i trawy. Mokra poranna rosa wierciła w nosie. Czulem

w płucach zbliżające się przeziębienie.

- Samochodzik, do mnie! - rozkazał głos nad nami. Pan Tomasz wstał i podszedł do szantażysty.

Słyszałem jego kroki, potem szcęk stali, w końcu trzask zamykanych drzwiczek i odgłos uruchamianego silnika wehikułu. Nie minęło pięć minut, kiedy do moich uszu doszedł plusk wody, rozgarnianej śrubą naszego ministerialnego pojazdu.

Pierwszy podniósł się Andrzej. Kula śmignęła mu tuż nad głową.

- Leż! - krzyknęliśmy zgodnie z Niną.

Odczekaliśmy, aż głos śruby się oddali i wstaliśmy z ziemi.

- Jak on tu się dostał? - zastanawiał się Andrzej. - Nie było słyhać żadnego motoru. Może łódką?

- Brawo, Andrzejku! Widzę, że kiedy nie zaczadzasz się fajkami, twój mózg pracuje dużo sprawniej - pochwaliła Węgiełka Nina. - Na co czekacie? Szukamy łodzi!

Rozbiegliśmy się po wyspie. Po chwili usłyszałem dobiegający z pewnej odległości głos Andrzeja.

- Tutaj! Jest tutaj! Znalazłem łódkę!

Byłem przy nim po chwili. Mała łódka z wiosłami w dulkach chwiała się na pokrytej rzęsą tafli fosy.

- Gdzie Nina? - powiedziałem zasapany.

- Nie wiem. Wyspa jest mała, musiała mnie usłyszeć.

- Nina! - krzyknąłem przykładając dłonie do ust - Nina! Gdzie jesteś!

- Ratunku, pomóżcie mi! - rozległ się krzyk Niny gdzieś z drugiego końca wyspy.

Pobiegliśmy za jej głosem. Nina siedziała na trawie. Jej twarz wykrzywił grymas bólu.

- Potknęłam się i chyba zwichnęłam nogę - dziewczyna trzymała się za kostkę.

Złapaliśmy ją za ręce i pomogliśmy dokuśtykać do łódki. Na drugim brzegu byliśmy po pięciu minutach. Wehikuł stał z uchylonymi drzwiami kilka metrów od fosy, ale nigdzie nie było widać pana Tomasza. Pomogłem Andrzejowi wysadzić Ninę i podbiegłem do naszego wozu. Pan Tomasz leżał na tylnych siedzeniach. Był zakneblowany. Ręce miał skute kajdankami na plecach. Był przytomny. Jego twarz była czerwona, próbował coś powiedzieć.

Zdjąłem mu knebel i już miałem się zabrać do otwierania kajdanek, ale pan Tomasz krzyknął:

- Nie teraz, musimy jechać za nim! Ucieka w stronę Ostrowca Świętokrzyskiego. Wsiadajcie i ruszamy.

Pobiegłem po Andrzeja i Ninę. Nie minęło pięć minut, kiedy nacisnąłem pedał gazu, wrzuciłem jedynekę i ruszyliśmy w pościg.

- Porwał mnie, bo chciał, żebym mu pomógł przeprowadzić się wehikułem przez fosę - mówił ciągle skuty pan Tomasz - On uważa nasz samochód za złom, który nie ma szans z jego oplem vectrą.

- Widział pan jego twarz? - zapytałem.

- Niezbyt długo, poza tym miał maskę, ale wydaje mi się, że jego wąsy i broda są fałszywe.

Wyjechaliśmy na szosę i mogłem wcisnąć czerwony przycisk przy kierownicy. Drzemiący do tej chwili pod maską silnik subaru zamruczał potężnym basem i wehikuł szybko połykał kolejne kilometry.

Minęliśmy Ostrowiec Świętokrzyski, znany ośrodek hutnictwa z zabytkami tego przemysłu, na przykład Hutą Klimkiewiczów, i ruszyliśmy w kierunku Iłży.

Charakterystyczną ściętą wieżę zamkową pierwszy zobaczył pan Tomasz.

- O, Iłża - powiedział - szkoda, że nie możemy się zatrzymać i zwiedzić tego pięknego zamku biskupów krakowskich z XIV wieku...

- Albo poszukać malinowego chruśniaka... - powiedział Andrzej tajemniczo.

- To Bolesław Leśmian ma coś wspólnego z Iłżą? - dopytywał się pan Tomasz.

- Wiele razy spędzał tu wakacje. I właśnie tutaj prawdopodobnie był malinowy chruśniak, który opisywał.

Ledwie minęliśmy Górę Zamkową i wyjechaliśmy z miasta, a na drodze przed nami pojawił się czarny opel vectra. Cylinder, kiedy nas zobaczył, dodał gazu i szybko odjechał o kilkaset metrów. Na nic jednak zdały się jego wysiłki, bo wystarczyło, że lekko przyśpieszyłem i już byliśmy przy nim. Ścigany zrozumiał, że nie ma szans i zrobił coś dziwnego. W oknie od strony pasażera pojawiła się ręka, w której bielila się waza odnaleziona dzisiaj rano w ruinach ćmielowskiego zamku. Czarny Cylinder wypuścił ją i bezcenny zabytek wylądował w zarośniętym trawą rowie.

- Stój! - krzyknęła Nina i w ten sposób zdecydowała za mnie. Zareagowałem odruchowo i zahamowałem. Rzuciło kilka razy tyłem wozu, zanim zdołałem opanować wehikuł. Ledwie maszyna stanęła, a Nina i Andrzej wypadli jak z procy i już biegli wzdłuż rowu. Poszedłem do tyłu i za pomocą drutu znalezionej w schowku przy kierownicy, zająłem się kajdankami na rękach pana Tomasza.

- Ciekawe - powiedział szef - wyrzucił wazę...

- To może znaczyć, że nie jest dla niego ważna - powiedziałem.

- I że bardziej zależało mu na tym, żeby nam uciec. Co mu się zresztą udało. Ale może to i lepiej?

Przecież kiedy rozwiążemy zagadkę, powinniśmy dotrzeć też do Czeška.

Uwolniłem pana Tomasza i cofnąłem samochód, do miejsca, gdzie czekali już na nas Nina i Andrzej.

- Nic się jej nie stało - powiedział wesoło Andrzej, kiedy wysiedliśmy z wozu.

Wziąłem od niego wazę i obejrzałem ją. Naczynie musiało spaść w trawę, bo nie pękło w ani jednym miejscu. Tylko na białej porcelanie widać było zielone ślady, pozostawione przez sok roślin.

- Na co czekasz, Pawle? - zapytał pan Tomasz. - Otwieraj!

Wyciągnąłem z kieszeni scyzoryk i spróbowałem podważyć pokrywkę. Ani drgnęła.

- Może rozbić? - nieśmiało zaproponowała Nina.

- Ja wam dam rozbijać! - zachnął się pan Tomasz. - To zabytek, i kiedy już zbadamy jego tajemnicę, trafi do muzeum.

Przyglądaliśmy się bezradni wazie. W końcu Nina wzięła naczynie w swoje ręce i z szelmowskim uśmiechem pogładziła pokrywkę. Coś kliknęło.

- Aha! - powiedziała tajemniczo. - Bardzo sprytne.

Okazało się, że w pokrywkę wazy wmontowano szyfrowy zamek. Cztery fajansowe bloczki obracały się lekko i naszym oczom ukazywały się wszystkie litery alfabetu i cyfry od 0 do 9. Próbowaliśmy różnych haseł, ale waza nie dała się otworzyć. W końcu zwrócił naszą uwagę malunek na wazie. Przedstawiał portret kobiety. Włosy miała upięte wysoko. Szare oczy wpatrywały się w nas tajemniczo. Pod portretem widniał napis: A imię jej...

- Może hasłem jest imię tej babki? - rzuciłem.

- Dobrze, mądralo - powiedziała Nina - ale kto to jest?

- Ja już chyba wiem - odezwał się Andrzej - na hasło zazwyczaj wybiera się słowo, które jest nam najbliższe, ja sam... no, może nie będę zdradzał swoich tajemnic, w każdym razie myślę, że może

chodzić tu o imię ukochanej kobiety... Zaraz, zaraz, jak miała na imię żona Feliksa Pawłowskiego?

- Emma, nazywała się Emma - powiedziała Nina i chwyciła wazę. Ustawiła bloczki w odpowiedniej kolejności, przekręciła pokrywkę zgodnie z ruchem wskazówek zegara i otworzyła skrytkę. Zajrzała do środka i spojrzała na nas rozczarowana.

- Tu nic nie ma - powiedziała - tylko zgniła słoma.

Andrzej wyrwał jej wazę i zanurzył rękę.

- Ale śmierdzi - jego twarz wykrzywił grymas - no, ale widzisz, feministko, faceci czasem się przydają, nawet do czarnej roboty - ciągnął grzebiąc w naczyniu. - Jest! - jego twarz się rozjaśniła i wyciągnął czarną od zgnilizny kulę.

- Co to? - zaciekawiał się pan Tomasz. - Wygląda jak...

- Akwarium! - wykrzyknąłem. - Pamiętacie, co mówiła nam prawnuczka Pawłowskiego? Feliks wymyślił dla konspiratorów skrytkę w postaci sztucznego akwarium - sięgnąłem do środka i wyciągnąłem z wyschłego już akwarium sztuczną drewnianą rybkę. Kiedy dotknąłem rzeźby, rozsypała się, i w moim ręku została szklana fiolka z ukrytym w środku skrawkiem papieru. Pan Tomasz nadbiegał już z wehikułu z fachowym sprzętem. Odebrał ode mnie fiolkę, odetkał korek, popatrzył na mnie i powiedział:

- Weź coś do pisania.

Kiedy miałem już w rękach notes, Pan Samochodzik wydobył pęsetą kartkę i delikatnie ją przytrzymując rozwinął i odczytał:

2. ZNAJDŹ GRÓB KOBIETY, KTÓRA STYKSU WODY

UJRZAŁA, NIM ZAGASŁA JUTRZENKA SWOBODY

Kiedy skończył, papier wysuszony przez lata rozpadł się w pył, który porwał lekki, wiosenny, poranny wietrzyk.

ROZDZIAŁ ÓSMY

SEN PROFESORA

Znów byłem dzieckiem. I znów mieszkałem na Nalewkach. Cała nasza rodzina została umieszczona w getcie. Siedziałem blisko murów getta i czekałem na mojego kolegę, naszą ostatnią szansę. Zналиśmy się jeszcze z podstawówki, ale potem wojna nas rozłączyła.

Spotkaliśmy się znowu dopiero w getcie. Szedłem ulicą, rozglądając się za czymś do jedzenia, kiedy ktoś wbił mi kułaka w bok. Poznałem od razu to uderzenie, a kiedy obróciłem się, ujrzałem uśmiechniętą złośliwie twarz mojego szkolnego kolegi, który pozował teraz na warszawskiego zabijakę. Czapkę z daszkiem nosił przechyloną na lewy bok, w kąciiku ust miał papierosa.

- Co ty tu robisz? - zdziwiłem się. - Przecież ty...

- Pomagam - uśmiechnął się tajemniczo - takim jak ty...

Od słowa do słowa wyjaśnił mi, że wraz z grupką kolegów pomagają Żydom z getta wydostać się na aryjską stronę. Tylko że do tego potrzeba im dużo szczęścia, no i oczywiście... pieniędzy.

Kiedy opowiedziałem o spotkaniu rodzicom, ojciec zaczął chodzić po naszym nędznym pokoiku nerwowym krokiem, a matka, która siedziała nieruchomo na krześle, wodziła za nim wzrokiem.

- Czy ja mam zaufać małym dzieciom? - odezwał się w końcu. - Czy ty mnie namawiasz, żebyśmy nasze życie oddali w ręce małego dziecka? Ile on chce za to, żeby nam on pomógł?

Czekałem. Noc była zimna. Rozpaliłem małe ognisko w bramie opuszczonego domu przy murze getta.

Dziś mój kolega miał nam powiedzieć, jak wydostaniemy się na wolność. Tydzień wcześniej przekazałem mu wszystkie nasze kosztowności. Została nam tylko srebrna blaszka, rodzinny talizman. Z jednej strony wyryto jakieś cyfry, z drugiej fragment napisu, jakby część układanki. Blaszka spoczywała w mojej kieszeni, obracałem ją między palcami.

- To jest talizman - powiedział do mnie kiedyś ojciec, wręczając mi blaszkę. - Twój dziadek mi go dał, a ja go daję tobie. Jak będziesz się czegoś bardzo bał, to go dotknij, on ma w sobie siłę i ci ją przekaże.

Obracałem więc niecierpliwie talizman i wpatrywałem się w ciemną ziemię pod murem, która znaczyła zakopane niedawno wejście do tunelu. Miejsce było tak wybrane, że omijały je niecierpliwie krążące w powietrzu smugi reflektorów. Ognisko zgasło. Tylko w środku, pod warstwą popiołu żarzył się jeszcze wąty ogień. Wreszcie ziemia obok muru poruszyła się nieznacznie, a po chwili wyłoniła się z niej mała postać.

Postać otrzepała się z ziemi, sięgnęła do kieszeni, a po chwili wyciągnęła z niej pudełko. Zajarzył się papierosowy ogień. Kolega wszedł do bramy i podał mi rękę. Kucnął w milczeniu i zapatrzył się w ogień.

- No i co - szeptałem nerwowo - kiedy i gdzie mamy się stawić i jak nas stąd wydostaniecie?

Spojrzał na mnie beczelnie. Wypluł papierosa do ognia i powiedział:

- Za mało...

Strach ścisnął mi gardło. Zacisnąłem mocno palce na srebrnym talizmanie.

- Co ty... - wyszeptalem ledwie slyszalnym, drzyncym gl0sem.

- Za malo nam daliście - udawal zatroskanego - tak m0wią koledzy... Musicie coś jeszcze dorzucić... Co tam tak kurczowo ściskasz w kieszeni?

Cofnałem się w głąb bramy. Postąpił dwa kroki w moją stronę. Chciałem uciekać, ale nogi miałem jak z waty.

- No, Żydku, co tam masz cennego? - jego oczy zaświeciły chciwością.

W mgnieniu oka był przy mnie. Włożył rękę do mojej kieszeni. Trzymałem blaszkę mocno. Przez chwilę siłowaliśmy się nad dogasającym ogniskiem. Ale on był silniejszy. Nie zdołałem utrzymać blaszki w spoconej ze strachu ręce. Twarz mojego przeciwnika wykrzywił grymas wysiłku zmieszany z wściekłością. Wreszcie blaszka wysliznęła mi się z ręki. Ignac odrzucony własną siłą zatoczył się, upadł pod ścianę. Blaszka wypadła mu z ręki. Niskim, ściętym lotem trafiła w ognisko i znikła w popiele. Wściekły Ignac włożył do wygasłego ogniska rękę.

Nocną ciszę rozerwał krzyk, a w powietrzu rozniósł się zapach palonego ciała. Napastnik zacisnął zęby i wyciągnął blaszkę z ognia. Ból jednak był zbyt silny, bo po chwili wypuścił ją z ręki i zanurzył dłoń w kałuży. Usłyszałem syk i westchnienie ulgi. A po chwili z wieżyczek strażniczych ustawionych wzdłuż muru dobiegły nas głosy strażników, wykrzykujących niemieckie komendy.

- Masz szczęście, Żydku - jego twarz była wściekła. - Zostawiam ci twoją przeklętą blaszkę. Może ona pomoże ci się stąd wydostać, ale na mnie i moich przyjaciół nie licz. Żegnaj, Żydku, może się jeszcze kiedyś z tobą policzę...

Głosy żołnierzy były już blisko. Mój dawny szkolny kolega skoczył w stronę tunelu. Kiedy podniosłem ostygłą już blaszkę i spojrzałem w jego stronę, nad dziurą mignęły już tylko jego stopy, na których miał buty okute blachą, która błysnęła w świetle latarek zbliżających się żołnierzy. Biegłem w głąb getta. Odezwała się karabinowa seria i okrzyki po niemiecku. Tym razem strach dodał mi skrzydeł. Biegłem długo, zanim znalazłem jakieś puste i ciemne podwórko i pozwoliłem odpocząć nogom. Powolnym krokiem podszedłem do studni, osunąłem się pod cembrowinę. Napięcie ustąpiło, a po moich policzkach pociekły łzy.

I wtedy się obudziłem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ZAGADKA DOKTORA S. * SZARADY * DOKTOR S., CZYLI KTO? *

STUDENT BOLONII, PADWY I FERRARY * NIEWIELE PO NIM ZOSTAŁO... *

TU MIESZKAŁ WOKULSKI * I ZNÓW ATRAMENT SYMPATYCZNY *

CEZAR KLAUDIUSZ * KONIEC „LALKI” * NIE WSZYSTKO ZŁOTO, CO SIĘ ŚWIECI * LOT DO PARYŻA *
WIADOMOŚĆ Z WARSZAWY

Weszliśmy do kawalerki pana Tomasza. Gospodarz, który po powrocie z Ćmielowa kazał nam odpocząć cztery godziny i ponownie zebrać się w jego mieszkaniu, siedział na fotelu i czytał oprawioną w biblioteczne okładki książkę. Kiedy usłyszał nasze kroki, oderwał się od lektury. Wyglądał, jakby obudził się ze snu.

- Zastanawiacie się pewnie, co czytam? - zagadnął wesoło. - To „Śladami Wokulskiego”, książka o Warszawie z „Lalki” Prusa, ale - podniósł palec i znów się uśmiechnął - zaraz będzie generał Skorliński.

- To jakiś policjant? - odezwała się Nina. - Myślałam, że nie mieszymy do tego policji?

- Generał to nasz sojusznik. Czasem można mieć zastrzeżenia do pracy organów ścigania, zdarzało się często, że policja tylko utrudniała sprawę, ale gdyby nie policjanci, to parę razy ciężko byłoby wyjść cało z różnych przygód. Poza tym, my z Pawłem jesteśmy urzędnikami państwowymi i... - nie zdążył dokończyć, bo odezwał się dzwonek u drzwi.

Skorliński był ubrany po cywilnemu. Wyglądał na zmęczonego. Przetarł twarz dłonią, która zachrząściła na wygolonym podbródku i powiedział:

- Nie powinienem tego robić, ale znamy się już tyle lat i pan, panie Tomaszu, tyle razy nam już pomagał, zresztą może kiedy pan na to spojrzy, wszystko pójdzie szybciej... - jeszcze raz westchnął i podał Panu Samochodzikowi cienką teczkę.

- Znaleźliśmy to w mieszkaniu profesora Jordanka - powiedział.

Spojrzeliliśmy na teczkę. Był na niej napis „Zagadka dr. S.”

- To pismo Czeška - Pan Samochodzik zerwał się z fotela, wyciągnął ręce w kierunku teczki. Generał Skorliński prawie krzyknął: - Chwileczkę! Niech pan tego nie dotyka! - i wyciągnął z kieszeni marynarki gumowe rękawiczki. - Może pan zostawić odciski palców... - Miałem zresztą sporo problemów po tym, jak oznaczyliście swoimi odciskami cały gabinet profesora Jordanka.

Pan Tomasz założył rękawiczki i otworzył teczkę. W środku były kserokopie jakichś artykułów. Kiedy wyjął je na stół, pod nimi ukazała się pożółkła kartka w formie przypominająca receptę. Wykaligrafowano na niej równym, eleganckim pismem kilka słów. Pan Tomasz przeczytał zawartość kartki, przerzucił jeszcze kopie artykułów i zwrócił się do gościa: - Mogę skopiować?

Generał nic nie powiedział, tylko nieznacznym ruchem głowy wyraził zgodę. Kiedy pan Tomasz skończył pracę i oddał rękawiczki Skorlińskiemu, ten nerwowo spojrzął na zegarek i powiedział:

- Muszę iść, robota czeka, w razie czego jesteśmy w kontakcie.

Kiedy kroki policjanta ucichły na klatce, pan Tomasz podszedł do kopiarki i wyjął z podajnika plik papierów. Przejrzał go i jedną kartkę podał mi. Była to kopia pożółklej recepty. Zawartość

kartki zaskoczyła mnie. Karteluszek był niemal pusty. Tylko u góry ktoś wypisał sześciowersową zwrotkę.

*Student Bolonii, Padwy i Ferrary
z posad poruszył cały wszechświat stary.
Zbiegł papieżowi, świętej inkwizycji,
Dopiero Staszic go w stałej pozycji
osadził - Znajdź go i rozwiąż zadanie
Prawda przed okiem twoim jasno stanie.*

Pod nim drugi wiersz, tym razem tercyna:

*Pierwsze: ten co ma nos jak nogę długi,
Drugie: wysokie, biorą je w operze
Zgadnij! A kartka sens wyjawi drugi!*

Kiedy czytałem te zagadkowe zdania, Andrzej zaczął recytować:

*(...)Nie każdy już pamięta, czym był Semandini
Zaniedbując pacjentów, wiem, że „Pod Filary”
Biegł mój ojciec, gdzie razem siedzieli stłoczeni
Rapacki, Rolad, Frenkiel i Leszczyński stary,
Malarz Lentz, czasem zajrzał Lasocki ogromny
Albo szczupły Franc Fiszer, młody, cichy skromny
Ojciec mój szanowany był „Pod Filarami”
(Każdy stary warszawiak go ode mnie woli),
Żyła kiedyś Warszawa jego dowcipami,
W dawnych czasach poczciwych moskiewskiej niewoli
Piękny profil miał młody pan doktor Słonimski
Może mniej katolicki - ale bardziej rzymski(...)*

W pokoju zrobiło się bardzo cicho. Kiedy Andrzej skończył, siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. W końcu ciszę przerwały oklaski, powolne, jakby ironiczne. Spojrzeliśmy na Ninę, która siedziała w fotelu za naszymi plecami.

- Brawo, Andrzejku! Nauczyłeś się tego w szkółce niedzielnej czy w kółku teatralnym? - powiedziała.

Andrzej zrobił się czerwony:

- Muszę iść do łazienki - powiedział i wyszedł z pokoju.

- Sprawa doktora S. - przerwał ciszę pan Tomasz. - Myślę, że Andrzej ma rację. Chodzi tu o doktora Słonimskiego. Co prawda wiele osób podawało w wątpliwość to, że doktor Stanisław Słonimski mógł być prototypem doktora Szumana z „Lalki”...

- Jego najślawniejszy syn, Antoni, którego zacytowałem - perspektywa rozmowy o literaturze wywabiła Andrzeja z łazienki - też w to wątpił, ale doktor Szuman ma pewne cechy doktora Słonimskiego. Po pierwsze, był lekarzem. Najpierw tułał się po prowincji, pracował w Radomsku, Częstochowie i Łodzi, zanim w roku 1886 przyjechał do Warszawy. Posłuchajcie tego... - Andrzej

wyciągnął z torby wypchanej książkami opasły tom zatytułowany „Saga rodu Słonimskich” - to relacja Oktawii Głowackiej, żony Bolesława Prusa: „Doktor Szuman, ten dziwak z »Lalki« to nasz dobry znajomy, żyd z pochodzenia, który leczył mnie jeszcze, gdyśmy mieszkali na Twardej. Kochał się romantycznie w jakiejś panience, Polce, która umarła na suchoty” - Andrzej wpadł w trans - przecież podobnie smutne były losy ukochanej doktora Szumana!

- Ale różnic jest jednak więcej niż podobieństw! - zaprotestowała Nina. - Doktor Szuman był człowiekiem rozgoryczonym, zgorzkniałym, drażliwym i bardzo ironicznym, a Słonimski - Nina wstała i wyrwała Andrzejowi książkę - tak opisywał swojego ojca - przerzuciła kilka kartek i przeczytała: „Ojciec mój nie miał nic ze zgryźliwości i pesymizmu doktora Szumana. Dowcip jego był pogodny i niedokuczliwy, jego pogląd na świat miał szlachetną prostotę typową dla postępowej inteligencji końca wieku dziewiętnastego” - skończyła czytać Nina. - Poza tym doktor Słonimski nie był wcale starym kawalerem - miał żonę, a nawet dwie i czwórkę dzieci. W dodatku ochrzcił się, czego nie zrobił dr Szuman, chociaż brał to pod uwagę.

- Dobra, nie kłóćmy się - powiedział Andrzej - i tak nie rozstrzygniemy, czy dr Słonimski i dr Szuman to ta sama osoba. W literaturze nic nie jest takie proste i jednoznaczne. Pisarz klei postać z życiorysów kilku różnych osób, na przykład Melchior Wańkowicz, wielki polski reporter, w ogóle się z tym nie krył. Jeden życiorys, jego zdaniem, był zbyt mało ciekawy, żeby zainteresować czytelnika. Można się kłócić, czy to właściwa metoda, ale pisarze na pewno ją stosują.. - Andrzej przerwał i podrapał się po głowie - co to ja chciałem powiedzieć...

- Chciałeś wygłosić wykład - wtrąciła się Nina - ale my nie jesteśmy twoimi studentami...

- Już wiem! - Andrzej uderzył się otwartą dłonią w czoło. - Jest jeden trop. który prowadzi nas do zagadki rękopisu Prusa. Otóż w salonie doktora Słonimskiego odbywały się konspiracyjne spotkania działaczy PPS-u, Nino, czy mogę wziąć od ciebie książkę? - stanął na środku pokoju i powiedział: - Posłuchajcie tego wspomnienia Antoniego Słonimskiego: „Siedzieliśmy przy kolacji, gdy nagle wpadł przyjaciel ojca, Sybirak Czartkowski, palto rzucił w przedpokoju i zdyszany siadł przy stole. Matka postawiła szybko jeszcze jedno nakrycie, a ojciec plik papierów wręczony mu przez Czarkowskiego wsadził w rurę nie używanego od dawna samowara stojącego w kącie na stoliku. Po paru minutach załomotały kolby karabinowe do drzwi: *Czy tu się nie ukrył zbiegły przestępca PPS?* Wszyscy swoi. Czartkowski, gość zaproszony na kolację, wylegitymował się lewymi dokumentami. Wszystko w porządku. Tylko ja idiotycznie nie mogłem oczu oderwać od stojącego w kącie samowara, aż ojciec kopnął mnie pod stołem i oprzytomniałem.” Czy wy to widzicie? Plik papierów, może jakichś tajemniczych dokumentów, może nawet naszych dokumentów! - Andrzej zatrzasnął książkę, usiadł i zagłębił się w myślach.

- Nasza dyskusja jednak do niczego nas nie zbliżyła - odezwał się pan Tomasz. - Wszystko wskazuje na to, że Czesiek zdobył kolejną część zagadki uczestników sprzysiężenia. Albo! Jak mogłem o tym nie pomyśleć! Przecież Czesiek sam może być spadkobiercą dr S. Niewiele osób o tym wie, ale Czesiek pochodzi z żydowskiej rodziny. Pomogłem mu w 1968 roku. Zbyt kochał Polskę, żeby wyjeżdżać. Załatwiłem mu wtedy dokumenty na nazwisko Jordanek! No i przecież... starsza pani mówiła, że miał blaszkę! - pan Tomasz zamyślił się na chwilę, potem otrząsnął się ze wspomnień jak po długim śnie i powiedział normalnym już głosem: - Czy wszyscy już przeczytali receptę?

- Ja jeszcze nie czytałam - powiedziała Nina i podeszła do mnie po kartkę.

- Ja też nie - odezwał się Andrzej i przysiadłszy na oparciu fotela, w którym zdążyła zagłębić się Nina, czytał jej przez ramię.

- To szarady - odezwał się po chwili - ta druga jest podobna trochę do tych, które wymyślał stary Szlangbaum z „Lalki”.

- W dodatku łatwe - powiedziała Nina. - No, ale pozwólmymy popisać się naszym detektywom – spojrzała w moją stronę ironicznie.

Przypomniała mi się jedna z moich ostatnich przygód, kiedy wraz z olsztyńskim dziennikarzem Olbrzymem poszukiwaliśmy zaginionych listów Mikołaja Kopernika. Naczytałem się wtedy sporo o naszym wielkim uczonym i doskonale wiedziałem, że był studentem w Bolonii, Padwie i Ferrarze. Mój domysł potwierdzał werset o tym, że „poruszył wszechświat stary”, czyli ptolemeuszowską teorię o tym, że ziemia jest centrum wszechświata. Nie ściagała go co prawda ani święta inkwizycja, ani papież, ale też jego „De revolutionibus orbium coelestium” zostało opublikowane w roku jego śmierci i chociaż samego Kopernika za jego książkę nie spotkały żadne kary, bo przecież odszedł z tego świata, to jego dzieło w 1616 roku trafiło na indeks ksiąg zakazanych:

- Wydaje mi się, że chodzi o Mikołaja Kopernika...

- To by się zgadzało - potwierdził pan Tomasz - ale czemu w zagadce jest mowa o Staszycu? Zaraz, zaraz... - szef sięgnął do książki „Śladami Wokulskiego” - no jasne! Przecież inicjatorem postawienia pomnika naszego wielkiego uczonego na Krakowskim Przedmieściu był Stanisław Staszic!

Wehikuł powoli zmierzał w kierunku Pałacu Staszica, przed którym stał pomnik Kopernika. Noc była zimna. Światła samochodów ostro cięły chłodne, rozrzedzone przez mżawkę powietrze. Jechaliśmy Krakowskim Przedmieściem. Minęliśmy hotel Bristol i ulicę Karową, którą na Powiśle schodził w „Lalce” Stanisław Wokulski. Zaraz za nią zobaczyliśmy pomnik Bolesława Prusa, który podświetlony mocnymi reflektorami, wyglądał niesamowicie.

- Niewiele po nim zostało - odezwał się Andrzej - jeśli chce się zobaczyć jakieś pamiątki, trzeba się wybrać do Nałęczowa, gdzie pisarz leczył się na serce - Węgiełek zamyślił się na chwilę - Ale to i tak lepiej niż Norwid. On nie ma nawet pomnika.

Dojechaliśmy w końcu do celu.

- Dr S. nieźle wybrał miejsce - skomentował z uznaniem Andrzej kończąc batonika i wyciągając z paczki papierosa - w pobliżu jest wiele budynków związanych z „Lalką”, tam po drugiej stronie Krakowskiego Przedmieścia, gdzie teraz jest księgarnia, był sklep Wokulskiego i kwatera Rzeckiego. Te miejsca opisywał Prus. Chodźcie, to coś wam pokażę - powiedział Andrzej i wyszedł z samochodu.

Podążyliśmy za nim. Zaprowadził nas pod dom, który stał na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ulicy Oboźnej.

- Ten dom - powiedział Andrzej odgarniając ręką mokre włosy z oczu - stoi na miejscu budynku, w którym Bolesław Prus kazał mieszkać Stanisławowi Wokulskiemu. Zobaczcie zresztą sami.

Zbliżyliśmy się do ściany i czytaliśmy w milczeniu wmurowaną tu tablicę.

**W TYM MIEJSCU STAŁ DOM, W KTÓRYM
MIESZKAŁ W LATACH 1878-79 STANISŁAW WOKULSKI
POSTAĆ POWOŁANA DO ŻYCIA PRZEZ BOLESŁAWA PRUSA
W POWIEŚCI „LALKA”
UCZESTNIK POWSTANIA 1863 ROKU
BYŁY ZESŁANIEC SYBERYJSKI**

- Inicjatorem wmurowania tej tablicy, podobnie jak i tablicy ku czci Rzeckiego po drugiej stronie ulicy, był Stefan Godlewski, guru fanów „Lalki” takich jak ja. Godlewski jeszcze przed drugą wojną światową ustalił topografię powieści. Dokładnie określił adresy wielu miejsc opisanych w książce, między innymi mieszkania Wokulskiego. Budynek, o którym pisał Godlewski, oznaczony nr 4, spłonął w powstaniu warszawskim. Odbudowano go w latach pięćdziesiątych poprzedniego wieku, a tablica, a właściwie jej kopia, wróciła na swoje miejsce dopiero w 1987 roku. A propos Godlewskiego! Pan, panie Tomaszu - Węgiełek zwrócił się do szefa - zdaje się dzisiaj czytał książkę „Śladami Wokulskiego”? Ma pan ją może przy sobie?

- Jest w wozie - odpowiedział pan Tomasz.

- To świetna książka. Są w niej szkice poświęcone największej polskiej powieści autorstwa trzech jej znawców: Stefana Godlewskiego, Ludwika B. Grzeniewskiego i Henryka Markiewicza. Chodźmy do wozu, to przeczytam wam fragment, który wprowadzi nas w atmosferę tego miejsca...

- Może dzięki temu uda się nam złamać „kod Prusa”? - pan Tomasz uśmiechnął się.

Usiedliśmy w wehikule. Andrzej chwilę kartkował książkę, a potem powiedział.

- To kawałek z „Lalki”, posłuchajcie: „*Kopernik z nieruchomym globusem w ręku odwrócił się tyłem do słońca, które na dzień wychodziło spoza domu Karasia...*” - Andrzej przerwał na chwilę.

- Tego domu już nie ma - skomentował. - Stał tam - wskazał na kiosk po lewej stronie pomnika i czytał dalej: - „*...wnosiło się nad pałac Towarzystwa Przyjaciół Nauk*”, czyli pałac Staszica, gdzie dzisiaj ma siedzibę Polska Akademia Nauk - „*...i kryło się nad Pałac Zamoyskich*” - Andrzej obrócił się i wskazał na długi budynek u wylotu Nowego Świata - dzisiaj ten dom należy do Uniwersytetu - dodał i czytał dalej - „*...jakby na przekór aforyzmowi: wstrzymał słońce, wzruszył ziemię. Wokulski, który w tym właśnie kierunku wyglądał ze swego balkonu, mimo woli westchnął, przypomniawszy sobie, że jedynymi wiernymi przyjaciółmi astronoma byli tragarze i tkacze, nie odznaczający się, jak wiadomo, zbyt dokładną znajomością zasługi Kopernika*” - Andrzej zamknął książkę i westchnął. - Piękna proza! Co robimy?

- Teraz trzeba rozwiązać drugą szaradę dr Słonimskiego - odpowiedział pan Tomasz - Pierwsze to *stoń*, drugie: *ce*. Razem: *słońce*. *Zgadnij! A kartka sens wyjawi drugi!* - powiedział pan Tomasz w zamyśleniu - że też od razu na to nie wpadłem! - krzyknął i wyciągnąwszy telefon komórkowy, wybrał numer.

- Dobry wieczór, generale - powiedział. - Czy mógłby pan obejrzeć receptę pod słońce, to znaczy... - zaśmiał się krótko - pod światło. Dobrze, zaczekam - powiedział Pan Samochodzik.

- Jest!?! - krzyknął po chwili do słuchawki. - Tak myślałem, może mi pan przedyktować?

Skorliński musiał coś podyktować Panu Samochodzikowi, bo jego długopis zatańczył nad notesem.

- Bardzo ciekawe, niesłychane - dziwił się mój zwierzchnik. - Bardzo panu dziękuję, generale, na pana zawsze można liczyć. Jak będę pewny, to się odezwę. Do widzenia!

Pan Tomasz uśmiechnął się do nas tajemniczo.

- Druga szarada doktora Szlangbauma-Słonimskiego-Szumana dotyczyła znaku wodnego na recepcie. Jej rozwiązanie to: *Słońce*. Trzeba było popatrzeć na papier pod światło. Generał Skorliński zrobił to na moją prośbę i przedyktował mi to, co zobaczył. No, ale zanim wam powiem, co tam było napisane, obejrzyjmy sobie Kopernika.

Wielki uczony mókł w deszczu. Patrzyliśmy w milczeniu na pomnik stojący na początku Krakowskiego Przedmieścia. Ciszę przerwał pan Tomasz.

- Oto on - twarz szefa przybrała nieobecny wyraz, jakby coś sobie wyobrażał. - Umierający geniusz dotyka w łóżku książkę, która wzruszy podstawami światowej nauki, chociaż on sam już tego nie doczeka, ale może to nawet i lepiej, mógłby przecież skończyć na stosie.

- Dobrze, znaleźliśmy go. Co teraz? - odezwała się Nina. - Rozłupiemy pomnik i poszukamy karteczki, czy powie pan nam, co było na znaku wodnym?

- A tak - ocknął się szef i wyciągnął z kieszeni kartkę.

Pochyliliśmy się nad nią i skupiliśmy pod parasolką pana Tomasza. Na kartce z notesu znajdował się napis:

CAESAR CLAUDIUS OYTMKIPGPON

Andrzej podrapał się w głowę, ja spojrzałem w górę na pomnik Kopernika, ale wielki uczony wpatrywał się w leżący na drugim końcu Krakowskiego Przedmieścia plac Zamkowy.

- Co wiemy o tym pomniku? Może w jego historii ukryty jest klucz do zagadki? - zapytała Nina.

- Pomnik jest dziełem Bertela Thorvaldsena, wybitnego duńskiego rzeźbiarza, który tworzył w stylu klasycystycznym - tłumaczył pan Tomasz. - Thorvaldsen wyrzeźbił Kopernika na zamówienie jednego z ojców Konstytucji 3 maja, Stanisława Staszica. Na początku pomnik miał wyglądać inaczej. Kopernik miał siedzieć na wielkiej kuli. W końcu jednak stanął w takiej postaci, jaką tutaj widzicie - szef skinął głową w stronę cokółu. - Kiedy Warszawę okupowali hitlerowcy - ciągnął opowieść - zasłonili oryginalny napis: „*Mikołajowi Kopernikowi - Rodacy*”, tablicą, która sugerowała, że Kopernik był Niemcem. W lutym 1942 roku Alek Dawidowski z Organizacji Małego Sabotażu „Wawer”, którego znacie pewnie z „Kamieni na szaniec” Aleksandra Kamińskiego, postanowił uczcić rocznicę urodzin Kopernika, która przypadała 19 lutego, odkręceniem niemieckiej tablicy z cokółu. Tydzień przed akcją 11 lutego, bladym świtem, Alek poszedł na rekonesans. Pałac Staszica, przed którym stał pomnik, był podówczas Komendą Główną granatowej policji, a przed budynkiem stał, oprócz monumentu, posterunek. Ale gdy zjawił się tam Alek, nikogo akurat nie było w pobliżu. Kiedy poruszył śrubę, którą przymocowano tablicę, okazało się, że wcale mocno nie trzymała. Gołymi rękami odkręcił tablicę i umieścił ją w zaspie w okolicach ulicy Oboźnej, skąd po kilku dniach zabrano ją sankami i bezpiecznie ukryto. Brawurowa akcja przyniosła szeroki odzew w Polsce i na świecie, pokazała, że Polacy stawiają okupantowi opór, a Alek zyskał dzięki swemu wyczynowi pseudonim „Kopernicki”. Hitlerowcy zareagowali ostro - w odwecie usunęli pomnik Jana Kilińskiego z miasta i „uwięzili” go w Muzeum Narodowym. Alek, który obserwował, gdzie Niemcy wywożą pomnik, przyszedł tam w nocy i namalował napis: „*Ludu Warszawy - jam tu! Jan Kiliński!*”.

Po stolicy krążył nawet wierszyk:

Nad straconą kenkartą Kopernik się biedzi,

Bo astronom zawinił, a szewc za to siedzi.

Po powstaniu warszawskim pomnik zniknął. Odnalazł się dopiero po wojnie, na Dolnym Śląsku, w Nysie. Odrestaurowany w zakładzie braci Łopieńskich, wrócił na swoje miejsce i stoi tu do dziś...

- Może trzeba coś nacisnąć, poruszyć którąś z liter, nacisnąć na palec Kopernika? - zastanawiał się głośno Andrzej.

- Wróćmy lepiej do wehikułu, bo na takim deszczu trudno się skupić - powiedział pan Tomasz. -

Doktor Słonimski lubił szyfry... - myślał głośno pan Tomasz. Już po chwili jego twarz rozjaśniło zrozumienie - ta zagadka jest w gruncie rzeczy bardzo prosta! Wiadomość jest zapisana klasycznym cezarem.

- Cezarem, od Juliusza Cezara? - zapytał Andrzej.

- Właśnie! - ucieszył się pan Tomasz. - Bo pierwszy szyfr polialfabetyczny wymyślił właśnie Juliusz Cezar. Szyfrował on wiadomości w prosty sposób. Używał do tego dwóch alfabetów. Chcąc zaszyfrować jakąś wiadomość trzeba postępować następująco. Najpierw wypisujemy wszystkie litery alfabetu łacińskiego:

A B C D E F G H I K L M N O P Q R S T U V X Y Z

- Teraz trzeba ustalić, ile będzie wynosić przesunięcie. Powiedzmy, że pięć - szef znów pisał chwilę w notatniku. Efekt był następujący:

A B C D E F G H I K L M N O P Q R S T U V X Y Z

E F G H I K L M N O P Q R S T U V X Y Z A B C D

- Teraz szyfrowanie przebiega bardzo prosto. Powiedzmy, że chcemy przekazać informację: „VRACAM IUTRO”, musimy teraz pod litery naszej wiadomości podstawić litery z przesuniętego alfabetu, a więc zamiast „V” napiszemy „A”, zamiast „R”, piszemy „V” itd. Po zaszyfrowaniu VRACAM IUTRO będzie wyglądać tak:

AVEGEQNZYVS

- Teraz wystarczy jakoś oznaczyć, o ile trzeba przesunąć alfabet i komunikat gotowy - skończył wykład pan Tomasz.

- Ale tu nie ma takiego oznaczenia! - zdenerwował się Andrzej.

- I ty studiowałeś polonistykę? Nie mieliście zajęć z historii? - odezwała się Nina. - Przecież chodzi o Cezara Klaudiusza, piątego z władców cesarskiego Rzymu, czyli trzeba przesunąć alfabet o pięć miejsc.

Pan Samochodzik chwilę pisał w swoim notesie, ale na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia:

- To bez sensu - powiedział w końcu. - Zobaczcie, co mi wyszło - pokazał nam notes

KTPHFELCLKI

- Zastanówmy się - zaczął pan Tomasz, wierząc się na niewygodnym fotelu wehikułu - dr S. zostawił nam dwie wskazówki: pierwszą jest informacja, że do odcyfrowania jego wiadomości trzeba użyć cezara, drugą...

- Pomnik Kopernika! - Andrzej wyraźnie się ożywił - trzeba stworzyć alfabet z liter na pomniku - poczekajcie, zaraz je przepiszę... - powiedział i pobiegł w kierunku monumentu.

- No więc - przemoczony Andrzej wpadł do wehikułu i zatrzasnął drzwi - z jednej strony napisane jest po łacinie: „Nicolai Copernici Grata Patria”, po drugiej „Mikołajowi Kopernikowi - Rodacy” - pan Tomasz zanotował oba napisy i po chwili pokazał nam ułożone w kolejności litery tworzące inskrypcje, a pod nimi przesunięty o pięć miejsc alfabet:

A C D E G I J K L M N O P R T Y W

G I J K L M N O P R T Y W A C D E

- Teraz podstawiamy litery tekstu zaszyfrowanego i... - pan Tomasz przez chwilę zapisywał coś w notesie - odpowiedź brzmi: KONIECLALKI

Patrzyliśmy w zdumieniu na rozwiązanie. Milczeliśmy. Pan Tomasz ruszył wehikułem przez

miasto.

Wiedziałem, że czasem jazda samochodem pomagała mu zebrać myśli.

- Koniec „Lalki” - Andrzej pierwszy przerwał milczenie, kiedy zjeżdżaliśmy z placu Na Rozdrożu na ruchliwą Trasę Łazienkowską. - Może musimy sprawdzić wszystkie wydania tej książki? - zastanawiał się.

Odpowiedziała mu cisza. Jeździliśmy po mieście zastanawiając się nad rozwiązaniem. Po godzinie pan Tomasz poprosił mnie, żebym go zmienił za kierownicą. Wracaliśmy do domu. Andrzej siadł razem z Panem Samochodzikiem na tylnym siedzeniu wehikułu.

Prowadziłem. Twarz Niny, na której widać było skupienie, wydała mi się bardzo ładna, kiedy rzuciłem na nią okiem podczas postoju na światłach. Zapaliło się żółte światło. Spojrzałem w lusterko. Zobaczyłem, że pan Tomasz zaciska usta i ze zniecierpliwieniem spogląda na Andrzeja. Zielone światło zachęciło do jazdy.

Skupiłem się na drodze, ale z tyłu dobiegł mnie głos Pana Samochodzika.

- Andrzejku, czy mógłbyś się tak nie wiercić? Usiłuję się zastanowić nad tym, jakie kroki teraz podjąć... Co tak skrobie, masz mysz w kieszeni?

- Przepraszam - Andrzej odpowiedział skruszonym, ale trochę podenerwowanym głosem - tak mnie wciągnęła zagadka doktora S., że zapomniałem o paleniu, a teraz napięcie ze mnie zeszło i strasznie mnie ssie...

- To może sobie zapalisz? - zaproponował mój szef.

- A o kobiecie to już pan zapomniał? - czujna Nina zerknęła do tyłu. - Nie podejrzewałam pana o taki szowinizm, ale teraz, kiedy pokazał nam pan swoją prawdziwą twarz, zaczynam rozumieć, dlaczego ciągle nie ma pan żony.

Cios doszedł celu. Szef fuknął coś niewyraźnie o feministkach, strasznych czasach, upadku obyczajów i zamilkł. Znów stanęliśmy na światłach. Zerknąłem w lusterko. Pan Tomasz odwrócił się do okna. Chociaż była noc, w światłach ulicy widać było, że jego twarz pokrył czerwony rumieniec. Żółte światło. Znów Nina, skupiona, chociaż nieco zdenerwowana. Zielone. Dodałem gazu. Potężny silnik subaru, ukryty pod szpetną maską wehikułu zawył, wchodząc na wyższe obroty, ale i tak przebił się przez jego ryk wesoły krzyk Andrzeja: - O Boże! Tu coś jest!

Przestraszyłem się, przyhamowałem i zjechałem na pobocze.

- Chcesz nas zabić!? - warknąłem na Andrzeja. Ale doktorant polonistyki nie zwrócił na mnie uwagi. Pan Tomasz zresztą też. Nina odwróciła się w ich stronę i próbowała coś zobaczyć w ciemnościach. Zapaliłem lampkę nad przednią szybą. Wnętrze wehikułu wypełniło się słabym światłem.

- Co tam macie? - dopytywała się niecierpliwie Nina. - Pokażcie!

- Ale jak to się stało? - zastanawiał się Pan Samochodzik, który wyglądał jakby pogrążył się w transie.

W świetle zobaczyłem, że obraca w dłoniach jakiś mały przedmiot.

- Zdrapałem z nerwów - odpowiedział niezrozumiale Andrzej. - No, chociaż raz mój nałóg się na coś przydał - zaśmiał się i wysiadł. - Idę zapalić.

- Szefie, co się stało i o czym rozmawiał pan z Andrzejem?

- O tym, Pawle - twarz pana Tomasza rozjaśniał uśmiech, który tak dobrze znałem, a który oznaczał, że na bogatym szlaku jego pełnego przygód życia, pojawiło się nowe wyzwanie - o naszym najnowszym tropie! - dodał i wyciągnął w naszą stronę rękę, na której leżał kluczyk ofiarowany

Andrzejowi przez prawnuczkę Wokulskiego. Część złotej warstwy była zdrapana paznokciem, a pod nią widać było wygięty w łuk, ozdobny napis: **Grand Hotel * Paris**

- Czy ta podróż jest naprawdę konieczna? - fałszywy Rzecki odezwał się do siedzącego obok niego Wokulskiego. - Może jeszcze zdążymy wysiąść?

- Dobrze wiesz, że ten trop jest ważny i nie możemy go zlekceważyć - Wokulski uśmiechnął się ironicznie - ale jeśli chcesz, to możesz wysiąść, załatwię sprawę sam.

- Dobra, już dobra... Polecę, mogę się przydać.

Z kabiny pilotów wyszła stewardesa i spokojnie prezentowała co robić w razie, gdyby doszło do awarii samolotu. Włożyła kamizelkę przez głowę i palcem wskazywała, za który sznureczek pociągnąć, żeby nadmuchać sprzęt ratunkowy. Chociaż stewardesa mówiła spokojnym tonem, Rzecki wpatrywał się w nią ze strachem. Coraz bardziej zielony sprawdził, czy pasy dokładnie trzymają go w fotelu. Samolot zaczął kołować.

- Może wolisz usiąść przy oknie? - zaproponował Wokulski. - Piękne widoki pozwolą ci zapomnieć o strachu.

Rzecki zaprzeczył bez słowa i wcisnął się mocniej w fotel. Samolot nabierał prędkości i po kilku chwilach oderwał się od ziemi. Służącym szarpnęły torsje. Chwycił woreczek i zwymiotował. Kiedy opróżnił żołądek, odezwał się telefon Wokulskiego.

- Nie wyłączyłeś komórki!?! - zapytał z pretensją Rzecki - przecież w samolocie nie wolno...

Wokulski uciszył go gestem i schował się za fotelem, żeby nie zostać zauważonym. Milczał przez niemal cały czas rozmowy i dopiero na końcu pochwalił.

- Dobra robota, do zobaczenia - powiedział i wyłączył telefon.

- Wieści z Warszawy? - dopytywał się Rzecki.

- Tak. Nasz informator donosi, że Samochodzik i Daniec jadą do Paryża.

- Trzeba to wykorzystać...

- Ale jak?

- Daj mi chwilę - powiedział Rzecki i zagłębił się w rozmyślaniach. Jego dotychczas rozproszone strachem myśli zaczęły powoli układać schemat skomplikowanej intrygi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
PAMIĘTNIK STAREGO PROFESORA

Wczoraj był bal. Najsmutniejszy z tych, na którym byłem w życiu. Moi oprawcy po raz pierwszy pozwolili mi wyjść z mojego więzienia. Zaprowadzili mnie do salonu, który znajdował się na tym samym poziomie co pomieszczenie, w którym dotychczas przebywałem. Okna sali zasłaniały takie same żelazne żaluzje jak w moim pokoju. Żyrandol pod sufitem oświetlał sporych rozmiarów pokój. Smutna muzyka sączyła się z gramofonu ustawionego na zabytkowym sekretarzyku. Nikt nie tańczył, chociaż w sali było kilka osób. Pięciu wysokich mężczyzn i trzy kobiety. Mężczyźni mieli na sobie fraki. Na nosie jednego z nich błyszczały szkła binokli. Kobiety były ubrane w wytworne suknie.

Wszyscy zgromadzeni w salonie byli smutni i milczeli. Moje wejście nie zrobiło na nich szczególnego wrażenia i nie wyrwało ich z melancholijnych rozmyślań, w których zdawali się być pogrążeni. Tylko jedna z kobiet, z blond włosami upiętymi w misterny kok, zainteresowała się moją skromną osobą, toteż przysiadłem się do niej.

- Nazywam się Czesław Jordanek - przedstawiłem się.

Kobieta nachyliła się lekko w moją stronę:

- Znam pana, profesorze - szepnęła. - Byłam pana studentką trzy lata temu - jestem... - w mojej głowie pojawiło się światełko, które po sekundzie rozjaśniło mroki starczej niepamięci:

- Ach, teraz sobie panią przypominam, pani Elżbieta Rostocka! - prawie krzyknąłem. - Napisała pani świetną pracę o wpływie Dostojewskiego na polską powieść psychologiczną, ale zostawmy na razie te sprawy. Co pani tu robi?

- Niech pan tak nie krzyczy, profesorze - szepnęła młoda dziewczyna. - Zostałam porwana i jestem ta uwięziona od trzech lat. Nie będę na razie opowiadać panu o moich podejrzeniach, nie ma na to czasu. Wokulski może się ta zjawić lada chwila, musimy działać, pan jest tu nowy, nie ma pan jeszcze zerwanych kontaktów ze światem, tak jak ja - dziewczyna sięgnęła pod szeroką spódnicę i wyjęła stamtąd płaski telefon komórkowy - próbowałam dzwonić do rodziców, ale ktoś musiał im ukraść komórkę, bo nie odbierają telefonu. Zawiadomiłam też policję, ale ten drab Wokulski zdołał ich jakoś wykiwać i nie uwolnili nas z tego więzienia. Może pan zdołałby się skontaktować z kimś, kto mógłby nam pomóc? Ale niech pan uważa, został mi tylko jeden SMS.

Wziąłem od dziewczyny komórkę i zacząłem wstukiwać wiadomość dla Tomka:

Tomku! To ja Czesiek! Uważaj na czarnego psa i jego właściciela. Po nitce do patrona, po patronie do kłębka. Ratujcie!

- Czy pani wie, gdzie się znajdujemy? - zapytałem dziewczynę. Podała mi adres. Zdążyłem wklepać jeszcze: „Jestem w” - kiedy drzwi do salonu skrzypnęły i pojawił się w nich Wokulski. Ludzie, siedzący dotychczas pod ścianami zerwali się z miejsc i zbili w kupkę. Panna Rostocka dołączyła do nich, posyłając mi przepaszające spojrzenie. Zostałem sam pod ścianą. Wokulski zbliżał się do mnie z gniewem w oczach.

Musiałem momentalnie zdecydować. Wcisnąłem klawisz „wyślij” i wklepałem szybko numer

komórki Tomasza. Ledwie ponownie nacisnąłem „wyślij”, kiedy Wokulski mocnym uderzeniem dłoni wytrącił mi telefon z ręki. Aparat potoczył się po wypolerowanej na błysk podłodze i zatrzymał na środku pokoju. Dwa kroki wystarczyły memu prześladowcy, by znaleźć się przy telefonie. Podniósł wysoko obutą w trzewik nogę. Ale zanim jego obcas zmiażdżył aparat, usłyszałem sygnał, który oznaczał, że wiadomość została wysłana.

Wokulski zostawił szczątki telefonu, przypadł do mnie i chwycił mnie za poły chałatu:

- Sprytny jesteś - wysyczał przez zęby - sprytniejszy niż myślałem. - Będę cię musiał odizolować - powiedział już spokojniejszym tonem i wyciągnął mnie za kołnierz z pokoju. Zanim wyszliśmy, rzucił jeszcze przez ramię:

- Z wami policzę się później - powiedział do swych przerażonych więźniów - ale jedno jest pewne: możecie pożegnać się z deserem - kiedy to powiedział, jeden z mężczyzn zaniósł się histerycznym płaczem.

Pomyślałem o władzy, jaką fałszywy Wokulski miał nad swymi więźniami, jak dalece stał się ich panem i jak bardzo ich sterroryzował, skoro perspektywa utraty deseru spowodowała u jednego z nich tak silny wybuch emocji.

Nie miałem jednak czasu, by zastanawiać się nad tą kwestią dłużej, bo mój oprawca ciągnął mnie do podziemi tego straszego domu po stromych i starych schodach. Moje oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności, kiedy szliśmy płataniną korytarzy. Zahaczałem twarzą o pajęczyny, które pozostawiały w moich ustach nieprzyjemny posmak. Musiałem je wypluwać, bo ręce unieruchamiał mi żelazny uścisk. W końcu stanęliśmy przed drzwiami, które Wokulski otworzył nogą. Potem chwycił mnie i wrzucił do ciemnego pomieszczenia.

Uderzyłem o podłogę wyłożoną słomą, usłyszałem pisk szczurów, które rozbiegły się po kątach zaskoczone wizytą niespodziewanego gościa. Dreszcz przerażenia przeszedł mi po plecach. Spróbowałem się podnieść, ale wymęczone szybkim marszem mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Leżałem więc, kiedy za moim plecami odezwał się głos.

- Posiedzisz tu o chlebie i wodzie przez kilka dni i od razu odechce ci się sztuczek.

Potem trzasnęły piwniczne drzwi, szczęknięła zamykana kłódka. Kroki oddalały się i cichły w labiryncie ciemnych korytarzy.

Otoczyły mnie cisza i ciemność.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W KROPCE * NIE MAMY CZASU * CO MA WSPÓLNEGO Z NASZĄ SPRAWĄ HEINRICH SCHLIEMANN? *
NIEPOKÓJ DZIEWCZYNY ADRZEJA * RUSZAMY DO PARYŻA * GRAND HOTEL * PROFESOR GEIST * PUSTA
SKRYTKA * ZŁY PIĘS ZŁEGO PANA * POŚCIG * BURACZANY DWORZEC * CHCĄ NAS W FI *
PAN TOMASZ MA WĄTPLIWOŚCI

Siedzieliśmy w kawalerce pana Tomasza i piliśmy herbatę. Minęła chwilowa euforia po odkryciu tajemnicy kluczyka. Milczeliśmy. Dwie zagadki zostały rozwiązane, ale mieliśmy poczucie, że nie posunęliśmy się znacząco naprzód. Wskazówki przekazane przez doktora S. i Feliksa Pawłowskiego były częścią większej całości i nie było sensu rozpoczynać poszukiwań rękopisu, nie skompletowawszy wszystkich. Czas mijał, a droga do rękopisu i uwolnienia profesora Jordanka ciągle była daleka. Z zamyślenia wyrwał nas głos pana Tomasza. Szef mówił jakby dopiero co się obudził.

- Nie ma wyjścia, musimy się podzielić i rozszerzyć nasze poszukiwania, w tej sprawie ogromną rolę odgrywa czas. Moja propozycja jest następująca. Ja i Paweł ruszymy tropem Pawłowskiego-Wokulskiego. Nina zna doskonale rosyjski i niemiecki, a Andrzej jest z nas najbardziej czytany; i obznajomiony z bibliotekami. Razem utworzą grupę do złamania zagadki Ochorowicza. Czy macie jakieś inne propozycje?

Nikt się nie odezwał.

- Aha, jeszcze jedno. Dotychczas lekceważyliśmy jeden ważny trop, który mógłby nam pomóc w poszukiwaniach. Chodzi mi o „Lalkę”.

- To przecież fikcja literacka - odezwała się Nina. - Pamiętają panowie, co mówiła moja cioteczna prababka? Wokulski nie jest idealnym odwzorowaniem postaci Feliksa Pawłowskiego...

- To prawda, ale Prus bardzo dbał o szczegóły i wskazówek trzeba szukać także w „Lalce”. Jest zresztą w historii sztuki jeden przypadek, gdy zawierzenie literaturze przyniosło fantastyczne rezultaty...

- Heinrich Schliemann... - bąknąłem - geniusz o duszy dziecka.

- Brawo, Pawle! - ucieszył się pan Tomasz. - O niego właśnie mi chodzi. Nie wiem, czy państwo wiedzą, bo Paweł wie, chociaż nie rozumie do końca mojej fascynacji Schliemannem, kim był ten wielki dziewiętnastowieczny uczonec? Otóż Heinrich Schliemann, zanim zajął się archeologią, był chłopcem na posyłki, subiektem, wreszcie samodzielnym i bogatym kupcem. Przy okazji różnych wypraw handlowych nauczył się ośmiu języków! Był genialnym samoukiem. O jego językowym talencie krążą legendy. Schliemann na opanowanie nowego języka potrzebował sześciu tygodni. Do nauki służyła mu poezja. Uczył się na pamięć jakiegoś dużego poematu, a potem głośno go recytował. Na przykład gdy poznawał rosyjski, tak zawzięcie skandował wersety, że dwukrotnie wyrzucono go z mieszkania. Ale za to po półtora miesiąca swobodnie porozumiewał się z rosyjskimi kupcami. Znał podobno wszystkie języki nowożytne Europy; że nie są to plotki, świadczą pamiątniki genialnego Niemca. Każdy spisany w języku kraju, przez który przejeżdżał. Jednak misją, którą Schliemann

uważał za swoje życiowe dzieło, było odnalezienie Troi. I tu dochodzimy do naszej sprawy. Otóż Niemiec potraktował „Iliadę” nie, jak to mieli w zwyczaju wybitni historycy jego epoki, jako zbiór legend albo wielkie dzieło natchnionego, lecz dalekiego od prawdy historycznej, poety, ale jak najbardziej wiarygodną i autentyczną kronikę!

- I co, znalazł szczątki konia trojańskiego? - Andrzej uśmiechnął się z przekąsem.

- Prawie. Kierując się wskazówkami topograficznymi zawartymi w „Iliadzie” zaczął kopać na wzgórzu Hissarlik, niedaleko Nowego Ilionu, który inni badacze uznawali za pozostałości Troi. Wykopaliska trwały dwa lata, a Schliemann wraz ekipą robotników odkopał ruiny siedmiu miast. Na poziomie siódmego z nich odnalazł największy skarb. Stało się to w wigilię dnia, który miał zakończyć wykopaliska. Natrafił wówczas na fantastyczny, złoty skarb, który nazwał skarbem Priama, ostatniego króla Troi. Później okazało się, że złoto, które odnalazł Schliemann było o czterysta lat starsze i ruiny Troi leżały na drugim, a nie siódmym poziomie, ale i tak sukces Schliemanna był niezaprzeczalny. Stosując tę samą metodę, czyli kopanie według wskazówek starożytnych pisarzy, odkrył jeszcze groby królewskie w Mykenach i pozostałości zamku w Tirnysie. No, ale nie będę przedłużał, kto chce wiedzieć więcej o Schliemannie, niech sięgnie do książki „Bogowie, groby i uczeni” C.W. Cerama. Wróćmy jednak do naszych baranów... Uw ażam, że powinniśmy postąpić tak jak Schliemann, pójść śladem dzieła Prusa i nawet jeśli nie odnajdziemy grobu Stanisława Wokulskiego, to chociaż natrafimy na jakiś inny trop. Czy są jakieś pytania?

Siedzieliśmy w milczeniu. Ciszę przerwał pan Tomasz:

- Czy macie jakieś inne propozycje? Jeżeli nie, to może chociaż zagłosujemy, czy robimy tak jak zaproponowałem: to znaczy my z Pawłem jedziemy do Paryża, a Andrzej z Niną zostają w Warszawie i szukają dalszych tropów. Kto jest za?

Pierwszy rękę podniósł Andrzej, potem ja. Na końcu, jakby z ociąganiem, Nina.

- Sprawa jest więc jasna. My z Pawłem wyjeżdżamy dzisiaj. Reszta zespołu zaczyna od jutra. Zgoda?

Kiwnęliśmy głowami. Nina postanowiła podjechać do babci tramwajem, Andrzej przyjął naszą propozycję, że go podwieziemy. Stanęliśmy pod kamienicą, gdzie Andrzej z dziewczyną wynajmowali mieszkanie.

- Może wstąpią panowie na chwilę? Tak przed drogą.

- Ale nie będziemy pić strzemiennego - pan Tomasz zaśmiał się wesoło.

- Zgoda - powiedział Andrzej i poprowadził nas do windy szarej peerelowskiej kamienicy.

Stłoczyliśmy się w ciasnej kabinie. Andrzej zamknął najpierw zewnętrzne drzwi, a potem podwójne wewnętrzne odzwia. Kabina ruszyła. Wysiedliśmy na czwartym piętrze.

W domu przywitała nas dziewczyna Andrzeja. Zgrabna i zdecydowana osobka. Jej piękną twarz rozświetlało jakieś wewnętrzne światło. Szare, piękne oczy, schowane za gustownymi oprawkami okularów, błyszczały inteligencją. Była w nich i dociekliwość, i niezwykle ciepło. Krótko przystrzyżone, jasnobrązowe włosy miały jednocześnie kolor ciemnego piwa i łanu zboża chylącego się ku ziemi przed burzą.

- Andrzej dużo mi o panach opowiadał - odezwała się zdecydowanym głosem.

Usiedliśmy w dużej kuchni. Przy herbacie i czekoladzie z supermarketu, w dymie papierosów, rozmawialiśmy o historii sztuki. Dziewczyna Andrzeja, jak się okazało, była dziennikarką. Pisała akurat artykuł o kradzieżach dzieł sztuki i czarnym rynku paserskim. Bardzo się ucieszyła z naszej wizyty i nawet zapisała sobie kilka naszych uwag. Dwie godziny minęły błyskawicznie. Pan Tomasz

popatrzyl na zegarek:

- Bardzo miło się gawędzi, ale musimy już iść - powiedział. - Andrzej, zostawiam cię, jak widzę, pod doskonałą opieką. Powiem pani - tym razem zwrócił się do dziewczyny - że Andrzej to naprawdę dzielny chłopak, proszę dbać, żeby się nie przemęczał, a zresztą - machnął ręką i uśmiechnął się nieznacznie - co ja, stary, będę pouczał was, młodych, przecież wy wszystko wiecie, serce wam mówi. Gdyby jednak coś się stało...

- A może się coś stać? - zaniepokoiła się dziewczyna. - Tego właśnie się obawiałam, że Andrzej w końcu wpakuje się w jakąś kabałę. A tak mnie uspokajał, policja o wszystkim wie, mówił, ale ja od razu przeczuwałam, że skoro profesor został - zamilkła na chwilę i kontynuowała ciszej - porwany, to ta sprawa nie jest do końca bezpieczna.

- Nie chcę pani straszyć. Wszyscy uczestniczymy w przynajmniej trochę niebezpiecznej grze. Nie wiemy nawet, kim jest nasz przeciwnik. Dlatego musimy zachować dużą ostrożność. Ale proszę się nie bać, poprosiłem generała Skorlińskiego i przydzielił Andrzejowi ochronę. - Pan Tomasz podszedł do okna, które wychodziło na ulicę i gestem ręki zachęcił dziewczynę, żeby podeszła do niego. - Widzi pani tego czarnego forda przed domem? Siedzi w nim policjant, wyrzycmy na klatkę schodową - pan Tomasz wrócił do drzwi i uchylił je. Razem z dziewczyną Andrzej zerknęli na klatkę schodową. - Ci studenci będą grać w karty i palić papierosy pod waszymi drzwiami przez całą noc, bo to nie studenci, tylko przebrani policjanci.

Pan Tomasz zamknął drzwi.

- Dziękuję panom - powiedziała dziewczyna. Na jej twarzy pojawił się piękny i spokojny uśmiech. Przyłożyła palec do oka. - Coś mi chyba wpadło do oka - uśmiechnęła się przez łzy.

- Nie ma za co, gramy w tej samej drużynie - powiedział pan Tomasz - w razie czego proszę dzwonić pod mój numer telefonu - wyciągnął notes, zapisał numer swojej komórki na pustej kartce, którą, wyrwawszy z notesika, podał dziewczynie.

Zmienialiśmy się co pięć godzin. Kiedy wjechaliśmy na niemiecką autostradę, czerwonym przyciskiem uruchomiliśmy rajdowy tryb pracy silnika subaru, dzięki czemu wehikuł połykał kolejne setki kilometrów w obłędnym tempie. Zasnąć nie pozwalała nam „Lalka” Prusa, której fragmenty poświęcone wizycie Wokulskiego w Paryżu czytaliśmy sobie na zmianę. Wreszcie naszym oczom ukazał się drogowskaz wskazujący, że do stolicy Francji zostało już tylko 20 kilometrów. Pan Samochodzik odłożył książkę, przetaił oczy pod okularami i powiedział:

- Pawełku, czy możesz mi pożyczyć laptop?

- Oczywiście, panie Tomaszu. Co pan chce zrobić?

- Sprawdzić pocztę - odpowiedział szef i uśmiechnął się zawadiacko. Odebrał pocztę i uśmiechnął się wesoło: - Myślę, że mamy trop!

- Ma pan jakieś kontakty we Francji? - zapytałem zdziwiony.

- Nasz kolega po fachu z Luwru, któremu kiedyś pomogłem odzyskać w tajemnicy skradziony z bogatych magazynów tego szacownego muzeum obraz Picassa, był tak miły i sprawdził dla mnie kilka szczegółów z „Lalki”. Pytałem go między innymi o to, czy w ławach francuskiej Akademii zasiadał kiedykolwiek naukowiec o nazwisku Geist i czy jego potomkowie żyją do dzisiaj.

- I co?

- Mój przyjaciel dał mi numer, dzwonię...

Grand Hotel stoi w samym centrum Paryża od 1862 roku. Naprzeciwko wznosi się masywna fasada Opery Narodowej. Hotel zajmuje budynek na rogu bulwaru des Capucines. Nad zielonymi markizami już z daleka zobaczyliśmy sztyl konferencji specjalistów od laserów, która tam się odbywała.

Profesor Wojciech Geist czekał na nas w sławnej Cafe de la Paix na parterze hotelu. Był siwy, jego twarz pokrywała gęsta, biała broda. Oczy patrzyły na nas bystro zza grubych szkielek. Na rękach miał rękawiczki z materiału Kiedy podeszliśmy do niego z egzemplarzem „Lalki” w rękach, który był naszym znakiem rozpoznawczym, profesor poderwał się z krzesła i zaczął ścisnąć nam ręce:

- Witam, mili panowie, serdecznie witam w pięknym Paryżu! - głos profesora drżał ze starości i wzruszenia - przepraszam za te rękawiczki, ale mam fatalne uczulenie...

Usiedliśmy przy stoliku. Kiedy kelner podał nam kawę, profesor zagaił:

- Moi drodzy przyjaciele, w czym mogę wam pomóc?

- Panie profesorze - odezwał się Pan Samochodzik - czy mogę panu zadać pytanie natury osobistej?

- Oczywiście, panie Tomaszu.

- Czy mógłby nam pan opowiedzieć o swoim pradziadku?

- Mój pradziadek - profesor dotknął palcem swoich wąskich ust i uśmiechnął się tajemniczo - panowie wiedzą, że mój pradziadek został uznany za wariata?

Milczeliśmy.

- Niestety - profesor rozłożył dłonie w geście bezradności - to był geniusz niezrozumiany przez epokę. Był tylko jeden człowiek, który w niego wierzył! Mon amis, to ciekawa historia. Muszą panowie wiedzieć, że mój szlachetny pradziadek, zanim zajął się wynalazkami, które przyniosły mu pogardę naukowego środowiska, był wielce szanowanym chemikiem. W korytarzach uniwersytetu i na ulicach dzielnicy łacińskiej szeptało, że jeszcze kilka lat i zasiądzie on w szeregach akademików. Niestety! Jego kariera załamała się, kiedy zaczął zajmować się, tak sam nazwał swoją dziedzinę zainteresowań, chemią związków węgla. Przyjaciele opuścili go, a wrogowie uderzyli ze zdwojoną siłą. Mój przodek zasył się na przedmieściach paryskich w stałej huterze i kontynuował swoje dzieło. Pragnął on wyprodukować metal lżejszy od powietrza. Najgorszym przeciwnikiem mego przodka był brak pieniędzy. Był on tak dotkliwy, że mało brakowało, a profesor Geist załamałby się i porzucił naukę dla spokojnego życia w przytułku.

Wówczas jednak zjawił się w jego laboratorium pewien Polak, który włożył w badania profesora ogromne pieniądze. Badania ruszyły pełną parą. Kieszkał im dopiero wynalazek braci Wright. Okazało się, że przestworza można było zdobyć taniej i szybciej. Kiedy pierwszy samolot wzbił się do lotu, mój przodek rozpoczął lot w dół i po kilku miesiącach zmał z zębami. Nie umiał jednak sam. Te kilka lat swobodnej pracy, które podał mu tajemniczy Polak spowodowały, że profesor Geist odżył. Jego życie odzyskało sens, a serce radość. Profesor ożenił się wówczas z Polką. Moja babka była wielką patriotką i to właśnie ona spowodowała, że my, Geistowie, mamy serca przepołowione. Kochamy obie nasze ojczyzny i mówimy w obu językach.

- Czy zachowały się jakieś pamiątki po owym tajemniczym polskim mecenasie pańskiego pradziadka?

- Niestety, właściwie tylko jedna rzecz. Człowiek ów, wcześniej podobno zainteresowany współpracą z moim przodkiem, w momencie, kiedy wsparł go finansowo, był już daleki od pustelniczego życia naukowca. Miał żonę i dziecko. I dobrze prosperujące interesy. Trudno się

więc dziwić, że nie przystał do mojego phadziadka. Pamiątki po nim, jeśli istniały, przepadły w otchłani czasu, a pieniądze? Pieniądze... Coś panom powiem... Ja sam muszę wyphuwać sobie żyły na uniwehsytecie i sprzedawać wiedzę wielkim koncehnom elekthonicznym, żeby móc phacować nad tym, co mnie najbahdziej intehesuje, czyli moimi lasehami! W tej sphawie nic się nie zmieniło. Nauka, jeśli chodzi o pieniądze, to głęboka studnia bez dna.

- Mówił pan, że coś zostało - pan Tomasz nie krył zainteresowania. - O co chodzi?

- Aaa! Tak - profesor wyciągnął z kieszeni marynarki portfel, wyjął z niego poźółkłą od starości kartkę z notesu i podał panu Tomaszowi. - Adhes.

Na kartce, wielkimi literami, skreślonymi pewną i zdecydowaną ręką było napisane:

Mon Mecenas

Grand Hotel No 235

Serce zaczęło mi bić mocniej. Pan Tomasz z twarzą rozjaśnioną uśmiechem powiedział:

- Merci, professeur, czy mógłby nam pan towarzyszyć?

Pokój, a właściwie apartament 235 urządzono z przepychem. Dwa pokoje były wypełnione eleganckimi meblami obitymi niebieskim atłasem. Wyrzałem przez okno w większym pokoju. Moim oczom ukazał się elegancki budynek Opery. Profesor i Pan Samochodzik stali na środku pokoju lustrowani czujnie przez kamerdynera. Profesor podszedł do niego, wcisnął mu do ręki banknot i szepnął kilka słów do ucha.

Kamerdyner opuścił pokój.

- Mamy pięć minut - szepnął konfidencjonalnie profesor.

Zaczęliśmy w pośpiechu przeszukiwać pokój.

Ja zaglądałem za obrazy. Pan Tomasz opukiwał ściany, a profesor lustrował podłogę. Po trzech minutach profesor krzyknął cicho:

- Eureka! - obróciliśmy się w jego stronę i zobaczyliśmy, że pod podniesionym przez niego dywanem widać wycięty w parkiecie kwadrat z umieszczoną w górnym rogu dziurką od klucza.

Pan Samochodzik drżącymi rękami włożył kluczyk pożyczony od Andrzeja. Pasował. Obrócił się skrzypiąc w zamku. Pan Samochodzik otworzył skrytkę. Była pusta.

- Może zawahtość zabhał ktoś ze służby - zastanawiał się profesor, kiedy szliśmy przez oszklony hol do wyjścia.

Milczeliśmy. Opuściliśmy próg Grand Hotelu i słońce uderzyło nas w oczy. Po chwili zobaczyliśmy, że ktoś grzebie przy drzwiach wehikułu. Był: to wysoki człowiek w cylindrze. W pierwszej chwili stanęliśmy jak wryci. Tylko profesor zachował zimną krew i rzucił się na złodzieja.

- Co ty wyhabiasz, dhabie, złodzieju?! - ruszył w jego stronę z krzykiem. Zza wehikułu wypadł czarny pudel. Zawarczał i rzucił się na profesora.

Przewrócił staruszka i wbił kły w jego rękę. Czarny Cylinder zaczął uciekać. Ruszyłem w pogoń.

Kiedy wypadłem za nim za róg ulicy, zobaczyłem, że wsiada do czarnego opla vectry. Skoczyłem i złapałem go za czarną pelerynę, ale był szybszy, uruchomił silnik i zatrzasnął drzwi. Tylko skrawek materiału został mi w ręku. Kiedy wóz ruszył, tkanina rozpruła się z trzaskiem. Czarny wóz, bez numerów rejestracyjnych wtopił się w tłum samochodów. Stałem na paryskim bruku ze skrawkiem czarnej peleryny w ręku.

Obok mnie pojawił się wehikuł, w którym siedzieli pan Tomasz i profesor i Geist. Szef otworzył drzwiczki od strony pasażera i krzyknął:

- Wsiadaj Paweł! Gonimy go.

Dojechaliśmy do następnego skrzyżowania. Były godziny szczytu i tłum wozów kłębił się na światłach. Profesor wychylił się przez okno i zaczął szukać czarnego opła. Poszedłem za jego przykładem.

Na zewnątrz powietrze śmierdziało spalinami. Kierowcy trąbili zapamiętałe klaksonami, próbując przepchnąć się do przodu. Co chwila, z różnych kierunków, słyszało się przekleństwa wściekłych na ślamazarność innych uczestników ruchu.

- Jest tam, będzie skhęcał w lewo! - krzyknął mi nad głową profesor i wskazał ręką, gdzie mam patrzeć. Czarny opel vectra przepychał się między dwoma citroenami-„kaczkami” w kierunku uliczki, podobnej do wąwozu, którego ściany stanowiły dziewiętnastowieczne kamienice.

Niestety, byliśmy w kleszczach. Z prawej strony zablokowała nas ciężarówka, z tyłu powoli przesuwały się do przodu dwa miejskie samochodziki, a z prawej strony buczało swoim sportowym silnikiem czerwone ferrari. Jego właściciel, młody człowiek w czarnych okularach żujący gumę, ubrany w najmodniejszy strój, nie wyglądał mi na takiego, co zgodziłby się ustąpić miejsca komukolwiek, a już na pewno nie takiej „larwie” na kółkach jak nasz wehikuł. Próbowaliśmy dawać wskazówki panu Tomaszowi, ale i to nie pomagało wydostać się z pułapki. A czarny opel vectra coraz bardziej zbliżał się do pustej uliczki!

Panu Samochodzikowi, tak jak chyba każdemu kierowcy w podobnej sytuacji puściły w końcu nerwy.

- Przepuść mnie, cholerny żabojadzie! - zaklął. - Może zaraz nam się uda - powiedział i z całej siły przyduśił klakson.

Przerażający dźwięk zdenerwował jednego z kierowców przed nami, który docisnął pedał gazu i podjechał do przodu, robiąc trochę miejsca przed nami. Pan Tomasz wykazał się refleksem i błyskawicznie minął ferrari. Teraz staliśmy przed czerwonym wozem. Spojrzałem w lusterko wsteczne. Zobaczyłem czarne okulary kierowcy sportowego wozu. Po chwili jakaś ręka zdjęła okulary i zobaczyłem jego oczy.

Spodziewałem się, że będzie w nich wściekłość, ale dojrzałem tam raczej niedowierzanie, osłupienie i iskierki ciekawości.

Na skrzyżowaniu zapaliło się wreszcie zielone światło i samochody ruszyły do przodu. Po chwili skręciliśmy w uliczkę, na której końcu mignął nam tył skręcającego w prawo opła. Pan Tomasz nacisnął czerwony przycisk znajdujący się na desce rozdzielczej. Ten przełącznik zamontowano w naszym ministerialnym pojeździe niedawno. Pozwalał on przełączać silnik pomiędzy oszczędnym, ale nie umożliwiającym rozwinięcia wielkich prędkości trybem, a paliwożernym trybem rajdowym, który czynił z wehikułu prawdziwego króla szos. Silnik, zasilony paliwem, zamruczał głębokim basem i wehikuł błyskawicznie dopadł zakrętu, za którym przed chwilą zniknął ścigany przez nas opel.

Coś mnie tknęło i spojrzałem za siebie. Kilka metrów za nami pędziło czerwone ferrari. Czyżby jego kierowca postanowił zaprezentować nam wyższość swojego wozu? Nie miałem czasu się nad tym zastanowić, bo już byliśmy na kolejnym skrzyżowaniu. Dzięki dopalaczowi udało się nam zniwelować przewagę opła. Teraz stał między nami już tylko jeden samochód. Mała ciężarówka z wymalowaną na plandecce reklamą francuskiego pasztetu. Ferrari dogoniło nas po chwili i stanęło za nami. Warkot jego sportowego silnika nieustannie przypominał nam o jego obecności.

Zaczęły się drogowe szachy. Na czerwonym świetle grzaliśmy silniki, by, kiedy tylko zmieni się

na zielone, ruszyć z kopyta. Pan Samochodzik z całej siły naciskał pedał gazu i usiłował przegonić czarnego opła. Niestety, odcinki pomiędzy skrzyżowaniami były zbyt krótkie, by udało się nam prześcignąć Czarnego Cylindra. Ferrari też nie dawało za wygraną i za każdym razem próbowało nas prześcignąć, ale bez rezultatu.

Kilka razy czerwony dziób wyścigówki dojeżdżał do połowy wehikułu. Widziałem wtedy, że kierowca ferrari daje mi jakieś znaki, ale w tym momencie stawaliśmy na światłach i znów wszystko wracało do ustalonego kilka minut wcześniej porządku, kiedy ciężarówka zjechała w lewo: na czele był czarny opel, za nim my, a na końcu ferrari. Po czterdziestu minutach takiej jazdy pan Tomasz mruknął pod nosem.

- Takiś sprytny. Nie ma sprawy, wezmę cię na przeczekanie.

Od tej pory przestaliśmy się ścigać z czarnym oplem. Kierowca czerwonego ferrari też już nie próbował nas wyprzedzać, tylko jechał w ślad za nami.. Jeszcze tylko czasami Czarny Cylinder próbował nas zgubić. Wystarczyło, że zauważył jakąś jednokierunkową uliczkę, a dociskał pedał gazu i dawał w nią susa.

Jazda między ścianami wysokich kamienic wymagała od kierowcy koncentracji i znakomitej techniki. Pan Tomasz, który za kółkiem różnych samochodów przesiedział już kilkadziesiąt lat, miał obie te cechy.

Doskonale radził sobie zarówno z ciasnymi zakrętami, jak i długimi, szerokimi łukami. Zręcznie lawirował po placykach, na których swoje stragany porozstawiali sprzedawcy. Idealnie wyczuwał zarówno moment, w którym trzeba było wyhamować na zakręcie, jak i chwilę, w której po wyjściu z łuku można już było przyspieszyć. Dzięki jego umiejętnościom czarny opel nie mógł nas zgubić i po kolejnym szalonym zrywem wypadaliśmy zaraz za nim na główną ulicę i stawaliśmy na skrzyżowaniu.

Kierowca ferrari też miał duże doświadczenie, bo i on dzielnie jechał naszym śladem. Tylko czasami zdarzało mu się popełnić drobny błąd i zostawał w tyle. Jednak czasami jechał z niezwykłą brawurą i trochę ryzykował, co pozwalało mu nadrobić utracony dystans.

- Jedziemy na północ - przerwał nerwowe milczenie profesor Geist - ciekawe co on kombinuje?

- Nie wiem - powiedział szef - ale nie obchodzi mnie to. Na szczęście zatankowałem dzisiaj rano do pełna i możemy za nim jechać choćby i do Calais - pan Tomasz uniósł zgiętą rękę do góry w geście zwycięstwa - dopadniemy go!

Spojrzałem na pana Tomasza. Chociaż miał w sobie jeszcze sporo wigoru, wyglądał już na zmęczonego. zaproponowałem mu, że go zmienię i na kolejnym skrzyżowaniu siadłem za kierownicą.

Po około dwóch godzinach jazdy domy zaczęły się przerzedzać i po bokach drogi pojawiały się coraz częściej wille otoczone ogrodami.

- Zdaje się, że wyjeżdżamy z Pahyża - głos profesora był niepewny.

- Może pana gdzieś wysadzić, profesorze? - zaproponował szef. - Nie musi pan jechać z nami. A właśnie - pan Tomasz o czymś sobie przypomniał - jak tam pańska ręka? Może ją obejrzę, znam się trochę na pierwszej pomocy.

- Eh, nic mi nie jest - powiedział wesoło profesor - nic się nie stało, pies mnie tylko lekko zahaczył zębami - rzekł profesor i znów zapadło milczenie.

Po godzinie jazdy czarny opel skręcił na drogę prowadzącą do Amiens.

- W Amiens zmał Juliusz Vehne - powiedział profesor.

- Naprawdę? - zdziwił się Pan Samochodzik. - Bardzo lubiłem czytać książki tego pisarza, kiedy byłem chłopcem. Moją ulubioną było „20000 mil podmorskiej żeglugi”.

- To powiem panu jeszcze jedną ciekawostkę o Vehnie - profesora Geista wyraźnie ożywiła perspektywa dyskusji o genialnym pisarzu science-fiction - ja też uwielbiałem czytać Vehna. Zhesztą to jego książki, pełne opisów niesamowitych wynalazków, spowodowały, że zostałem naukowcem. Niestety, nie dane mi było na własnej skórze przeżyć przygód podobnych do tych, które były udziałem piętnastoletniego kapitana czy mieszkańców Tajemniczej Wyspy, ale po wielu latach zrozumiałem, że nawet siedzenie w laboahatohium może być emocjonujące. Mniejsza z tym. O czym to ja chciałem powiedzieć? Aha! Czy wiedzą panowie, że kapitan Nemo miał być Polakiem, który na pokładzie „Nautilusa” wywieha shogą zemstę na zabohcach. W końcu Nemo nie został naszym sławnym hodakiem, ale w jego kajucie wisiał pohthet Kościuszki.

- Panie profesorze - w panu Tomaszu odezwał się instynkt historyka sztuki - prawdopodobnie będziemy przejeżdżać przez Amiens, czy jest tam coś ciekawego do zobaczenia, nawet jeśli zwiedzanie miałoby się okazać tylko wyglądaniami przez szybę wehikułu?

- Na pewno wahto zobaczyć przepiękną katedhę Nothe Dame z XIII wieku, jest thochę podobna do tej pahyskiej. Amiens, dhodzy panowie, to bahdzo staha miejscowość. Ma około ośmiuset lat i była świadkiem wielu histohycznych wydarzeń. W 1802 hoku Napoleon zawał tam khótkothwały; pokój z Anglikami, a podczas piehwszej wojny światowej... - profesor urwał w pół zdania, bo syknąłem.

Na szerokiej szosie nie widać było czarnego opla. Schował się za stromym pagórkiem, na który wehikuł wspinał się z mozołem. Moi towarzysze wbili wzrok w jezdnię. Kiedy wreszcie wjechaliśmy na szczyt wzniesienia, z naszych ust jednocześnie wyrwał się okrzyk rozpacz.

- Nie ma go! - czarny opel gdzieś zniknął! Rozglądaliśmy się za nim, ale po bokach drogi rósł wysoki i gęsty las, w którego głąb prowadziły liczne, szerokie ścieżki. Czarny Cylinder mógł schować się wszędzie.

Wyjechaliśmy z lasu.

- Popatrz w lusterko! - krzyknął pan Tomasz.

Poszedłem za jego radą. Jakies pół kilometra za nami zobaczyłem czerwone ferrari zawracające w kierunku Paryża. Trochę dalej, spośród drzew wyłonił się czarny opel vectra i z ogromną prędkością także ruszył w kierunku stolicy Francji.

Nie zastanawiałem się długo, tym bardziej że na drodze nie było zbyt wielu samochodów. Pociągnąłem dźwignię ręcznego hamulca do siebie i obróciłem wehikuł sto osiemdziesiąt stopni. Przydeptałem pedał gazu i ruszyłem do przodu. Strzałka szybkościomierza szybko zbliżyła się do dwustu kilometrów na godzinę.

Przemknęliśmy przez las jak torpeda i po kilku sekundach minęliśmy czerwone ferrari. Przed nami był już tylko opel. Byliśmy już sto metrów od niego i wtedy uciekinier wykonał niespodziewany manewr i zahamował. Dym poszedł z jego opon, kiedy klocki hamulcowe dotknęły gumy, a czarny opel vectra skrzył w polną szosę biegnącą w lewo.

Zareagowałem błyskawicznie, ale i tak za późno. Rozpędzony do dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę wehikuł miał długą drogę hamowania. Jak bomba przemknęliśmy obok opla. Dobrze, że błyskawicznie, jeszcze w pędzie, skontrolowałem i wykonałem obrót o sto osiemdziesiąt stopni, bo gdybym spóźnił się o sekundę lub dwie, jadące za nami ferrari wbiłoby się w tył wehikułu. Sprawdzając w lusterku czy kierowcy wyścigówki nic się nie stało, wciskałem rozpaczliwie pedał gazu. Na szczęście kierowca ferrari utrzymał się na drodze. Stanął na poboczu i chyba dochodził do siebie po dramatycznych wydarzeniach, które przed chwilą rozegrały się na drodze. Ja tymczasem

znów użyłem ręcznego hamulca i wjechałem na szosę, którą uciekał Czarny Cylinder.

Droga wiodła przez pola buraków cukrowych.

- La Gare des betteraves - powiedział profesor uśmiechając się szelmowsko.

- Buraczany dworzec - pan Tomasz przetłumaczył z francuskiego

- O czym pan mówi? Jeśli się nie mylę, jedziemy do buhaczanego dworca, to śmieszna, a może smutna historia? Na pewno panowie wiedzą, co to jest TGV?

- Szybkie... - chciałem popisać się wiedzą ale profesor mi przerwał.

- Bahdzo szybkie, panie Pawle - zachnął się Geist, w którym odezwał się francuski patriota - bahdzo szybkie pociągi. Właściwie to najszybsze na świecie! Do TGV należy hekołd pędności pojazdu szynowego. Pięćset trzynaście kilomethów na godzinę! - ekscytował się profesor. - Czy to nie piękne, że to właśnie w khaju Vehna do tego doszło!

- O co chodzi z tym buraczanym dworcem? - dopytywał się szef.

- Nowe linie TGV - kontynuował profesor - często phojektuje się tak, żeby przebiegały przez niezamieszkane tereny. Wszystko to po to, żeby nasze cudowne pociągi mogły bez phoblemów osiągnąć te bajeczne pędności. Ale ludzie czasami są głupi! - w słowach profesora odezwał się nowy, ostry ton. - Nic nie rozumieją i śmieją się z takich stacji jak ta, do kóhej phawdopodobnie jedziemy, czyli TGV Haute-Picardie, kóha została wybudowana w śhodku pól buhaków - profesor uśmiechnął się - oczywiście buhaków cukrowych.

I rzeczywiście! Nie upłynęło nawet dziesięć minut, kiedy zobaczyliśmy budynek dworca. Przed stacją stał czarny opel vectra! Niestety, z dworca odjeżdżał właśnie charakterystyczny, bardziej podobny do statku kosmicznego niż pociągu, srebrzysty skład TGV.

- Goń go! - krzyknął pan Tomasz. - Na co czekasz?

- To koniec, szefie - powiedziałem spokojnie - nie mamy żadnych szans. Może gdyby wzdłuż torów biegła autostrada, dogonilibyśmy go, ale tak nie mamy szans. Podróż TGV jest szybsza niż przelot samolotem. Nie wiem, czy pan wie, że z powodu TGV prawie nie latają samoloty między Paryżem a Lyonem.

- A niech to! - Pan Samochodzik chciał uderzyć pięścią w deskę rozdzielczą, ale w ostatniej chwili się powstrzymał, zaklął tylko pod nosem i zacisnął usta. - Byliśmy tak blisko...

- Wie pan co, panie Tomaszu - przerwałem ciszę - sprawdźmy jeszcze wóz, może chciał nas zmylić i schował się tam albo jest gdzieś na dworcu i liczy na to, że odjedziemy.

- Idę z tobą! - w szefa wstąpiła nadzieja.

- Ja hównież! - zadeklarował profesor Geist

Podeszliśmy do opla i zajrzeliśmy prze szyby do środka, ale w samochodzie nie było nikogo.

- W bagażniku sam by się raczej nie schował - zauważył pan Tomasz i krokiem desperata skierował się do budynku dworca.

Ale w poczekalni też nie było nikogo. Pan Tomasz podszedł do kas i chwilę rozmawiał z kobietą z okienka, potem wyszedł na peron, z którego wrócił po kilku minutach. Garbił się i szedł bardzo powoli.

- Niestety - powiedział zrezygnowany - człowiek w czarnym cylindrze kupił bilet do Londynu i wsiadł do tego pociągu, który właśnie odjechał. Gonić go nie ma sensu, bo nawet jeśli zdołalibyśmy dogonić pociąg, to i tak nie wiedzielibyśmy, na której stacji wysiądzie. Zanim byśmy trafili na peron, on już wtopiłby się w tłum. No i przebranie wyrzuci gdzieś po drodze - pan Tomasz rozłożył bezradnie ręce - nic tu po nas, wracamy do Polski.

Wyszliśmy z dworca i już mieliśmy wsiadać do wehikułu, kiedy na parking przed stacją podjechało czerwone ferrari.

- Oho! - pan Tomasz nerwowo szukał kluczyków. - To chyba ten człowiek, którego prześcignęliśmy. Jeśli jego złość jest równa uporowi, wołałbym się z nim nie spotkać.

Ale było już a późno. Z wozu wytoczył się pięćdziesięciolatek nieco przy kości. Podniósł okulary z oczu na czoło.

Nażelowane włosy połyskiwały w majowym słońcu. Poły sztruksowej jasnobrązowej marynarki śmiesznie powiewały na wietrze, kiedy biegł w naszą stronę.

- Proszę zaczekać! - krzyczał po angielsku z włoskim akcentem. - Nie odjeżdżajcie!

- Chyba nie ma złych zamiarów? - powiedziałem do towarzyszy.

Kierowca ferarri podbiegł do nas. Krótki bieg wyraźnie go zmęczył. Pochylił się, wsparł ręce o kolana i oddychał ciężko.

- Może panu pomóc? - pan Tomasz pochylił się nad nim.

Zaprzeczył ruchem głowy i zaczął przeszukiwać swoje kieszenie. Po chwili z jednej z nich wyjął inhalator. Zaaplikował sobie lek i po chwili odezwał się.

- Astma - jego twarz wykrzywił grymas.

- Tomasz N. N. - Pan Samochodzik wyciągnął do niego rękę. po chwili profesor i ja poszliśmy w jego ślady.

- Przepraszam - teraz na twarzy nieznajomego pojawił się szeroki, śnieżnobiały uśmiech - nie przedstawiłem się. Jestem Hektor Garibaldi i od razu uprzedzam panów pytanie. Giuseppe Garibaldi nie jest moim przodkiem - pan Garibaldi uśmiechnął się smutno. - A szkoda! Ale wracając do mnie. jestem łowcą głów w Ferrari.

- Gonił nas pan, bo chciał pan obciąć nam głowy i spreparować? - pan Tomasz miał siłę tylko na czarny humor - a myślałem, że Ferrari produkuje samochody.

- Dobry żart - Włoch wyszczerzył znów zęby i wycelował w nas palcami, jakby były parą rewolwerów - ale mój pościg miał inny cel. Chciałem zadać jedno pytanie: który z panów prowadził ten wóz? - wskazał ręką na wehikuł.

- W Paryżu ja, potem mój współpracownik Paweł.

- Niesamowite! - wykrzyknął pan Garibaldi - Aż dwóch! Panowie pozwolą że zgadnę. Pan - wskazał na szefa - jest Niemcem - a pan - zwrócił się w moja stronę - musi być Hiszpanem.

- Skąd takie przypuszczenie? - zdziwił się szef.

- Starszy pan jeździł po mieście z precyzją godną Michaela Schumachera, a młodszy pan wykazał się brawurą i fantazją równą Fernado Alonso! Mam rację, prawda?

Ledwie powstrzymaliśmy się od śmiechu. Dopiero po chwili Pan Samochodzik wyjaśnił.

- Drogi panie Hektorze, jesteśmy Polakami.

- Polacy - w oczach Garibaldiego pojawił się błysk - a więc Robert Kubica nie jest jedynym Polakiem, który czuje się za kierownicą jak ryba w wodzie! Panowie! - pan Hektor rozłożył ramiona w zapraszającym geście - mam propozycję. Chciałbym was zatrudnić w zespole Ferrari! Pan, panie Tomasz, mógłby pracować w naszym dziale testowym, pan natomiast, mój chłopcze - poklepał mnie familiarnie po ramieniu - przez jakiś czas pojeździ jako kierowca testowy, a później - jestem pewien po tym co dzisiaj zobaczyłem, że nastąpi to bardzo szybko - wystartuje pan w mistrzostwach świata. Więc jak, zgoda?

Pan Tomasz uśmiechnął się i odpowiedział.

- Dziękuję, że pan docenił moje skromne umiejętności kierowcy, ale przez całe życie byłem historykiem sztuki i nie chcę zmieniać zawodu. Poza tym jestem za stary.

Hektor zwrócił się do mnie.

- To może chociaż pan?

- Ja też chyba się nie zdecyduję.

- Szkoda... - powiedział z żalem Garibaldi - ale trudno. Mam jeszcze jedno pytanie. Co to za wóz, którym jeździcie. Z wierzchu nie wygląda może tak elegancko jak moje ferrari, ale pod maską czai się coś potężnego. Mogę zerknąć?

Pan Tomasz podniósł maskę wehikułu, a Garibaldi zajrzał do środka.

- Wszystko jasne - skomentował - subaru to naprawdę niezła firma. Szkoda, że nie ma ich w Formule 1 - dodał ze znanstwem.

Zerknął na zegarek.

- Będę pędził. Muszę być jeszcze dzisiaj na wyścigu kartingowym. Oto moja wizytówka - podał nam po kartoniku z logo swojej firmy. - Gdyby panowie byli kiedyś w pobliżu, wpadnijcie, to się trochę pościgamy!

Uścisnął nam ręce i zatrzasnąwszy drzwi swojej czerwonej wyścigówki, ruszył z piskiem opon i po chwili zostały po nim tylko ślady na asfalcie.

- Na nas też już chyba czas - powiedział pan Tomasz.

Odwieźliśmy profesora Geista do Paryża.

- To była niesamowita przygoda, jak z Vehna - powiedział ściskając nasze ręce specjalista od laserów.

- I dla nas było to miłe spotkanie - zrewanżował się pan Tomasz. - szkoda, że nie udało się znaleźć nic w skrytce ani schwytać przestępcy - szef się na chwilę zawahał - ale może uda nam się chociaż znaleźć wszystkie blaszki...

- Na pewno, panie Tomaszu, na pewno, życzę tego panu z całego serca.

- Dziękuję, profesorze - powiedział pan Tomasz i wsiedliśmy do wehikułu.

Profesor stał przed Grand Hotelem i machał do nas chusteczką.

- Sympatyczny człowiek - powiedziałem do pana Tomasza.

- O tak - mój zwierzchnik zamyślił się - ale jedna rzecz mnie dziwi.

- O co chodzi, szefie?

- Widzisz, Pawle, kiedy wspomniałem o blaszkach, nawet się nie zdziwił... - głos Pana Samochodzika przeszedł w podejrzliwy szept - a przecież nic mu o nich nie mówiliśmy!

- Może to przypadek, może był tak rozemocjonowany przygodami, że odpowiadał jak automat?

- Może... - powiedział z powątpiewaniem szef i zatopił się w rozmyślaniach.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

CZARNY CYLINDER PODRÓŻUJE TGV * SPOTKANIE NA ORLY * PORWANIE * ŁZY I TAJEMNICZY E-MAIL * WSKAZÓWKA ANDRZEJA * ARCHIWUM RODZINY WĘGIELKÓW * GRÓB MÓJ TAK MA WYGLĄDAĆ * NA POWĄZKACH * CHARON I JEGO GOSPODARSTWO * CZARNY CYLINDER ZNÓW UDERZA * CZTEROWIERSZ

Opadł na wygodny fotel w pustym przedziale pociągu do Londynu i odetchnął z ulgą. Znów się udało. Szybko zdjął z siebie przebranie i kiedy pociąg zwolnił, uchylił okno. Czarna peleryna porwana pędem wiatru poszybowała wysoko i opadła na zieloną łąkę. Cylinder wpadł pod koła, które rozszarpały go na strzępki. „I nie ma śladu” - pomyślał z zadowoleniem i poprawiwszy okulary na nosie, poszedł do wagonu restauracyjnego. Siedząc nad kubeczkim czarnej kawy miał wreszcie czas, żeby spokojnie pomyśleć.

„Operacja prawie zakończona. Teraz tylko z powrotem do Paryża, samolot i do Warszawy. Tu już nic więcej nie wskóramy. A jeśli Ignacy zdołał...” - w jego myśli wdarł się pisk hamulców. Wyrzwał przez okno, a kiedy zobaczył nazwę miejscowości, w której się zatrzymali, w pośpiechu chwycił kurtkę i wybiegł na peron. Po kilkunastu minutach wsiadł do pociągu powrotnego do Paryża i niedługo potem był na lotnisku Orly. Ignacy Rzecki już na niego czekał.

- Jak ci poszło? - zapytał fałszywy Wokulski. - Gadał?

- Powiedział wszystko - uśmiechnął się złośliwie - nawet nie musiałem za bardzo go zachęcać.

Na Okęciu byli po dwóch godzinach. Wyszli z dworca i wsiedli do czarnego opla, który czekał na nich na parkingu.

- Jestem zmęczony - powiedział Wokulski, ziewając.

- Niestety, na razie chyba nie odpoczniemy. Mamy przewagę na Samochodzikiem i Dańcem i musimy ją wykorzystać.

- Co chcesz zrobić?

- Najpierw zadzwoń do Węgiełka - powiedział fałszywy Rzecki.

Czarna karetka podjechała pod Bibliotekę Uniwersytecką i stanęła w uliczce, która wiedzie wzdłuż gmachu w kierunku Wisły. Było ciemno i padał deszcz, dlatego nikt nie zwrócił specjalnej uwagi na dziwny pojazd. A przechodnie, którzy dostrzegli karetkę, myśleli pewnie, że gdzieś w pobliżu kręca film albo że to uczestnicy tak popularnych ostatnio historycznych rekonstrukcji.

Na koźle pojazdu siedział woźnica w czapce zaciągniętej na oczy i długiej kufajce, której postawiony kołnierz zasłaniał jego twarz. Wpatrywał się w niewielki placyk przed wejściem do biblioteki, na którym stała tylko jedna osoba. Był to człowiek przypominający detektywów z książek Chandlera. Ubrany w szary prochowiec z postawionym kołnierzem, w kapeluszu, z ognikiem papierosa w okolicach ust. Wyglądał jakby na kogoś czekał. Woźnica spojrzął na zegarek i przeniósł wzrok na wejście do budynku. Po dziesięciu minutach przez sterowane fotokomórką drzwi wyszedł na zewnątrz trzydziestolatek w okularach. Trochę opadały mu spodnie, które bez przerwy poprawiał. Nie zważał na deszcz. W jednej ręce trzymał batonika, w drugiej dymiącego papierosa. Szary

prochowiec zauważył go, wyrzucił niedopałek do kałuży i podszedł do mężczyzny w opadających spodniach. Chwilę rozmawiali. Furman widział, jak Szary Prochowiec coś tłumaczy swemu rozmówcy, wskazując jednocześnie na karetę. Po chwili obaj ruszyli w kierunku pojazdu.

Byli już blisko. Szary Prochowiec puścił oko do woźnicy. Trzasnęły drzwiczki, a z dużego pudła karety odezwało się stukanie i stłumiony głos Szarego Prochowca.

- Ruszaj, Ignacy!

Furman machnął batem, który trzasnął uderzając o skórę koni.

- Wio! - krzyknął Rzecki.

Powóz ruszył chwiejąc się na resorach. Woźnica zawrócił sprawnie i pojechał w kierunku Wisły. Na pierwszym skrzyżowaniu skręcił w prawo i po chwili zjechał na nabrzeże. Po pięciu minutach powolnej jazdy wzdłuż wału, który odgradzał brzeg od światła miasta, wydał kolejną komendę.

- Prr!

Konie stanęły, machając wielkimi głowami.

Woźnica zeskoczył z kozła. Sięgnął do kieszeni kufajki i wyjął z niej białą gazę i buteleczkę wypełnioną jakimś płynem. Odkorkował flaszkę i przyłożył do szyjki gazę. Przechylił buteleczkę i nasączył bandaż płynem, którego ostry zapach rozszedł się w powietrzu. Fałszywy Rzecki aż się wzdrygnął i otrząsnął. Podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho. Zza przepierzenia dochodziły go odgłosy ożywionej rozmowy, którą prowadzili Wokulski z mężczyzną spod biblioteki.

Fałszywy Rzecki jednym szarpnięciem otworzył drzwi. Obie osoby siedzące w karecie obróciły się do niego. Zrobił krok do przodu i jego twarz znalazła się w kręgu światła lampki zawieszanej wewnątrz powozu. Andrzej Węgiełek, bo to on był mężczyzną zaproszonym do karety przez Szarego Prochowca, stracił na chwilę oddech na widok znajomej twarzy.

- To... to pan - wykrztusił z siebie wreszcie - i już chciał ruszyć do przodu, ale Wokulski był szybszy.

Chwycił go od tyłu za rękę i unieruchomił.

- Tylko trzymaj go dobrze... - powiedział Rzecki i przyłożył gazę do twarzy Andrzeja. Mężczyzna rzucił się, ale po chwili znieruchomiał i podtrzymywany przez fałszywego Wokulskiego opadł na kanapę. Szary prochowiec już miał wysiąść z karety, kiedy Węgiełek jeszcze na chwilę odzyskał przytomność. Jego przytłumiony głos sprawił, że Szary Prochowiec obrócił się. Andrzej, ciągle leżąc, wyciągnął w kierunku fałszywego Wokulskiego rękę w oskarżycielskim geście.

- Nie spodziewałem się tego po panu... nie minie cię kara, zdrajco - wyszeptał. Woźnica usłyszawszy, że chłopak jeszcze mówi, skoczył do niego odtrącając gwałtownie zbitego nieco z tropu Wokulskiego i ponownie przyłożył Węgiełkowi gazę do ust. Chłopak ucichł. Oprawcy wysiedli z karety.

Fałszywy Rzecki spojrział Wokulskiemu w oczy, a zobaczywszy w nich wyrzuty sumienia złapał go za ramiona i potrząsnął kilka razy.

- Opamiętaj się - syknął ostro - musisz być twardy. Pamiętaj, co zrobili ich przodkowie. Chcesz sprawiedliwości? A może twoi przodkowie mają nie zaznać spokoju. Słowa Rzeckiego odniosły skutek.

- Co mam robić? - głos Wokulskiego odzyskał swój zwykły ton i zabrzmiał stanowczo.

- Dzwon do Rosjanki...

Kiedy dziewczyna Andrzeja Węgiełka nas zobaczyła, znów się rozpląkała. Zaprosiła nas gestem do pokoju. Usiedliśmy. Ukryła twarz w dłoniach. Po pięciu minutach ciszy sięgnęła po chusteczkę do pudełka stojącego na fortepianie. Wytarła nos i powiedziała:

- Andrzej... - łzy znów napłynęły jej do oczu - wyszedł wczoraj wieczorem, miał się spotkać z kimś w mieście. Był bardzo rozentuzjasmowany. Mówił, że jest blisko rozwiązania zagadki Ochorowicza. Gdzieś około dwudziestej drugiej wieczorem zaczęłam się poważnie niepokoić. Zadzwoiłam na jego komórkę, ale odezwał się tylko komunikat, że „abonent jest czasowo niedostępny”. Pomyślałam, że rozładowały mu się baterie, czasem tak się zdarzało. Kiedy Andrzej nie przyszedł do północy, a jego telefon ciągle milczał, zaniepokoiłam się naprawdę. Już miałam zadzwonić na policję, kiedy usłyszałam sygnał z komputera oznaczający, że przyszedł nowy e-mail. Pomyślałam, że to od Andrzeja, otworzyłam wiadomość i... - dziewczyna Węgiełka znów się rozpląkała.

- To nie była wiadomość od niego? - zapytał pan Tomasz ze współczuciem w głosie.

- Od niego - dziewczyna mówiła przez łzy - to znaczy - zaniósła się; szlochem - w pewnym sensie od niego... - jej głos przeszedł w płacz. Uniosła rękę i wskazała na komputer.

Podeszliśmy do ekranu. Kiedy zniknął wygaszacz, naszym oczom ukazał się e-mail. Został przesłany ze skrzynki o nazwie stanislaw_wokulski@gazeta.pl. Komunikat był krótki:

10 tys. albo Twój chłopak...

szczerze oddany Stanisław Wokulski

PS Spotkanie pojutrze o 20.00 w kruchcie kościoła seminaryjnego na Krakowskim Przedmieściu. Lepiej przyjdź sama i nie próbuj żadnych sztuczek.

Pod listem była czarno-biała fotografia. Przedstawiała Andrzeja Węgiełka na tle kotary. Andrzej był przebrany w dziewiętnastowieczny frak. W rękach miał wczorajszą gazetę. Zapięta koszula ze stójką musiała go mocno uciskać. Ale nie to był najgorsze. Zza kotary, mniej więcej na wysokości szyi Andrzeja, wystawała ręka uzbrojona w ostry nóż. Nóż opierał się na jabłku Adama młodego naukowca.

Popatrzyłem na pana Tomasza. Wyglądał na załamanego. Zamknął oczy. Usiadł na fotelu, odchylił głowę do tyłu i głośno wypuścił powietrze.

- Zazwyczaj nie piję alkoholu - odezwał się w końcu - ale czy nie ma pani czegoś mocniejszego?

Dziewczyna poszła do kuchni. Po chwili wróciła ze szklaneczką wypełnioną lodem i brunatną cieczą.

Pan Samochodzik upił łyczek.

- Wiem, że to dla pani bolesne, ale muszę zadać kilka pytań.

Pokiwała głową zgadzając się.

- Czy Andrzej zostawił w domu coś dla nas?

- Zapomniałam! - dziewczyna ożywiła się. Podeszła do półki i zdjęła z niej cienką teczkę.

W środku znaleźliśmy dwie szare koperty. Na jednej z nich napisane było: „Archiwum rodziny Węgiełków”, na drugiej: „Do Pana Tomasza N.N.”.

Pan Samochodzik rozerwał kopertę adresowaną do niego i wyciągnął z niej list. Czytałem mu przez ramię:

Panie Tomasz!

Jeśli Pan to czyta, zapewne zaginąłem. Mój Boże, możemy się tylko domyślać, z jak niebezpiecznymi ludźmi przyszło nam walczyć. Tylko dlatego, że są tak niebezpieczni i w imię naszej, mam nadzieję przyjaźni, łamię przysięgę, którą złożyłem prawnucze Wokulskiego. Kiedy Panowie wyjechali do Paryża, wezwała mnie na rozmowę, podczas której ujawniła mi, że jest w posiadaniu pamiątek po moim dziadku. Pamiątki te znajdzie Pan w drugiej kopercie. Zabrałem ze sobą tylko „talizman” z kwadratem magicznym.

Jeszcze tylko słówko o Ochorowiczach. Razem z Niną wpadliśmy na trop potomka Juliana Ochorowicza. Niestety, wczoraj po południu Nina nie przyszła na umówione spotkanie i nie wiem, co się z nią dzieje. Jedyna pewna rzecz, jaką nam się udało ustalić, to adres potomka Ochorowicza. Na imię ma Teodor i mieszka [tu następował adres na Pradze]. Muszę już iść, żeby coś sprawdzić. Pozdrawiam Pana i Pawła serdecznie! Do szybkiego (oby!) zobaczenia

Szczerze oddany

Andrzej

Pan Samochodzik otworzył drugą kopertę. Znajdowało się w niej podobne do piórnika pudełko z wygrawerowanymi na nim słowami. Wziąłem je do ręki:

- Grób mój ma tak wyglądać - odczytałem napis i uchyliłem wieczko. W skrzyneczce znajdował się różaniec, pierścionek z brylantem i zdjęcie przedstawiające Bolesława Prusa z jakimś nieznanym mężczyzną.

Pan Tomasz obrócił zdjęcie i zobaczył opis: „Węgiełek i Głowacki, 1901”.

- Tu musiały być pewnie jakieś plany... - myślałem głośno.

- Zaraz, zaraz, panie Tomaszu - oglądałem pudełko bardziej, żeby go pocieszyć, niż licząc na to, że coś na nim znajdę - tu jest jakiś dokument.

Pan Tomasz wyrwał mi pudełeczko, wyjął z niego kartkę papieru złożoną na czworo. Rozłożył papier i uważnie wczytał się w treść.

- Mam! - wcisnął mi w rękę papier, który okazał się być aktem notarialnym potwierdzającym zakup parceli na największym warszawskim cmentarzu, podpisanym przez Stefana Węgiełka - on leży na Powązkach!

Tak jak Paryż ma swoje Pere-Lachaise, tak i Warszawa ma swoją nekropolię, Stare Powązki. Pod okiem okrągłej kopuły wieży kościoła Świętego Karola Boromeusza rozciąga się na czterdziestu trzech hektarach ziemi las krzyży, nagrobków i mauzoleów. Na niewiele mniejszym od państwa watykańskiego terenie można znaleźć groby sławnych postaci, takich jak aktorka Hanka Bielicka, „ojciec polskiej sceny” Wojciech Bogusławski, pisarka Maria Dąbrowska, aktor Tadeusz Fijewski, ekonomista i reformator polskiej waluty Władysław Grabski, poeta Zbigniew Herbert, historyk i pisarz Paweł Jasienica, tenor Jan Kiepura, jazzman Krzysztof Komeda, uczestnik obrad Sejmu Czteroletniego i czołowy przedstawiciel polskiego Oświecenia Hugo Kołłątaj, poeta Bolesław Leśmian, architekt Henryk Marconi, kompozytor Stanisław Moniuszko, ostatni komendant Armii Krajowej Leopold Okulicki, poetka i twórczyni piosenek Agnieszka Osiecka, noblista, autor „Chłopów” Władysław Reymont, filozof Władysław Tatarkiewicz, reporter Melchior Wańkowicz, lotnicy Stanisław Wigura i Franciszek Żwirko oraz Bolesław Prus. Ta lista jest długa, a i tak brakuje na niej przynajmniej dwu setek znakomitości, które ostatnie miejsce spoczynku znalazły na Powązkach.

A przecież nie zawsze tak było! Cmentarz powstał w 1790 roku. Nazwę swą wziął od wsi Powązki. To na skrawku ziemi należącym do tej miejscowości powstał początek nekropolii. Powązki

były częścią XVIII-wiecznego projektu, który polegał na przeniesieniu cmentarza poza obręb miasta.

Znaczny rozwój Starych Powązek nastąpił w XIX wieku. W czwartej dekadzie tego stulecia prawie wszyscy zmarli warszawiacy byli chowani w tym miejscu. Miejscem prestiżowym stały się jednak dopiero po roku 1884, wraz z powstaniem cmentarza na Bródnie, gdzie od tamtej pory grzebano ubogich. Wówczas to Powązki zyskały dostojność i znaczenie, z którym równać się mogą chyba tylko Wawel i Skałka.

Druga wojna światowa odcisnęła swoje piętno na cmentarzu. Mocno doświadczona podówczas nekropolia, niszczała aż do lat siedemdziesiątych XX wieku. Wtedy, z inicjatywy Jerzego Waldorffa powstał Społeczny Komitet Opieki nad Zabytkami Starych Powązek. Co roku w dzień Wszystkich Świętych i w dzień zaduszny sławni artyści, politycy i wolontariusze stoją w cmentarnych alejkach. Charakterystycznym dźwiękiem, wywołanym potrząsaniem metalową puszką wypełnioną pieniędzmi, zachęcają do wsparcia renowacji zabytkowych nagrobków.

Na cmentarz weszliśmy przez bramę Świętej Honoraty i między nagrobkami ruszyliśmy do kościoła Świętego Karola Boromeusza. Przy bocznych drzwiach stał jakiś człowiek i zamykał na klucz wejście do świątyni. Mogliśmy mu się dokładnie przyjrzeć dopiero wtedy, kiedy, usłyszawszy kroki, obrócił się gwałtownie w naszą stronę. Na oko przekroczył już siedemdziesiątkę. Miał długie, siwe włosy, pomarszczoną twarz, a na niej kilkuniedniowy zarost. Haczykowały nos. Ubrany był w długą, czarną i mocno podniszczoną kaptę, spod której widać było tylko wysłużone oficerki. „Charon” - nazwałem go w myślach.

- Kogoś panowie szukają? - odezwał się chrapliwym, przepalonym głosem i rzucił nam ostre jak brzytwa, przenikliwe spojrzenie, które zmuszało rozmówcę do mówienia prawdy.

Pan Tomasz wytłumaczył mi, co nas sprowadza na Powązki.

- Czy mogę zobaczyć dokument? - wyciągnął w naszą stronę spracowaną rękę.

Szef podał mi akt notarialny. Starzec wyjął z kieszeni okulary w drucianych oprawkach, zasadził je na nos i szybko przejrzał dokument. Schował okulary z powrotem do kieszeni

- Chyba coś da się z tym zrobić - powiedział Charon prezentując w uśmiechu czarne zęby - Proszę za mną! - rozkazał, po czym chwycił prawie tak długi jak on sam kij, który stał pod ścianą i, podpierając się nim, ruszył niezbyt szybkim krokiem pomiędzy nagrobki.

Dzień był chłodny, a cały teren cmentarza zasnęła mgła. Co chwila wyłaniał się z niej jakiś nagrobek, by po chwili zniknąć nam z oczu. Kamienne anioły wyglądały jakby przelatowały obok nas. Czasami zdawało mi się, że poruszają ustami, szepcząc ciche modlitwy za zmarłych. Charon szedł kilka kroków przed nami. Jego nogi pokrywała mgła ścieląca się po ziemi. Miałem wrażenie, że nie idzie, a płynie w widmowej łodzi, odpychając się swoim kosturem jak wiosłem. Po kilku chwilach tego dziwnego spaceru dotarliśmy do jakiegoś budynku. Nasz przewodnik otworzył drzwi i zaprosił nas gestem do środka.

Wnętrze domu było przytulne. Długi korytarz był oświetlony nisko wiszącymi lampami. Na podłodze ciemnoczerwony dywan. Ściany pomalowane na biało. Kilkoro drewnianych drzwi prowadzących do pokojów. Charon wyprzedził nas i otworzył pierwsze z lewej.

- Zapraszam do mnie - powiedział, a jego głos wydał mi się bardziej sympatyczny niż przy kościele.

Weszliśmy do dużego pokoju. Ściany miał pomalowane na biało, a podłogę stanowiły wytarte przez miliony kroków deski. Po lewej stronie od wejścia znajdowało się duże okno, w którym zawieszono firanki i zasłony w wesoły wzór, pod oknem stało zaścielone, jednoosobowe łóżko. Pod

ścianą naprzeciwko okna ustawiono kuchenne szafki, pomiędzy którymi znajdowała się mała umywalka, z lusterkiem zawieszonym tak, żeby można było obserwować twarz podczas golenia.

Naprzeciwko wejścia stały dwie szafy. Jedna była niska, nowoczesna i raczej skromna, druga wielka, z bogatymi zdobieniami. Obie były zamknięte, a klucze tkwiły w zamkach.

Centralnym miejscem w pokoju był wielki drewniany stół, przykryty obrusem, wokół którego rozstawiono krzesła z oparciem. Na jednym z jego końców stała szklanka z niedopitą herbatą i łyżeczką oraz talerz z resztkami śniadania. Cały pokój może nie lśnił czystością, ale panował w nim porządek.

- Przepraszam panów za bałagan - Charon zakrzętał się wokół stołu - wyszedłem rano, a gospodarzę sam... Nie miałem czasu... Takie kawalerskie porządki. Napiją się panowie czegoś? Proszę siadać.

Poprosiliśmy o herbatę i usiedliśmy na krzesłach. Gospodarz wyjął z szafki obok umywalki świeży obrus i trzymając go w ręku, strzepnął z blatu okruchy chleba na dłoń. Obrócił się i zjadł je. Potem rozścielił białą tkaninę.

Zagwizdał czajnik. Charon ruszył w kierunku małej elektrycznej kuchenki, stojącej obok szafek. Po chwili wrócił z herbatą i talerzem ciasta, pokrojonego w kwadraty.

- Śmiało, panowie - zachęcał nas - częstujcie się. Nie musicie się bać. Ten wypiek nie jest moim dziełem. To robota siostry Eugenii, która przychodzi do mnie codziennie i przynosi obiad. Drożdżowiec to jej specjalność!

Ciasto faktycznie było znakomite, szczególnie śliwki, które rozplływały się w ustach. Zjedliśmy po kawałku, ale gospodarz zmusił nas, żebyśmy wzięli dokładkę. Sam też nie pozostawał w tyle. Kiedy pochłaniał czwarty kawałek, pan Tomasz zapytał.

- Czy mogę zapytać, jaka jest pańska profesja?

- To zależy - Charon przetarł usta rękawem kapoty i wyciągnął z kieszeni płaszcz fajkę - W kościele jestem kościelnym, na cmentarzu grabarzem i stróżem, a tu... Tu jestem urzędnikiem - nabił fajkę tytoniem i zapalił.! Puścił kilka kółek z dymu i powiedział: - A panowie do której z tych osób mają sprawę? - zmrużył oko i uśmiechnął się szelmowsko.

- Chyba do urzędnika - odpowiedział pan Tomasz.

- Też tak sądzę - pyknął z fajki - Czy mogę poprosić jeszcze raz o papier?

Pan Tomasz podał mu dokument. Charon założył okulary, rozprostował dokument na stole i studiował uważnie przez kilka minut, wodząc palcem wzdłuż wierszy.

- Dawno czegoś takiego nie widziałem - odezwał się wreszcie - to bardzo ciekawe. Na dokumencie podpisał się - Charon pochylił się nad kartką i przeczytał wykaligrafowany tam zawijas - niejaki Stefan Węgiełek. Nie wiedzą panowie, czy kupił kwaterę dla siebie, czy dla kogoś innego?

Pokręciliśmy przecząco głowami, a Pan Samochodzik szybko dodał.

- Ale przypuszczamy, że dla siebie. Kartka była w pudełeczku, gdzie prawdopodobnie przechowywano plany jego nagrobego pomnika.

- Dokument nosi datę 14 grudnia 1946 roku, więc jeśli chodzi o Węgiełka... - Charon zapatrzył się w ścianę.

- Czy data ma jakieś znaczenie? - wtrąciłem się.

- Ma - Charon ocknął się z zamyślenia - bo księgi, w których w XIX i XX wieku zapisywano zmarłych, zostały zniszczone bezpowrotnie w powstaniu warszawskim. Hitlerowcy uderzyli na Powązki, bo tutaj wielu ludzi ukrywało się przed gestapo, a armia podziemna miała tu skład broni.

Pamiętam, jak palił się kościół - w jego oczach pojawił się smutek, a żar w fajce, nie podsycany kolejnymi pociągnięciami, zgasł. - Jeśli Węgiełek kupił kwatere dla siebie, powinno się nam udać odnaleźć go. A więc do roboty!

Podnieśliśmy się z krzeseł, ale gospodarz gestem usadził nas z powrotem.

- Nie, nie - zaśmiał się grubym chrapliwym śmiechem - cmentarz jest za duży. Nawet we trójkę przeszkanie go w całości zajęłoby nam kilka tygodni. A panowie, jak sądzę, nie mają tyle czasu?

- Dysponujemy najwyżej godziną może dwiema. Chodzi o ludzkie zdrowie, a może nawet życie...
- powiedział cicho pan Tomasz.

- Tak myślałem, dlatego... - zawiesił głos, podszedł do dużej szafy, przekręcił klucz i otworzył skrzydła mebla - zajrzemy tutaj - kiedy odsłonił wnętrze szafy, naszym oczom ukazały się stosy książek.

Zaczęliśmy przeglądać rejestry pochowanych na Starych Powązkach. Charon kursował między stołem a szafą i donosił nam coraz to nowe tomy, a my, wodząc palcami po pożółkłych ze starości kartkach, szukaliśmy. Wreszcie po półgodzinie dopisało mi szczęście. W spisie z lutego 1947 roku znalazłem adnotację następującej treści: „Węgiełek Stefan, ur. 15 stycznia 1863 roku, zm. 27 lutego 1947 roku, kamieniarz i rzeźbiarz, kw. no 220-1-5”.

Kwaterna numer 220 leżała w centralnej części cmentarza. Kiedy do niej szliśmy, po naszej lewej stronie minęliśmy grób Bolesława Prusa. Spory obelisk z rzeźbą dziecka z wyciągniętymi w górę rękami i napis: „Serce-serc”.

- Wiesz, Pawle, że tu leży nie tylko sam Aleksander Głowacki, ale jego żona i ich przybrany synek, nazywany przez Prusa „Psujakiem”.

Dotarliśmy w końcu do kwatery 220 i skręciliśmy w prawo. Pan Tomasz liczył na palcach mijane nagrobki i mruczał:

- Drugi, trzeci, czwarty, piąty... to tu!

Naszym oczom ukazał się bardzo zaniedbany grób. Pnącza powojów przez lata szczelnie otuliły granit i całkowicie zasłoniły płytę. Bez słowa zaczęliśmy oczyszczać grobowiec. Po półgodzinie byliśmy zasapani.

Ocierając twarze z potu patrzyliśmy zadziwieni na dużą czarną płytę nagrobną, na której było napisane:

**TU SPOCZYWA STEFAN WĘGIELEK 1863-1947
3. POTE M ZWRÓĆ OCZY TAM, GDZIE POTĘPIENI
WYGLĄDAĆ BĘDĄ PIEKIELNYCH PŁOMIENI
CZARNY SUZEREN WZROKIEM CI POKAŻE,
PRZED KTÓRYM MASZ STANAĆ, WĘDROWCZE, OLTARZEM.**

- Masz coś do pisania? - zapytał pan Tomasz.

Przeszukałem kieszenie, ale nic nie znalazłem.

- Polecę do wehikułu - powiedziałem.

Wróciłem po dziesięciu minutach. Kiedy dochodziłem do grobu Węgiełka, usłyszałem podniesione głosy; jednym z nich był głos szefa:

- Nigdy, psie, strzelaj...

Ukryłem się za nagrobkiem i obserwowałem scenę. Pan Tomasz stał z podniesionymi rękoma kilka metrów od miejsca ostatniego spoczynku Andrzeja Węgiełka. Przed nim, z twarzą zasłoniętą

czarną opończę i groźnie wyciągniętą ręką z pistoletem stała postać w czarnym cylindrze na głowie. Nieznajomy odezwał się grubym, jakby znajomym głosem:

- No, no, nie spodziewałem się po panu takiego słownictwa na cmentarzu. Mów, co wiesz, albo JordaneK, Węgiełek i Nina zginą...

Pan Tomasz już otwierał usta, kiedy wpadł mi do głowy pomysł. Odbiegłem cicho kilka alejek dalej i zacząłem biec w stronę alejki, gdzie stał pan Tomasz, głośno krzycząc:

- Policja! Stać, bo strzelam!

Usłyszałem wystrzał i zacząłem biec szybciej. Kiedy wreszcie dopadłem do nagrobka Węgiełka, czarny cylinder zniknął. Pan Samochodzik leżał na ziemi, a w powietrzu unosił się znajomy zapach, który pozostawia po sobie wystrzał z pistoletu gazowego. Podniosłem pana Tomasza, który odzyskiwał właśnie przytomność:

- Jednak dobrze, że nie przyładował we mnie ostrą amunicją. Mam szczęście, że ciągle trafiam na w miarę kulturalnych bandytów... Pomóż mi wstać...

- A teraz... - Pan Samochodzik zapisał już wiadomość w notesie - teraz odwiedzimy Teodora Ochorowicza.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

KLAN HIPNOTYZERÓW * RYTUAŁ PRZEKAZANIA BLASZKI * POMOCNA DŁOŃ PROFESORA PIEKAŁKIEWICZA * HASŁO * ŚLADAMI PODZIEMNEJ RZEKI * WĘDRÓWKI SYRENKI * CZY WESTA MIESZKAŁA W WARSZAWIE? * WSPOMNIJ NA IMIĘ... * TRZECIA CZĘŚĆ ZAGADKI * PRZESŁUCHANIE

Człowiek, który siedział przed nami i bawił się zegarkiem na długim łańcuszku, do złudzenia przypominał swojego przodka. Jego dużą, kwadratową twarz porastała gęsta i długa, ale starannie przystrzyżona broda. Włosy, zaczesane do tyłu, przerzedziły zakola. Pod wysokim czołem prawie nie było widać brwi, a oczy patrzyły w bok.

- To ciekawe, że panowie pytają o tę właśnie blaszkę... - urwał na chwilę i wpatrzył się w zegarek z dewizką, potem przeniósł wzrok na swoją zabandażowaną rękę, w której trzymał talizman od pani Pawłowskiej i uśmiechnął się smutno - jestem ranny właśnie z jej powodu.

- Jak to? - zapytałem.

- To bardzo proste. Wraciałem wczoraj do domu późnym wieczorem. Wchodziłem po schodach na czwarte piętro. Kiedy byłem na trzecim, usłyszałem, że ktoś majstruje przy drzwiach na moim piętrze. Wspiąłem się po schodach i wyjrzałem. Przed moimi drzwiami stał wysoki człowiek w cylindrze i czarnym palcie...

- To... - niemal krzyknąłem, ale nie skończyłem powstrzymany wymownym spojrzeniem pana Tomasza - to straszne!

- To miłe, że tak się pan przejmuje moim losem, ale to jeszcze nie było najgorsze - ciągnął opowieść Ochorowicz - człowiek ów szybko uporał się z zamkiem w moich drzwiach i wśliznął się do mieszkania. Ruszyłem za nim. Był ostrożny, nie zapalił światła. Widziałem tylko smugę latarki błędzącą po całym domu, jakby w poszukiwaniu czegoś. W końcu wszedł do mojego gabinetu i obrócony plecami do drzwi przeszukiwał biurko. Wtedy wkroczyłem do pokoju, cicho zamknąłem drzwi i zapaliłem światło. Włamywacz obrócił się w moją stronę z pistoletem w ręku. Byłem tak przerażony, że nie mogłem z siebie wydusić ani słowa. Człowiek w cylindrze zażądał ode mnie blaszki, o którą panowie pytają. Kiedy odmówiłem i powiedziałem, że dzwonię na policję, ten szalencie odbezpieczył pistolet Musiałem działać błyskawicznie. Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki, gdzie zawsze trzymałem blaszkę jako talizman - doktor się zaczerwienił i uśmiechnął przepraszająco - no cóż, każdy ma jakieś przesady. Więc sięgnąłem po blaszkę i rzuciłem nią w rękę napastnika. Pistolet wystrzelił i ranił mnie w dłoń. Upadłem na kolana. Napastnik jednak nie interesował się już wcale mną. Chwycił tylko blaszkę i wypadł z mojego mieszkania. Jeśli więc chodzi o blaszkę, nie mogę już panom pomóc...

- Może chociaż pamięta pan, co na niej było? - zapytał Pan Samochodzik.

- Oczywiście, że pamiętam. Z jednej strony był fragment kwadratu magicznego. O ile dobrze pamiętam, cztery pola z cyframi, po drugiej stronie była jakaś liczba, chyba współrzędna...

- Czy pan się nie domyśla, do czego mogła służyć ta blaszka? - zapytałem.

- Oczywiście, że tak! Myślę, że może to panów zainteresować. Wiedzą już panowie, że moim

cioteczny pradiadkiem był Julian Ochorowicz. Postać niezwykła. Jeden z największych i najbardziej niedocenionych w Polsce uczonych. Urodził się w 1850 roku. Parał się różnymi dziedzinami nauki. W latach osiemdziesiątych XIX wieku zajmował się na przykład telekomunikacją. Coś panom pokażę - Teodor Ochorowicz wstał z fotela i wyjął z dużej szafy kartonowe, zakurzone pudełko. Otworzył je i naszym oczom ukazało się stare urządzenie. Do sześciennego korpusu przytwierdzono po bokach haczyki, na których zaczepiono coś w rodzaju słuchawek. Na przedzie urządzenia zamontowany był płaski, szeroki walec.

- To telefon konstrukcji Juliana - tłumaczył profesor - takich urządzeń jak to używano do komunikacji pomiędzy Paryżem a Wersalem do 1905 roku. Ale nie telefonizacja była największą pasją mojego ciotecznego pradziada, tylko...

- ...psychologia - dokończył pan Tomasz.

- Właśnie. Znał wybitnego neurologa Charcota, który próbował leczyć histerię hipnozą. Sam też stosował tę metodę w terapii swoich pacjentów. W Wiśle, dokąd się wyniósł pod koniec XIX stulecia, przepędzony z Warszawy ignorancją stołecznego środowiska lekarskiego, wybudował willę „Ochorowiczówkę”, gdzie miał pracownię, w której badał na przykład zjawisko psychokinezy, czyli przenoszenia przedmiotów siłą woli. Na przełomie pierwszej i drugiej dekady XX wieku pracował w Wiśle z polskim medium, Stanisławą Tomczykówną. Wprowadzał ją w trans, a ona poruszała przedmioty siłą swojej woli. Podobno powstały filmy z tych seansów, ale niestety nie zachowały się do naszych czasów... W „Ochorowiczówce” gościli sławni ludzie. Na przykład Władysław Reymont napisał tam pierwszą część „Chłopów”; bywał u Ochorowicza i Bolesław Prus, któremu Julian posłużył jako prototyp postaci inżyniera Ochockiego.

- Czy ma to jakiś związek z blaszką? - wypaliłem niegrzecznie, ale profesor nie mrugnął nawet okiem, tylko odpowiedział.

- To właśnie z hipnozą wiąże się niezwykła rodzinna tradycja - tłumaczył profesor - Blaszką jest w naszej rodzinie od ponad stu lat, ale nie przechodzi z ojca na syna, ale z hipnotyzera na hipnotyzera, bo muszą panowie wiedzieć, że w każdym pokoleniu naszej rodziny jest przynajmniej jeden hipnotyzer. W moim pokoleniu to właśnie mnie przypadł ten zaszczyt. Moim mistrzem hipnozy był wuj, który pobierał nauki od samego Juliana Ochorowicza. Z przekazaniem blaszki wiąże się pewien rytuał, który odbywa się zawsze w ten sam sposób. Uczeń hipnotyzuje mistrza. Potem wypowiada słowo-klucz, ukryte w kopercie, którą wolno otworzyć tylko podczas rytuału. Słowo - klucz uruchamia specjalny mechanizm psychiczny. Zahipnotyzowany mistrz hipnotyzuje ucznia. Przeprowadza szereg doświadczeń, które mają upewnić go, że uczeń jest zahipnotyzowany. Jednym z tych testów, jak mi się udało ustalić na podstawie odnalezionych strzępów notatek Ochorowicza, jest sprawdzian polegający na tym, że uczeń sugeruje mistrzowi, iż ten nie czuje bólu i nakłusza go trzykrotnie igłą. Potem, kiedy upewni się, że nikogo nie ma w pokoju (jeśli ktoś byłby w pobliżu mistrz wypadłby natychmiast z transu), przekazuje uczniowi informacje jakoś powiązane z blaszką. Jakie dokładnie, nie wiem. Nic o tym nie było w notatkach mego przodka. Kiedy mistrz zakończy przekazywanie informacji, wyprowadza ucznia z transu. Potem uczeń każe zapomnieć mistrzowi o tym, co mu właśnie przekazał. Mistrz traci status mistrza i uczeń uzyskuje samodzielność.

- To jakby rodzaj wyzwolenia czeladnika? - zapytałem.

- Tak, ale w całym tym rytuale chodzi o coś jeszcze... Jestem doskonałym hipnotyzerem, wyleczyłem wielu ludzi... Ale mnie samego nie da się zahipnotyzować!

- Jak to? - zdziwił się pan Tomasz. - Przecież podobno można zahipnotyzować każdego?

- Ale ja mam w sobie blokadę. Można mnie wprowadzić w stan hipnozy, przeszedłem nawet badania encefalografem i fale mojego mózgu podczas hipnozy wyglądają tak samo jak fale każdego innego zahipnotyzowanego, ale żaden hipnotyzer nie był w stanie ze mną nawiązać kontaktu... Kiedy jestem zahipnotyzowany, działam jak automat, mówię kilka słów i milknę...

- Jakich słów? - zapytałem.

- Chcą panowie usłyszeć? - profesor zasepił się. - Musiałbym wezwać jednego z moich uczniów. Ale proszę poczekać, spróbuję do jednego zadzwonić, może będzie mógł przyjść. Tymczasem, jeśli oczywiście panowie pozwolą, skopiuję posiadaną przez panów blaszkę.

Wszedł, kiedy piliśmy herbatę.

- Przyszedłem najszybciej jak potrafiłem, mistrzu - powiedział profesor Piekalkiewicz, bo to on okazał się być uczniem wezwanym przez profesora Ochorowicza.

Nasz gospodarz wstał z krzesła, podszedł do Piekalkiewicza, objął go ramieniem i powiedział:

- Panowie pozwolą że przedstawię, mój najlepszy uczeń...

- Nie trzeba, profesorze - Pan Samochodzik wstał i wyciągnął rękę w kierunku Piekalkiewicza, który zaczerwieniony, odwzajemnił gest - już mieliśmy przyjemność się poznać. Nie wiedzieliśmy jednak, że ma pan, profesorze, jeszcze jakąś pasję, poza literaturą...

- Zrobiłem drugi fakultet, z psychologii - odpowiedział nieśmiało Piekalkiewicz.

- Skoro jesteśmy wśród swoich - Ochorowicz uśmiechnął się szeroko - możemy przejść do rzeczy. Rafałku - zwrócił się do Piekalkiewicza - panowie chcą zobaczyć moją mentalną blokadę.

- Oczywiście, mistrzu - Piekalkiewicz zgiął się w dyskretnym pokłonie.

Przesunęliśmy swoje krzesła poza zasięg światła, żeby nie przeszkadzać w seansie. Ochorowicz usiadł wygodnie na krześle. Piekalkiewicz zasiadł na niskim, skórzanym pufie, przejechał dłońmi po włosach, westchnął cicho, zaczął wodzić palcem przed oczami Ochorowicza i powiedział:

- Patrz cały czas na palec - jego głos zmienił się nie do poznania, był cichy i spokojny, ale jednocześnie mocny i władczy.

Ochorowicz wodził oczami za palcem Piekalkiewicza. Minęły dwie, może trzy minuty.

- Twoje powieki robią się ciężkie - powiedział Piekalkiewicz. Na jego czoło wystąpiła kropelka potu - bardzo ciężkie. Chce ci się spać. Jesteś odprężony. Zaraz policzę od pięciu do jednego; kiedy powiem jeden, zaśniesz. Pięć - powiedział hipnotyzer i opuścił palec.

Ochorowicz zamknął oczy.

- Cztery.

Klatka piersiowa wznosiła się powoli, kołysana miarowym oddechem.

- Trzy.

Twarz Piekalkiewicza stężała w skupieniu. Kropelki potu pojawiały się na jego czole i sunęły szybko w dół po skroniach.

- Dwa.

Hipnotyzowany otworzył usta i zachrapał.

- Jeden.

Ciało Ochorowicza zwiotczało i osunąłby się z fotela na ziemię, gdyby Piekalkiewicz nie złapał go pod ramiona i z wysiłkiem nie wciągnął na fotel, jednocześnie mówiąc:

- Siedź!

Ochorowicz zeszywniał. Wyglądał, jakby spał. Piekalkiewicz wyciągnął z kieszeni marynarki

chustkę i otarł nią czoło z potu.

- Teodorze! - powiedział - Teodorze! Słyszysz mnie?

Ale Ochorowicz nie odpowiedział. Rzucił się tylko we śnie. A potem wstał z krzesła. Przybrał pozę, podobną do tej, jaką greccy rzeźbiarze nadawali swych rzeźbom w okresie archaicznym. Nogi miał złączone ze sobą. Ręce zwisały wzdłuż tułowia. Nagle zgiął się wpół, jakby jego ciało przeszły paroksyzm bólu.

Zerwaliśmy się z foteli, żeby mu pomóc, ale Piekalkiewicz ruchem ręki powstrzymał nas. Usiedliśmy, ale wierciliśmy się niecierpliwie. Po dwóch minutach Ochorowicz znów się wyprostował. Podniósł ręce i rozłożył je jakby były skrzydłami. Dłonie skierował ku górze. Otworzył oczy, ale nie było w nich tęczy, tylko straszne, blade białka.

- Po co przychodzisz, wędrowcze? - odezwał się wysokim głosem i zamilkł.

Piekalkiewicz odwrócił się w naszą stronę i wyszeptał:

- To już wszystko. Na tym jego trans się kończy. Teraz go wybudzę...

- Proszę poczekać - pan Tomasz zerwał się z krzesła - mam pomysł...

Twarz Piekalkiewicza wyrażała osłupienie, kiedy Pan Samochodzik podszedł do Ochorowicza i mocnym głosem powiedział coś po grecku. Rozpoznałem w tych słowach starożytną formułę, której słowami zwracali się do wyroczni delfickiej pielgrzymi proszący o przepowiednię. Przez chwilę nic się nie działo, ale po kilku sekundach zahipnotyzowany zamknął oczy i zaczął deklamować.

Szukaj rzeki podziemnej w mieście mej młodości,

Zdrój cztery razy tylko na powierzchni gości

Znajdź miejsce pierwsze, podobne temu z Tivoli,

W okręgu będzie brama, co prawdę wyzwoli.

Stań pośrodku koła i wspomnij na imię,

które nosił filozof w Achajów krainie,

I ten co przybył tutaj z dalekiego wschodu,

I miłością zapalał do mojego grodu.

- Oto mapa wodociągów Henryka Marconiego - dyrektor warszawskich wodociągów, dyrektor Ciurkiewicz, rozłożył na stole duży arkusz papieru i przetaił ciągle łzawiące oczy - wodociągi przestały działać w 1898 roku. Szybko, bo powstały niecałe pół wieku wcześniej, w latach 1851-1855. Zastąpił je wodociąg Lindleya, który do dzisiaj jeszcze przynosi warszawiakom wodę. No, ale wróćmy do Marconiego i panów pytania - Ciurkiewicz pociągnął nosem - wiersz, który mi panowie pokazali mówi o podziemnej rzece, która tylko cztery razy pojawia się na powierzchni. Myślę, że chodzi tu o jeden z odcinków wodociągów Marconiego. Popatrzmy... - Ciurkiewicz pochylił się nad mapą i przyłożył palec na południu mapy - woda pobierana z Wisły trafiała do Stacji Pomp Kanałowych na Powiślu, stamtąd była tłoczona w kierunku placu Saskiego, czyli dzisiejszego Piłsudskiego. W parku Saskim znajdował się, zachowany zresztą do dzisiaj, wodozbiór. To była swego rodzaju wieża ciśnień. Woda, już rozpędzona, trafiała stamtąd kolejno do czterech fontann: w Ogródzie Saskim, na placu Bankowym, pod kolumną Zygmunta... - dyrektor wodociągów wycierając oczy chusteczką, podszedł do półki i wyjął stamtąd kolorową pocztówkę, pokazał ją nam - tak to wtedy wyglądało.

Na kartce widać było kolumnę Zygmunta. O ile jednak górna część najslawniejszego warszawskiego pomnika wyglądała tak jak dzisiaj, to dolna partia monumentu była otoczona niską

kamienną balustradą. W czterech rogach cokołu, na którym stała kolumna, znajdowały się posągi trytonów.

- Z fontanny pod kolumną Zygmunta - Ciurkiewicz chrząknął, zwracając na siebie naszą uwagę - woda miała niedługą drogę. Ostatnim przystankiem „podziemnej rzeki” była fontanna na Rynku Starego Miasta.

- Fontanna jest tam i teraz - zauważyłem.

- Ale ile się syrenka z tej fontanny natulała po całej Warszawie! - Ciurkiewicz znów sięgnął do swojego archiwum. I wyciągnął cztery zdjęcia.

- Rzeźbę syrenki wykonał Konstanty Hegel. Proszę spojrzeć - dyrektor pokazał nam pierwsze zdjęcie - stanęła na rynku w 1855 roku, czyli w roku ukończenia wodociągu Marconiego. Najpierw umieszczono ją na dużym cokole otoczonym metalowym płotem. Na początku XX wieku cokół zamieniono na wielką skałę z grotą. Cokół wrócił w 1914 roku. W dziesięć lat po odzyskaniu niepodległości, w 1928 roku, syrenkę przeniesiono na Solec - Ciurkiewicz podał nam drugie zdjęcie - na tereny klubu sportowego. Co ciekawe, rzeźba stanęła na postumencie, wykonanym z kamienia, który pozostał po zburzeniu soboru Świętego Aleksandra Newskiego na dzisiejszym placu Piłsudskiego. Druga wojna światowa pozbawiła syrenkę ręki, miecza i tarczy. W 1955 przeniesiono posąg do Centralnego Parku Kultury. W latach 1970-1972 nad rzeźbą znęcali się chuligani. Pomnik postanowiono przenieść na mury obronne Baszty Marszałkowskiej. Stał tam prawie do końca XX wieku. W 1999 roku wrócił po ponad siedemdziesięciu latach na pierwotne miejsce i znów zdobi fontannę na Rynku Starego Miasta. Jeśliby mnie panowie pytali - dyrektor wytarł nos - to miejscem, które zostało opisane w wierszu przez panów zacytowanym, jest fontanna w parku Saskim.

Powietrze pachniało wspaniale. Ogród Saski budził się ze snu śpiewem ptaków. Delikatne słońce poranka przebijało się przez gałęzie drzew. Fontanna cicho szemrała. Przyjemnie było usiąść na ławeczce obok niej po nieprzespanej nocy. Otworzyłem służbowy notebook i wszedłem do sieci. Wklepałem w wyszukiwarkę grafiki wyraz „Tivoli”. Zaczęły ukazywać się panoramy tego urokliwego włoskiego miasta, ale moją uwagę przykuło zdjęcie świątyni Westy. Zdjęcia ukazywały ruiny, ale jakby znajome. Wpisałem w wyszukiwarkę „Vesta, Tivoli”. Znów wyskoczyły zdjęcia ruin, ale oprócz nich pojawił się plakat z rekonstrukcją świątyni. Spojrzałem w prawo. Myślałem, że zobaczę szefa siedzącego obok mnie na ławce, ale nie było nikogo. Pan Samochodzik zniknął. Musiałem nie zauważyć jego odejścia, kiedy próbowałem rozszyfrować zagadkę Ochorowicza. Rozglądałem się po parku, aż w końcu usłyszałem:

- Paweł! Tutaj!

I wtedy zrozumiałem. Zobaczyłem Pana Samochodzika machającego do mnie z wysokiego pagórka, na którym w latach pięćdziesiątych XIX wieku Henryk Marconi wybudował warszawską wersję świątyni Westy z Tivoli, która w jego wodociągu pełniła funkcję wieży ciśnień.

- Wiedziałem od razu - pan Tomasz stał pochylony i dyszał ciężko - ale chciałem ci dać satysfakcję z tego, że sam odgadniesz. Poza tym, starszym należą się jakieś fory, prawda?

Spojrzałem z troską na szefa. Strach przed starością był ostatnio jego obsesją. Na każdym kroku starał się udowodniać swoją fizyczną sprawność. Martwiłem się o niego. Nie był już młodzieniaszkiem, a lata w biurze zrobiły swoje.

- Prosiłem pana, szefie, żeby pan nie szalał...

- No dobrze, już dobrze, może wejdziemy do środka.

*Stań pośrodku kola i wspomnij na imię,
które nosił filozof w Achajów krainie,
I ten, co przybył tutaj z dalekiego wschodu,
I miłością zapalał do mojego grodu.*

Kiedy weszliśmy jeszcze raz, przeczytałem ostatnie cztery wersy zagadki Ochorowicza. Zamyśliłem się.

- Ta zagadka jest akurat łatwa - powiedział pan Tomasz - podpowiem ci, ale pożycz mi najpierw laptop, dobrze? - pan Tomasz wziął ode mnie komputer i usiadł w kucki na ziemi. Chwilę uderzał w klawiaturę, a potem powiedział: - Człowiek, o którego chodzi był prezydentem Warszawy pod koniec XIX wieku. I chociaż reprezentował zaborcę, kochał to miasto. Świadczyć o tym może fakt, że swoje rządy zakończył uboższy niż był, kiedy zaczynał je sprawować. Dokładał z własnej kieszeni do rozmaitych przedsięwzięć, na przykład zapłacił za pogłębiarkę, którą przeprowadzano prace w korycie Wisły. Jego rozsądne rządy sprawiły, że w jego ocenie zgodni byli tak nieprzejednani wrogowie, jak publicyści Aleksander Świętochowski i Bolesław Prus. Ten ostatni tak pisał o wodociągach Lindleya, które z inicjatywy prezydenta powstały w Warszawie: *„Ażeby jednak projekt kanalizacji dojrzał i wszedł w dzisiejszą fazę, trzeba było wielu przygotowań. Naprzód - epidemii w Wietlance (o błogosławiona epidemia!). Potem - sprowadzenia Lindleya. Dalej - pilnowania, aby komitet kanalizacyjny nie drzemał, ale pracował. Nareszcie - ostatecznego zatwierdzenia projektów. Kto to wszystko zrobił? Dżumę Pan Bóg, resztę - szanowny nasz prezydent, pan...”*

- Starynkiewicz! - odgadłem nazwisko jednego z najniezwyklejszych włodarzy stolicy, który rządził w latach 1875-1892 - to chyba jedyny Rosjanin, który ma pomnik w Warszawie! Co ciekawe wybudowano go ze składek publicznych! Za kadencji Starynkiewicza powstał tramwaj konny, cmentarz na Bródnie, Hale Mirowskie i Hala na ulicy Koszykowej. Stelefonizowano stolicę, odnowiono kolumnę Zygmunta i przyłączono do miasta Nową Pragę, Szmulowiznę, Targówek i Kamionek - wymieniałem jednym tchem osiągnięcia Starynkiewicza. - Ale jak on miał na imię? Zapomniałem, mam to na końcu języka...

- Jego brat nazywał się Olimp. Ich ojciec uwielbiał literaturę klasyczną.

- Sokrates! - klapka w moim mózgu wskoczyła na właściwe miejsce.

- Tak, to właśnie łączy filozofa i przybysza z Rosji, który pokochał Warszawę - Pan Samochodzik triumfował - łączy ich imię, obaj mieli na imię: So-kra-tes! - wykrzyknął.

Usłyszeliśmy cichy trzask. Doszedł z góry, jakby od sufitu. Spojrzeliśmy tam. W suficie otwarła się dziura. Zjechał z niej ku nam bardzo długi cylinder, z parą okularów, zupełnie taki sam, jakie montuje się w łodziach podwodnych. Kiedy zjechał na dół, pan Tomasz pociągnął w dół rączki, które przypominały kierownicę roweru. Złapał za nie, przyłożył oczy do lornetki i obrócił się wokół własnej osi.

- Zobacz sam - powiedział do mnie odrywając oczy od peryskopu. Spojrzałem. Moim oczom ukazał się wyraz: SPOTYKA

Zacząłem obracać się wokoło własnej osi. Wyrazy przelatowały mi przed oczami. Aż wreszcie trafiłem na cyfrę i odczytałem całe zdanie:

1. GDZIE SIĘ WSPOMNIENIE DWÓCH WIESZCZÓW SPOTYKA

I GDZIE Z KADZIELNIC SĄCZY SIĘ MUZYKA

- Mamy trzecią część zagadki inżyniera - powiedział za moimi plecami pan Tomasz. W tym momencie odezwał się jego telefon komórkowy.

- Więc mówisz, że gdzie go złapałeś? - fałszywy Wokulski siedział w swoim gabinecie za wielkim dębowym biurkiem i jadł obiad. Przed nim stał półmisek, na którym piętrzyły się ziemniaki i kawałki kurczaka.

- Myszkował w piwnicach, śledziłem go... - służący Paweł pochylił się nad stołem i nalał czerwonego wina do kieliszka Wokulskiego - a potem poszedł do tajnego przejścia... I tam go złapałem! - służący ostrożnie odłożył butelkę do wiklinowego koszyczka - I jak? Smakuje jaśnie panu?

- Gotujesz coraz lepiej - Wokulski upił łyk wina, zagryzł go kęsem mięsa i odsunął od siebie talerz - więcej nie dam rady... - nadął policzki i wypuścił powietrze z głośnym sykiem. - Nalej mi jeszcze koniaku - bursztynowy płyn w kryształowym kieliszku po chwili znalazł się przed nim. Wokulski umoczył w nim sztuczne wąsy i przetarł usta dłonią - wspaniały! Za pięć minut przyprowadź go do mnie.

- Pan Rzecki chciał się z jaśnie panem widzieć. Mówi, że to pilne.

- Najpierw daj tego draba, Rzecki niech coś najpierw zje, pogadamy potem.

Paweł uklonił się i wyszedł z pokoju. Wokulski wyjął kubańskie cygaro z drewnianego pudełka na biurku, przyciął jego koniec nożykiem, włożył do ust i zapalił. Aromatyczny dym wypełnił pokój. Czarny Cylinder odetchnął pełną piersią, puścił kilka kółek z dymu. Ktoś zapukał do drzwi.

- Wejść - rzucił gniewnie Wokulski, niezadowolony, że przerywają mu wypoczynek.

W drzwiach najpierw pojawił się Paweł z końcem sznura w ręku. Za nim, na powrozie szedł dwumetrowy olbrzym. Żeby przejść przez drzwi musiał pochylić ogoloną na łyso głowę. Ubrany był we frak. Od ust do dołka w brodzie ciągnęła się głęboka blizna. Na oko wyglądał na dwadzieścia parę lat.

- Siadaj - rzucił mu Wokulski, odkładając cygaro na brzeg popielniczki i podnosząc się z krzesła.

- Niech Paweł zostanie... - powiedział do służącego, który ze strachem w oczach chciał chyłkiem opuścić gabinet.

Czarny Cylinder wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. W końcu stanął obok olbrzyma. Nawet nie musiał się pochylić, kiedy powiedział do jego ucha.

- Chciałbyś zadzwonić do matki?

W oczach olbrzyma pojawiła się nadzieja. Nic nie odpowiedział, ale twierdząco kiwnął głową.

- Wystarczy, że powiesz mi, co robiłeś w piwnicy i w tunelu, a dostaniesz telefon...

Wielkolud pogardliwie fuknął i wzruszył ramionami.

Rysy Wokulskiego ściągnął grymas gniewu. Zamachnął się i wycelował w twarz olbrzyma, ale ten uniknął zręcznie ciosu. Czarny Cylinder stracił równowagę i runął jak długi na podłogę. Olbrzym tymczasem szarpnął za sznur i wyrwał go z rąk Pawła, który natychmiast uciekł pod ścianę z wiszącym na niej wielkim porożem łosia. Wielkolud wstał z krzesła, porwał z biurka nóż do papieru i zaczął iść w stronę przerazonego Pawła. Nie widział, jak Wokulski wstał z podłogi, podkradł się do biurka, wyciągnął z niego strzykawkę i napełnił ją jakimś płynem. Zdjął buty i w samych skarpetkach podszedł do olbrzyma. Ten był już tylko pół metra od Pawła, który zemdlał i leżał teraz pod ścianą.

Wokulski złapał strzykawkę jakby była nożem i zamachnąwszy się, z całej siły wbił igłę w plecy wielkoluda. Trafiony, z niedźwiedzim rykiem obrócił się do Czarnego Cylindra. Zrobił jeden krok, ale wstrzyknięty specyfik zaczął działać, bo wypadł mu z ręki nóż do papieru. Zrobił drugi krok i zwałił się z hałasem na podłogę, jak drzewo ścięte w lesie. Wokulski przejechał dłonią po włosach, odetchnął głęboko.

Wziął ze stołu karafkę z wodą i chciwie wypił prawie połowę zawartości. Resztę wylał na głowę Pawła, który, czując zimno, ocknął się. Siedział chwilę półprzytomny na podłodze, a potem rozejrzał się po pokoju i zauważywszy Wokulskiego zerwał się na nogi.

- Przepraszam jaśnie pana, że zemdlałem, ale ten człowiek jest straszny. Dziękuję jaśnie panu za ratunek, zabiłby mnie chyba...

Wokulski bez słowa wziął ze stolika pod ścianą kieliszek, nalał do niego wina i podał Pawłowi. Ten wypił chciwie. Jego blada twarz nabrała znów kolorów.

- Lepiej mi - oznajmił po chwili.

- To dobrze. Znajdź kogoś do pomocy i zabierz stąd to ściervo. A potem proś Rzeckiego.

Woreczek rzucony na biurko przez Rzeckiego, brzęknął, kiedy uderzył o blat Wokulski z zainteresowaniem zajrzał do środka. Z wyrazem zadziwienia na twarzy zwrócił się do siedzącego po drugiej stronie Ignacego.

- Udało się? - jego głos był wesoły. - Nareszcie! Jak tego dokonałeś?

- To niech zostanie moją tajemnicą - Rzecki poczęstował się bez pytania cygarem. - Nie złożysz w całość?

Wokulski wysypał zawartość woreczka na stół. Były to cztery srebrne blaszki, pokryte jakimiś napisami. Wokulski szybko manipulował blaszkami i po chwili napisy na tabliczkach ułożyły się we współrzędne.

- A więc w Warszawie?

- W Warszawie - odpowiedział Rzecki wypuszczając dym nosem. - Wiesz co teraz robić?

- Tak - otworzył drzwi i krzyknął na siedzącego w korytarzu służącego: - Paweł, dawaj tę Rosjankę!

Ułożyli dziewczynę na kanapie. Jej rude włosy zasłaniały twarz. Wokulski przyjrzał się jej, podniósł powiekę dziewczyny i syknął na Rzeckiego.

- Zaraz się obudzi. Wyjdź stąd.

Ignacy opuścił pokój. Wokulski zdjął z wieszaka cylinder i nasadził go sobie na głowę. Pochylił się nad dziewczyną, która właśnie odzyskała przytomność i otworzyła oczy.

- Witam, panno Nino - rzekł wesoło.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

Wokulski zdjął cylinder, położył go na biurku i podrapał się w szyję.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedział i sięgnął po papierosa.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

TELEFON NINY * ULTIMATUM CZARNEGO CYLINDRA * JESZCZE NA TO NIE WPADLIŚCIE? * STRASZNY SEN * KOTEK Z ĆMIELOWA PUSZCZA DO MNIE OKO * W PUŁAPCE * DRUGA ZAGADKA INŻYNIERA * W KOŚCIELE, GDZIE KWESTOWAŁA IZABELA * PO NITCE DO KLĘBKA * PUK! PUK! * OSTATNIA SKRYTKA

Do pana Tomasza dzwoniła Nina.

- Nic pani nie jest?! - Pan Samochodzik krzychał do słuchawki. - Za dziesięć minut przed ministerstwem? Dobrze.

Kiedy podjechaliśmy pod ministerstwo, zobaczyliśmy Ninę. Jej ubranie było zabłocone, całe w białym pyłe i trochę obszarpane. Rude loki zmierzwiły się, a pod okiem widać było fioletową „śliwkę”.

- Szłam właśnie na spotkanie z Andrzejem - Nina z zawrotną prędkością pochłaniała bułki z szynką, które kupiłem w pobliskim sklepiku - kiedy mnie złapali. Wciągnęli mnie do czarnej dorożki i znieczulili chloroformem, poznałam po zapachu. Obudziłam się w gabinecie urządzonej w dziewiętnastowiecznym stylu. Nade mną stał drab w cylindrze. Kiedy otworzyłam oczy, zdjął cylinder i usiadł. - Potrzebuję twojej pomocy - odezwał się zapalając papierosa. - Chociaż byłam poważnie osłabiona, rzuciłam się na niego. Okazał się agentem patriarchatu, bo sami panowie widzą, jak mnie urządził - Nina podniosła palec oblepiony okruszkami do podbitego oka. - Będę musiała nosić okulary przynajmniej przez tydzień. No więc, po tym jak mnie potraktował, już z nim nie pogrywałam. Powiedział mi, że mam pana odnaleźć i przekazać, żeby zakończył pan poszukiwania rękopisu. Ma pan też przekazać wszystkie zdobyte dotychczas materiały. Jeśli pan tego nie zrobi, Czarny Cylinder, jak się wyraził, „nie ręczy za bezpieczeństwo Jordanka i Węgielka”. O 13.15 pod ministerstwo podjedzie samochód. Kurier ma przekazać wszystkie materiały kierowcy.

- A kto ma być kurierem? - Pan Samochodzik pierwszy raz przerwał potok słów Niny. Dziewczyna przełknęła kęs jedzenia i w milczeniu wskazała na siebie. Pan Tomasz miał zafrasowaną twarz, ale zmienił temat.

- Czy nie zdołaliście czasem z Andrzejem rozwiązać do końca zagadki doktora S.?

- Pyta pan o „Koniec »Lalki«”?

- Właśnie.

- Jeszcze nie udało się wam na to wpaść? Pomogę wam. Gdzie najlepiej ukryć jakiś tekst tak, żeby trudno go było dostrzec, a jednocześnie, żeby na pewno przetrwał przez wiele lat? - rzuciła.

- W gazecie? - odpowiedziałem.

- Bingo! - Nina wyjęła z kieszeni kilka skserowanych kartek. To numer „Kuriera Codziennego” z 24 maja 1889 roku. W tym piśmie Prus publikował w odcinkach „Lalkę” w latach 1888-1889.

Byłem ledwie żywy ze zmęczenia, ale perspektywa rozwiązania zagadki trochę mnie rozbudziła. Zacząłem nerwowo czytać starą gazetę. Przed moimi oczami jak w fotoplastykonie przewijały się obrazy z końca warszawskiej wiosny 1889 roku.

Henryk Wernic narzekał na małą liczbę ogródków dla młodzi eży: „Cóż więc dziwnego, że z każdym

dziesiątkiem lat zmniejsza się jej siła odporna, a skarłowacenie powolnym acz stałym postępuje krokiem?” - biadał publicysta.

Gazeta podawała godziny otwarcia ogrodu pomologicznego, by nikt już nie musiał „*odchodzić od zamkniętych bram miejsca spacerowego*”. Warszawa szykowała się na przyjazd perskiego szacha Nasra Eddina, który, wraz z dworem miał zamieszkać w Belwederze: „*Apartamenty pałacowe, w których szach ma zamieszkiwać, zostały odświeżone i stosownie przystrzyżone, aleje parku oczyszczone i mnóstwem kwiatów przyozdobione.*” Prezydent miasta martwił się jednak nie tylko wizytą świetnego gościa, zarządził comiesięczne kontrole wody z Wisły, by upewnić się, że filtry na Koszykach działają prawidłowo i do wody nie przedostają się szkodliwe bakterie. Kronika wypadków pokazywała jak mało zmienia się natura ludzka! Wtedy też kradli: „*St. Bonieckiemu zamieszkałemu przy ulicy Nowomiejskiej pod Nr 9 skradziono futro, garderobę i obrączki złote*”, wtedy też przez swoją nieuwagę ludzie stawali się kalekami, wtedy też wybuchały bójkę, w których w ruch szły noże.

Kilka ostatnich stron przeglądałem szczególnie uważnie. Były pełne reklam i ogłoszeń. Letni Cyrk Francuski Houckego i Gaberela zapowiadał swoje przedstawienia w Dolince Szwajcarskiej, Fabryka Piór Strusich F. Gliwica na Tłomackiem Nr 11 „z powodu zwinięcia interesu” zapowiadała „wyprzedaż po cenach bardzo niskich”. Doszedłem do ogłoszeń drobnych, kiedy pan Tomasz powiedział cicho:

- Mam! Zajrzyj do ogłoszeń drobnych, na sam dół, pomiędzy ogłoszenie o malarzu pokojowym i firmie przeprowadzkowej.

Spojrzałem we wskazane miejsce, pomiędzy ogłoszeniem: „Malarz pokojowy i znaków podejmuje się robót malarskich oraz wykleja pokoje sposobem, że wywabia się wszelkie robactwo. Frontu skrobanie, zacieranie, roboty mularskie i malowanie frontu farbą nowo wynalezioną, tak jak imitacja olejna. Wykonywa wszystko sumiennie i trwale. Bednarska No 18, J. Weber.” a anonsem: „Przeprowadzam, opakowywam, przewożę i ekspediuję meble i towary. Wilcza 53, m. 12.” było ogłoszenie, które swoim rytmem wskazywało, że skreśliła je ta sama ręka, która zapisała linijki ukryte w ćmielowskiej porcelanie. Było tam napisane:

3. POTEM ZWRÓĆ OCZY TAM, GDZIE POTĘPIENI

WYGLĄDAĆ BĘDĄ PIEKIELNYCH PŁOMIENI

dr. S(!)

- No dobra. Chyba udało się nam rozwiązać drugą zagadkę inżyniera Ochorowicza! - pan Tomasz wyjął z kieszeni notes i przepisał do niego ostatnią część zagadki. Potem przepisał całość jeszcze raz. Wyrwał kartkę i położył ją na biurku.

Była trzynasta. Pan Tomasz stał w oknie gabinetu wychodzącym na ulicę i pałac prezydencki po drugiej stronie, zza którego trochę na lewo wychylały się wieże kościoła seminaryjnego. Obok świątyni w charakterystycznej pozie zastygł Adam Mickiewicz. Ja siedziałem w fotelu i spoglądałem na figurkę kotka z Ćmielowa. Jego zielone oczy wpatrywały się okno. Zarwana noc dawała mi się we znaki. Powieki miałem coraz cięższe i to, że nie zasnąłem, powodowały tylko coraz to nowe westchnienia pana Tomasza, który stał w oknie i obserwował czekającą na chodniku Ninę i przejeżdżające samochody. Zmęczenie ostatecznie zwyciężyło i zapadłem w niespokojny sen.

Pan Tomasz był związany. Szedłem w jego stronę, ale moje nogi grzęzły w jakiejś lepkiej mazi.

Nie mogłem do niego dojść. Nagle usłyszałem za sobą spokojne miarowe kroki. Ogarnął mnie strach, który odjął mi oddech. Nie byłem w stanie się obrócić i spojrzeć przez ramię. Obserwowałem więc tylko coraz bardziej przerażoną twarz związanego szefa. W końcu pan Tomasz przemógł przerażenie i wyszeptał:

- To on - i wskazał ręką przed siebie, na człowieka, który nadchodził za moim plecami.

- To on! - teraz pan Tomasz już krzyczał. Nogi grzęzły coraz bardziej w lepkiej mazi. Poczulem, że się zapadam. Kiedy bagno pochłonęło mnie całkowicie, przez jego lepką skorupę słyszałem cichnący już, głos szefa.

- To on - krzyk pana Tomasza prawie rozsadził mi bębenki. Ocknąłem się w miękkim fotelu w gabinecie w ministerstwie. A więc to był tylko sen. Przez zamglone jeszcze oczy zobaczyłem, że szef przywarł do szyby i wpatruje się w coś na ulicy z wielkim zainteresowaniem. Podeszedłem do niego i zajrzałem mu przez ramię. Przed budynkiem zatrzymał się czarny jeep i uchyliły się drzwi. Nina podeszła do wozu. Zamarliśmy w oczekiwaniu na jakąś odzianą w czarną rękawicę dłoń, która sięgnie po dokumenty sprawy Prusa. Ale zamiast czarnej ręki z wozu wychyliła się dziwnie znajoma łysa głowa:

- To minister - powiedział zawiedziony pan Tomasz. Nasz zwierzchnik zatrzasnął drzwi wozu. Wszedł przez bramę i ruszył w stronę głównego wejścia do naszego gmachu. Jeszcze otumaniony snem obróciłem się w stronę biurka szefa i spojrzałem na ćmielowskiego kotka. Nie wiem czemu to przypisać, może świeżemu przebudzeniu, a może jakiemuś figlowi spletanemu mi przez podświadomość, ale zobaczyłem, że porcelanowy zwierzak puścił do mnie oko! Podeszedłem do biurka i wziąłem kotka do ręki. Jego zielone oczy były otwarte. Odstawiłem figurkę i rzuciłem okiem na kartkę, na której pan Tomasz spisał całą zagadkę Ochorowicza:

GDZIE SIĘ WSPOMNIENIE DWÓCH WIESZCZÓW SPOTYKA

I GDZIE Z KADZIELNIC SĄCZY SIĘ MUZYKA.

ZNAJDŹ GRÓB KOBIETY, KTÓRA STYKSU WODY

UJRZAŁA, NIM ZAGASŁA JUTRZENKA SWOBODY.

POTEM ZWRÓĆ OCZY TAM, GDZIE POTĘPIENI

WYGLĄDAĆ BĘDĄ PIEKIELNYCH PŁOMIENI

CZARNY SUZEREN WZROKIEM CI POKAŻE,

PRZED KTÓRYM MASZ STANAĆ, WĘDROWCZE, OLTARZEM

POPATRZ POD STOPY NIEBIESKIEGO MĘSTWA,

STUKAJ, GDZIE SZALA SIĘ SCHYLA ZWYCIĘSKA.

Coś mi zaświtało w głowie. Odruchowo, jakby szukając myśli, która gdzieś mi uciekała, spojrzałem na zegarek. Było dwadzieścia po pierwszej. Potem spojrzałem w lewo, na wieżę kościoła seminaryjnego i wiedziałem wszystko:

- To pułapka! - wykrzyknąłem.

Pan Tomasz obrócił się gwałtownie i spojrzał na mnie zdziwiony.

- Pułapka?

- Czarny Cylinder chciał nas odciągnąć od zagadki Ochorowicza, żeby zyskać na czasie - wyrzuciłem z siebie. Pewnie teraz już otwiera skrytkę z rękopisem. Ale nie wszystko jeszcze stracone. Wiem już „gdzie się wspomnienie dwóch wieszczów spotyka”.

- Skąd?

- Pański kotek mi powiedział - uśmiechnąłem się do mojego szefa i puściłem do niego oko.

Ninę zabraliśmy ze sobą po drodze. Staliśmy teraz przed kościołem seminaryjnym.

- Panie Tomaszu, co pan wyczytał w „Śladami Wokulskiego” na temat tego kościoła.

Szef nateżył pamięć i zaczął mówić:

- Jest to prawdopodobnie kościół, w którym kwestowała w Wielki Piątek panna Izabela.

Początkowo wielki badacz „Lalki”, Godlewski, twierdził, że ta pamiętna dla literatury polskiej kwesta odbyła się w kościele Świętego Krzyża. Swoje przekonanie uzasadniał tym, że kościół Świętego Krzyża jako jedyny na Krakowskim Przedmieściu ma wieże, a kościół z „Lalki” ma właśnie wieże. Później jednak zmienił zdanie.

Poddał się argumentom innych badaczy powieści, którzy z książkowego opisu wnioskowali, że to właśnie dawny kościół karmelitów, przed którym stoimy, jest tym właściwym. Za wieże mógł Prus wziąć te dwie wielkie dzwonnice w kształcie kadzielnic... - pan Tomasz urwał w pół zdania i patrzył oniemiały na fasadę świątyni.

Ciszę przerwała Nina:

- Dobrze, mamy „kadzielnice, z których sączy się muzyka”, a gdzie dwóch wieszczów? Jeden stoi tam - wskazała na Mickiewicza. - Gdzie drugi?

- W środku - powiedziałem wesoło i powiodłem Ninę i Pana Samochodzika do chłodnej kościelnej kruchty.

Kiedy pokazywałem Ninie gablotę z historią kościoła, mój szef mruczał za naszymi plecami: - Przecież ten kościół jako jedyny na Krakowskim w całości przetrwał wojnę, nawet wyposażenie ocalało...

- To trochę naciągane - powiedziała Nina - Chopina nazywać wieszczem.

- Ale grał tu na organach i od biedy można go uznać za piątego wieszca! Jeśli masz coś lepszego, to proszę cię, powiedz o tym teraz! - krzyżąc nie usłyszałem cichych kroków sędziwego księdza, który wyrzał przez uchylone drzwi prowadzące do kościoła.

- Czy mogliby państwo być trochę ciszej - odezwał się spokojnym, niskim głosem - jestem prawie głuchy, a usłyszałem państwa spod ambony...

- Przepraszamy księdza - odezwał się pan Tomasz - jesteśmy z Departamentu Ochrony Zabytków. Przyszliśmy pokazać kościół stażystce z zagranicy...

Ksiądz, wyraźnie już udobruchany, szerzej otworzył drzwi do kościoła i gestem zaprosił nas wszystkich do środka. Pan Tomasz szeleszcząc jakąś kartką pochylił się, szepnął do mnie: „*Znajdź grób kobiety, która Styksu wody ujrzala, nim zagasła jutrzienka swobody*” i wyprzedził mnie, by wraz z Niną i księdzem podziwiać wspaniałości kościoła. Zostałem z tyłu i zacząłem oglądać płyty nagrobne umieszczone na filarach podpierających sklepienie. Obejrzałem już całą lewą nawę, w której znajduje się między innymi nagrobek wybitnego polskiego poety, ks. Stanisława Pasierba, i ruszyłem prawą stroną. Zatrzymałem się dłużej przy wierszu na jednym z nagrobków, który głosił:

Boże! Ty ją zesłałeś do ziemskiego koła

Jak cnoty i pociach jasnego Anioła

Znać dlatego tak krótko wśród bliźnich gościła,

By do Nieba przezczysta i biała wróciła

Pozostały mąż prosi o westchnienie do Boga

Przeniosłem wzrok na tablicę poniżej i zamarłem, kiedy odczytałem napis:

Katarzyna

z Kochanowskich

Chotomska

† 13 X 1831 r.

żyła lat 70

prosi o westchnienie

- A dlaczego pański kolega nie dołączy do nas? - usłyszałem niski głos księdza i ruszyłem w kierunku małej grupki, która stała po prawej stronie głównego ołtarza.

- Dobrze, że pan jest z nami - powiedział ksiądz - bo chciałem właśnie państwu pokazać najcenniejszy nasz zabytek. Ta oto ikona Matki Bożej Różańcowej - zwrócił się w kierunku pięknego obrazu, przystrojonego srebrną sukienką - to dar, który papież Innocenty X ofiarował królowi Janowi III Sobieskiemu po wiktorii wiedeńskiej - ksiądz odwrócił się do nas z uśmiechem. - No, teraz państwo mogą pozwiedzać trochę sami, a jeśli będziecie mieli jeszcze jakieś pytania, służę pomocą - powiedział kapłan i zaczął się krzątać po kościele, co chwila dyskretnie na nas zerkając.

- Znalazłem ją - szepnąłem do Niny i pana Tomasza i ruszyłem w kierunku nagrobka Katarzyny Chotomskiej.

- Zmarła tuż przed upadkiem powstania listopadowego - powiedziałem - „*zanim zagasła jutrzenka swobody*”!

- I co dalej? - w oczach Niny pojawiły się iskielki.

- „*Potem zwróć oczy tam, gdzie potępieni wyglądają będą piekielnych płomieni*” - wyrecytował pan Tomasz.

Aż nazbyt dobrze wryły mi się w pamięć rozmaite przedstawienia sądu ostatecznego, z niezwykle obrazem Hansa Memlinga na czele. Na wszystkich tych przedstawieniach ognie piekielne wybuchały po lewej stronie Chrystusa.

Zobaczyłem, że Nina i Pan Samochodzik też rozwiązali już zagadkę i spoglądali w lewo. Zaraz, zaraz, jak to było: „*czarny suzeren...*”

- „*Czarny suzeren wzrokiem ci pokaże, przed którym masz stanąć, wędrowcze, ołtarzem*” - znów zacytował zagadkę Pan Samochodzik.

Ambona, wisząca po drugiej stronie nawy głównej, została ozdobiona rzeźbami trzech króli. Pan Tomasz bez słowa przeszedł przez główną nawę kościoła i stanął przed ołtarzem przedstawiającym anioła z włócznią. Zacząłem się zastanawiać, którego ze świętych przedstawia obraz.

- Skąd pan wie, o którego króla chodziło? - wysyczała Nina.

- Niech pani spojrzysz na korony - powiedział pan Tomasz. Tylko jeden, ten najciemniejszy ma otwartą koronę, która oznacza, że jest niezależnym władcą, czyli suzerenem.

- „*Popatrz pod nogi niebieskiego męstwa*” - czytał z kartki pan Tomasz.

- Już wiem, to święty Michał, przywódca niebieskiego wojska! - prawie krzyknąłem, ale w porę się opamiętałem i spojrzałem przez ramię. Napotkałem stalowy wzrok księdza, który czyścił ramę obrazu kilkanaście metrów od nas.

- „*Niebieskie męstwo*”, czyli święty Michał, dowódca hufców niebieskich. Popatrzmy, o co może chodzić tym razem - pan Tomasz zbliżył się do obrazu, wyciągnął z kieszeni lupę i zaczął dokładnie oglądać malowidło, a kiedy skończył, odszedł kilka kroków i zaczął mówić: - Święty Michał Archanioł jest zazwyczaj przedstawiany z wagą...

Nina, która stała kilka kroków dalej i z dystansu wpatrywała się w obraz, nagle uśmiechnęła się i

podeszła do nas.

- Szala jest niżej - powiedziała i wskazała na rzeźbę wagi, która znajdowała się na ołtarzu, poniżej obrazu.

- Waga jest przechylona w prawo - powiedział Pan Samochodzik - czyli trzeba szukać - klęknął na kamiennych płytach okalających ołtarz - tu! - powiedział, po czym zastukał w kamień. Choć płyta wydawała się być gruba, głuchy odgłos wskazywał, że jest inaczej. Warstewka kamienia musiała być bardzo cienka.

- Co państwo tam robią? - usłyszeliśmy najpierw głos księdza, a potem jego szybkie kroki w naszą stronę.

- Proszę go zagadać - powiedział do Niny pan Tomasz. - Musimy mieć pięć minut.

Nina ruszyła w stronę księdza i już po chwili wciągnęła go w dyskusję na temat dzieł sztuki rozwieszonych w kościele. Manewrowała tak, by znaleźć się jak najdalej od nas. Kiedy ksiądz z Niną znaleźli się w prawej nawie pan Tomasz wyciągnął scyzoryk i zaczął usuwać zaprawę pomiędzy kamiennymi płytami. Po chwili mogliśmy podnieść płytę. Pod spodem znajdowała się pusta komora, na której dnie leżał wykonany z jakiegoś metalu, zardzewiały cylinder. Pan Tomasz schował go pospiesznie do torby.

Ledwie uprzątnęliśmy resztki zaprawy, wrzucając je do komory pod płytą, nasunęliśmy płytę z powrotem i stanęliśmy przed obrazem udając, że go kontemplujemy, a już w nawie bocznej, gdzie znajdowała się skrytka, pojawiła się Nina z księdzem:

- I jak się panom podoba nasz kościół? - zagadnął ksiądz. - Czemu panowie są tacy zmęczeni?

- To pewnie z emocji - powiedziała Nina i puściła do nas oko nad głową księdza.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

LIST ZESŁAŃCA * WIZYTA MĘŻCZYZNY W CYLINDRZE * PROŚBA ERASTA PIETROWICZA * PRÓBA UCIECZKI * W RĘKACH PUŁKOWNIKA BURLATOWA * POWSTANIE * UKŁAD Z WROGIEM * NIESPODZIEWANY RATUNEK, CZYLI SZPAKOWŁOSY * BRADIAGA * ZNÓW W WARSZAWIE

Siedzieliśmy znów w ministerstwie. Otworzyłem pudełko i wyciągnąłem z niego zwitek starych papierów. Rozwinałem je drżącymi rękami, tak były delikatne, i zacząłem czytać:

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego

Przyjacielu!

Źle nas traktuje Mateczka Rosja. Zimno tu i wietrznie, A wilki po nocach wyją za oknami i czyhają na chude nasze kości. Pamiętasz, jakeśmy recytowali w tajemnicy ów wiersz Krasickiego, z którego cytat ten pochodzi: „Dla ciebie zjadłe smakują trucizny”. Co tam! Nie piszę do Ciebie, żeby się skarżyć, ale żeby przekazać Ci ważne informacje. Nadmienię jeszcze tylko, jak trafiłem w syberyjską głuszę. Nie miałem tyle szczęścia co Ty i po bitwie pod N. N. trafiłem do niewoli. Majątek skonfiskowali, a pagony oddarli. Wyrok: piętnaście lat.

Z każdym rokiem moje ręce grubiały, stawały się coraz bardziej czerwone, było na nich coraz więcej zmarszczek Naszą jedyną rozrywkę stanowiły wieczorne rozmowy, podczas których wspominaliśmy dawne szarże, leśne podchody, długie przemarsze podczas zimnych nocy tamtej pamiętnej zimy. Odżywały zesłańcze legendy o ucieczce Jarosława Dąbrowskiego z żoną, o księciu Konstantym, który miał przyjść z wielką armią i wyzwolić nas z niewoli. Nostalgia za krajem szarpała moje serce podczas słuchania tych opowieści. Kiedy kończyły się nasze wieczornice, towarzysze syberyjskiej niedoli odchodzili do swoich łóżek i ich wydłużone cienie znikaly w ciemnościach baraku.

Siadałem wtedy w oknie, z którego rozciągał się widok na las spowity ciemnością nocy za płotem okrążającym naszą małą osadę. Oprócz naszego baraku stały jeszcze cztery chaty. W trzech mieszkali więźniowie polityczni imperium. W tym, który widać było z okna po prawej stronie, kwaterowali rosyjscy strażnicy.

Siadałem w oknie, nabijałem fajkę i wspominałem wierzby, które rosły nad Wisłą w naszej wiosce, twarze rodziców i braci, i siostr, i tę twarz jedyną, pamiętasz ją?

Tak samo siadłem w oknie owego wieczora, gdy zjawił się posłaniec. Z baraku dobiegało mnie chrapanie towarzyszy, na niebie pojawił się księżyc, przed którym, jak jakieś zapomniane wojska, przebiegły widmowe chmury. Spojrzałem na las i zobaczyłem, że drogą wiodącą z miasta gubernialnego jedzie karetą.

Zaprzęg zajechał przed barak strażników, z którego wybiegło dwóch ludzi, w narzuconych pośpiesznie na kozłach. Z ust buchała im para. Drzwi karety otworzyły się i wysiadł z niej wysoki, barczysty mężczyzna w cylindrze i kożuchu, z kołnierzem postawionym wysoko. Zamienił ze strażnikami kilka słów, wręczył im butelkę i jakąś małą paczkę. Strażnicy odwrócili się w stronę naszego baraku i wskazali palcami w moją stronę. Potem pośpiesznie wrócili do swojej kwatery.

Mężczyzna w cylindrze zdjął z karety walizkę i ruszył w stronę mojego okna.

Pobiegłem do drzwi. Zanim do nich dotarłem, otworzyły się szeroko i stanął w nich przybysz.

- Szczęść Boże! - powiedział wesolo. - Szukam... - tu wymienił moje nazwisko.

- To ja... - powiedziałem zaskoczony. - Kim pan jest?

- To bez znaczenia... - odparł. - Czy mógłby mnie pan poczęstować herbatą, na dworze mróz.

Nalałem mojemu gościowi herbaty z samowara, napełniłem też moją szklankę, wskazałem wzrokiem na stół stojący z dala

od śpiących towarzyszy, w kącie baraku. Usiadł. Położyłem tacę na stole.

- Niestety, nie mamy cukru.

- Nie szkodzi - otworzył torbę, którą przyniósł ze sobą i wyciągnął z niej pudełko z cukrem w kostkach.

Położył je na stole i zachęcił mnie gestem, żebym się poczęstował.

Wziąłem dwie kostki, nadgryzłem jedną i pociągnąłem łyk herbaty. Mój gość wrzucił dwie kostki cukru do szklanki i zamieszał napój łyżką. Po chwili się odezwał:

- Wiem, co pan planuje.

Dreszcz przeszedł mi po plecach. Zrobiło mi się gorąco, na czole poczułem kropelki potu.

- Niech się pan nie boi - ciągnął nieznajomy - jestem przyjacielem, przychodzę od przyjaciół...

- Mógłby to pan jakoś udowodnić? Nieznajomy wyciągnął połówkę powstańczej obrączki, którą tak dobrze znałem.

Połączyłem swoją połówkę z tą podaną mi przez nieznajomego. Mechanizm w obrączkach cicho kliknął, napisy na obrączkach złączyły się w trzy słowa: BÓG - HONOR - OJCZYZNA

- Czego pan chce ode mnie? Czego chcesz, towarzyszu?

- Chcę, żebyś wysłuchał mojej opowieści i zabrał do kraju pewną przesyłkę...

- Ale ja jestem uwięziony, ty masz dużo większe możliwości, jesteś wolny...

Nieznajomy uśmiechnął się ironicznie, pociągnął łyk herbaty, nabił i zapalił fajkę. Dym zasłonił jego twarz.

- Wolny! Dobrze sobie - rozgonił ręką dym i odsłoniło się jego oblicze, napięte jakimś skupieniem i bólem. - Muszę zarabiać pieniądze, ale to też dla wyższego celu... Ponieważ jednak trafiły w moje ręce informacje - rozejrzał się niespokojnie wokół i ściszył głos do szeptu - które powinny ujrzeć światło dzienne dla dobra ojczyzny, postanowiłem je przekazać osobie, która będzie mogła się oddać sprawie z pełnym zaangażowaniem, do którego ja już nie jestem zdolny. Dlatego chcę, bracie, żebyś zdjął z moich pleców to jarzmo - mój gość schował twarz w dłoniach. Po chwili podniósł ją znowu i z wyrazem prośby w oczach przemówił:

- Wysłuchasz mojej historii, bracie?

Kiwnąłem głową na zgodę. W oczach nieznajomego pojawiła się ulga, z twarzy zniknął wyraz udręczenia.

- Wojna jednych niszczy, a drugich wywyższa - podjął przybysz. - Niszczy bohaterów ginących z bagnietami w rękę, ale i wywyższa ich w oczach społeczeństwa. Wywyższa kupców, gatunek ludzi, do którego i ja należę, daje nam do ręki pieniądze, których w warunkach pokoju nigdy byśmy nie zdobyli. No, ale do tego też trzeba odwagi. Nieraz świstały mi nad głową kule, gdym liczył pieniądze.

Gość pociągnął łyk herbaty.

- Nasza wojna - mówił dalej - ta sprzed dziesięciu lat, pamiętasz, bracie... Była taka sama zima jak teraz, ręce marzły, kiedy zdejmowałem rękawice, żeby odbezpieczyć karabin. Tamta wojna, bracie, uczyniła ze mnie bohatera, ale ponieważ walczyłem przeciw wielkiemu mocarstwu i każda kula z mojej broni była policzkiem wymierzonym w twarz onego mocarstwa, moje bohaterstwo okupiłem katorką.

Dopiero teraz zauważyłem, że ręce mojego gościa są czerwone od odmrożeń.

- Tak, bracie - nieznajomy zbliżył ręce do świeczki i zaczął się im przyglądać - jestem z tego samego plemienia co ty. Nasze ręce nie były gotowe na tutejsze mrozy.

Zamyślił się na chwilę. Nagle jakiś zblakany podmuch wiatru przedarł się przez nieszczelne okna i płomień świecy zapęłgał niespokojnie.

- A wojna rosyjsko-turecka, która teraz trwa - powiedział sennym głosem - pasowała mnie na milionera - zakończył głosem mocnym i zdecydowanym. - tak się złożyło, że podczas tej wojny trafiła w moje ręce broń stokroć silniejsza niż karabiny, z których wówczas strzelaliśmy.

Sięgnął do torby i wyjął z niej skórzany walec. Położył na nim rękę i uśmiechnął się.

- To było w Bułgarii, w obozie pod Plewną - ciągnął swoją opowieść nieznajomy - w rosyjskim obozie - przerwał na chwilę. -

Nie bulwersuje cię to, bracie?...

Nic na to nie odpowiedziałem.

- Miałem w tym obozie namiot, gdzie od rana do wieczora zjawiali się interesanci. Chcieli kupić zboże, pożyczyć pieniądze, takie tam kupieckie sprawy. Ja przez cały czas myślałem o jednym, a właściwie o jednej... o kobiecie... - odkaszlnął - no, ale odbiegam od opowiadania. Pewnego wieczora zjawił się w moim namiocie niezwykle interesujący gość. Na oko miał nie więcej niż trzydzieści lat, ale jego skronie już przyprószyła siwizna. Pod nosem czerniał cienki wąsik. W ręce trzymał sporą walizę. Znałem ja tego ptaszka!

- Erast Pietrowicz - przedstawił się podając rękę - n-nazwisko i tak nic p-panu nie powie...

Wskazałem mu fotel i spytałem czego się napije.

- K-koniaku, jeśli łaska...

Stuknęliśmy się lampkami:

- Czy pan wie, że jest na mojej łasce, monsieur Fandorin - powiedziałem z uśmiechem. - Mój namiot jest trochę oddalony od obozu, a pański gerstal na nic się nie przyda, bo zanim zdąży go pan wyciągnąć, przebiję pana kula z rewolweru w moim rękawie.

Gość trochę się zmieszal i uniósł lekko na fotelu, przelknął ślinę i powiedział cicho, ale dobitnie:

- Przyszedłem tu dobrowolnie, to raz, o mojej wizycie u pana wie kilka osób i jeśli nie wrócę za godzinę, zaczną mnie szukać, to dwa, wiem coś o Izabeli, to trzy.

Tym razem ja przelknąłem ślinę.

- Przychodzą do pana, bo dużo o panu słyszałem - ciągnął Fandorin. - Wiem, że jest pan uczciwym dostawcą i karmi pan nasze wojska najlepszą pszenicą, ale wiem też, kim pan był wcześniej. Chcę panu powierzyć pewne informacje najwyższej wagi. Jest pan poza tym odpowiedzialny, a to, co chcę panu dać, to bomba, która g-gotowa jest rozerwać na strzępki tych, którzy się z nią nie będą potrafili należycie oobejść.

- Ja też wiem co nieco o panu i obawiam się, że trudno mi będzie zaufać takiemu wiernemu słudze imperium jak pan.

- I-ironia jest niepotrzebna. Powiem wprost, jestem wiernym sługą Rosji i dlatego zależy mi na tym, żeby Polska rosła w siłę i na końcu odłączyła się od imperium. Już dwa razy zbrojne powstania w waszym kraju kosztowały życie tysiące naszych żołnierzy. Dlatego tu jestem - Fandorin sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej plik dokumentów. - Niech pan na to spojrzy.

Sięgnąłem po dokumenty. Na kartkach ciągnęły się długie rzędy nazwisk. Niektóre z nich były bardzo znane.

- To lista naszych w-współpracowników w Warszawie i Królestwie - powiedział Fandorin.

- Będę z panem szczery - odparowałem. - Boję się, że to prowokacja. Czy może pan zrobić coś, żebym panu zaufał?

- Spodziewałem się t-tego. J-jestem gotowy na test. P-proszę wybrać trzy nazwiska z listy. Udowodnię panu, że to agenci.

Obawiałem się, że sprytny szpieg umieścił na liście jakieś znaczki, które miały pomóc mnie oszukać, ale lista była spisana na maszynie, żadne z nazwisk nie wyróżniało się większą czcionką ani pomyłkami.

Przygryzłem palec.

- Zgoda, proszę udowodnić, że baron W. to agent.

Fandorin sięgnął do torby, którą przyniósł ze sobą i wyciągnął z niej teczkę.

- P-proszę spojrzeć - podał mi papier - pan zna pismo barona, prawda? - upewnił się i wbił we mnie pytający wzrok, odpowiedziałem skinieniem głowy i wziąłem z jego rąk dokument. Była to lojalka podpisana przez barona. Na czoło wystąpił mi pot.

- Dobrze, może teraz hrabina R. - powiedziałem łamiącym się głosem.

- Pamięta pan sprawę Stowarzyszenia Niepodległości?

- Tak, miałem kolegę, który za to, że był w spisku spędził pięć lat na Sybirze.

- Proszę to przeczytać - powiedział Erast Pietrowicz podając mi plik kartek.

Zacząłem przeglądać raport hrabiny, nazwiska, adresy, opisy spotkań...

Nie chciałem więcej tego słuchać. Przetarłem twarz ręką, wstałem od stołu. Wziąłem szklankę, naląłem do połowy koniaku i wypilem duszkiem. Oczy zaszczyły mi łzami. Obróciłem się do okna. Odetchnąłem głębiej.

- Jaka jest pańska prośba - odezwałem się w końcu - bo przecież jest jakaś prośba?

- J-jedyną moją prośbą jest to, żeby wziął pan ten d-dokument. Zgadza się pan?

- Tak - powiedziałem.

Słyszałem, jak Fandorin kładzie na biurku listę zdrajców, zamyka teczkę. Słyszałem jego kroki, gdy wyszedł z namiotu.

Pierwszą moją myślą było rzucić dokumenty w ogień i zapomnieć o całej sprawie. Z drugiej strony w zachowaniu czynownika było coś, co kazało mu zaufać. Zbyt mocno jednak bolała mnie obecność jednego z nazwisk na liście, bym mógł się tą sprawą zająć. Postanowiłem więc przy najbliższej okazji przekazać listę komuś, kto będzie lepiej ode mnie wiedział, co z nią zrobić. Dlatego jestem tu u pana - skończył swą opowieść przybysz.

- I pan myśli, że uwierzę w tę bajkę! - prawie krzyknąłem, zaraz jednak ścisząc głos w strachu, że obudzę któregoś ze współtowarzyszy. Reakcja mojego rozmówcy była zaskakująca. Wyskoczył zza stołu, chwycił mnie za gardło i przycisnął do ściany. Syczał przez zęby:

- Myślisz, że nie płakałem, kiedy skazali Traugutta, że mego serca nie rozrywała nostalgia za krajem, kiedy nasi wspólni wrogowie zesłali mnie tutaj - przerwał, jakby nabierając oddechu, dyszał ciężko. Znow zaczął mówić, ale tym razem cicho, jego głos drżał: - Ale moje oczy wyschły już dawno, a jarzmo, które rzucił mi na plecy rosyjski urzędnik, jest dla mnie za ciężkie. Rozumiesz to, bracie? Jeśli dalej będę je nosił, oszaleję, a muszę zostać przy zdrowych zmysłach. Jeśli nie weźmiesz ode mnie tej listy, spalę ją zaraz na twoich oczach... - tajemniczy przybysz wypuścił mnie z żelaznego uścisku swoich czerwonych rąk. Usiadł przy stole i dopił do końca herbatę. Wyciągnął z leżącego na stole walca plik kartek i położył przed sobą.

Stałem ciągle przy ścianie i patrzyłem, jak człowiek w cylindrze wyciąga zza pazuchy piersiówkę i przyciska do ust. Skrzywił się:

- Chcesz trochę, bracie? - zapytał chrapliwie. Jego twarz wykrzywił grymas bólu i zmęczenia. Płomyk świecy odbijał się w białkach jego oczu, twarz nabrała koloru podobnego do tego, jaki miały jego ręce, a kropelki napoju na jego hiszpańskiej bródce świeciły jakby pokryta była śniegiem. Oddychał ciężko.

- Tu jest paczka dla ciebie, bracie - powiedział i pchnął pakunek, z którym przyszedł, w moją stronę.

Nie poruszyłem się. Milczał jeszcze przez chwilę, potem podniósł papiery ze stołu i przeniósł nad świeczkę. Ogień powoli zaczął lizać gruby papier. Kiedy z papieru zaczęła sączyć się szara strużka dymu, skoczyłem do stołu i wyrwałem dokumenty z ręki, nieznanego. Chlusnąłem na nie resztką herbaty. Ogień zgasł. Włożyłem dokument za pazuchę. Nieznajomy uśmiechnął się blade, jego twarz nie była już demoniczna.

- Dziękuję ci, bracie - powiedział cicho i położył rękę na moim ramieniu. Potem włożył cylinder i wyszedł w noc. Widziałem go przez okno. Szedł, slaniając się jak człowiek, który ciężko pracował przez wiele godzin. Ledwie wsiadł do karety, bat zatańczył w powietrzu. Po kilku chwilach kareta znikła w lesie.

Przerwę teraz mą opowieść. Muszę udać się na spoczynek, bo jutro od rana czeka mnie ciężka praca, a nie wiem, czy szybko zasnę po tym, co dzisiaj przeżyłem i co przeczytałem na kartkach, które ofiarował mi nieznajomy.

- Na tym list się kończy - powiedziałem.

- Czy jest coś jeszcze? - spytał pan Tomasz. Jego twarz, tak zresztą jak twarz Niny, była rozpalona z ciekawości.

Przeczytane kartki wkładałem pod spód i nie wiedziałem, ile ich było.

Przewróciłem ostatnią kartkę niedokończonego listu. Na następnej, zapisanej już innym charakterem pisma, zobaczyłem nagłówek:

„Dziennik ucieczki z Sybiru do Warszawy.” Zacząłem czytać.

Dziennik ucieczki z Sybiru do Warszawy

O ucieczce myślałem od dawna. Był tu u nas, na katordze, jeden człowiek, który uciekał siedem razy. Kiedy mieszkał u nas, uciekł po raz ósmy. Po tygodniu przyprowadzili go znowu. Na drodze prowadzącej do naszego chutoru ustawily się dwa rzędy kozaków z kijami w rękach. Był ciepły, kwietniowy poranek. Ciepły, jak na tutejsze warunki oczywiście, bo para i tak szła z ust i rozpyływała się w słońcu. Kozacy wypędzili nas z baraków i ustawili tak, że widzieliśmy przed sobą dwa rzędy wysokich czapek i swobodnie mogliśmy obserwować, co się dzieje między rzędami. Po około dwudziestu minutach wyjechali z lasu trzej kozacy. Do siodła jednego z nich przytroczona była linka, do której końca przywiązany był uciekinier. Kiedy konni dotarli do początku szpaleru, jeden z nich zdarł ze schwytanego kapotę i krzyknął:

- Idi, sobaka!

Więzień zachwiał się i upadł w topniejące błoto. Kozak wyciągnął zza siodła nahaj i uderzył naszego towarzysza. Ten wstał i zaczął iść przez szpaler. Kije spadały na jego plecy. W miarę, jak więzień zbliżał się do nas, jego twarz stawała się coraz wyraźniejsza. Był to silny człowiek. Usta miał zacięte, ale nie krzyczał.

Kiedy dobiegł do końca, stanął. Kozak, który stał na końcu szeregu, obrócił go i kopniakiem zmusił do biegu w drugą stronę. Nasz towarzysz przebiegł wzdłuż szpaleru pięć razy. Kiedy przemierzał szpaler po raz ostatni, kozak, który stał na końcu, uderzył go kijem nie w plecy, ale w głowę. Ręce i nogi naszego towarzysza zwiotczały i padł w błoto. Dopiero wtedy pozwolono nam zabrać go do baraku. Czuwałem przy jego łóżku przez całą noc. Spał twardo. I ja musiałem lekko przysnąć, bo dopiero po chwili usłyszałem jego cichy głos:

- Wody - wyszeptał spieczonymi ustami chory.

Przystawiłem do jego ust szklankę z zimną wodą. Pił chciwie. Potem opadł na łóżko i dał znak ręką, żebym się zbliżył. Nachyliłem się nad nim:

- Dziękuję ci za pomoc - wyszeptał - to po chrześcijańsku pomagać umierającemu.

- Niech pan tak nie mówi, wykaraska się pan z tego.

- Czeka mnie jeszcze tylko jedna ucieczka... - mówił z trudem. - Tam - powiedział i wskazał palcem na sufit.

Nic nie odpowiedziałem, a chory ciągnął dalej:

- Zanim jednak... ucieknę, chcę cię prosić, bracie, o przysługę...

Kiwnąłem głową, że się zgadzam. Chory sięgnął za pazuchę i drżącą ręką wyciągnął stamtąd pakiet dokumentów.

- To papiery najwyższej wagi... Przeczytaj, ale tak, żeby nikt nie zauważył - podniósł się na łokciu i spojrzał na mnie uważnie. - A teraz najważniejsze.... Musisz przekazać to komuś z naszych w kraju... Zrobisz to? - zapytał, a jego twarz napięła się. Pokiwałem głową. Chory opadł na łóżko, a jego twarz stała się spokojna. Oddychał teraz równo. Zamknął oczy. Myślałem, że zasnął. Spojrzałem przez okno. Czerwone słońce pojawiło się nad horyzontem i powoli wznosiło się ponad lasy. Patrzyłem jak zahipnotyzowany na krąg czerwieni przemieniający się w złoty denar. Pokrzykiwania ludzi na podwórku wybudziły mnie z transu.

Spojrzałem na uciekiniera. Leżał w łóżku. Koldra nie poruszała się. Zamknąłem jego oczy, schowałem papiery i wróciłem do łóżka, odmawiając „Requiescat”.

Trzymał się osobno. Szła za nim fama uciekiniera. Próbowal podobno już cztery razy. Ostatni raz nie było go podobno dwa miesiące, ale wrócił sam, ledwie żyw i dlatego prawie że go nie ukarano. Tak ludzie gadali. Dostał tylko sto batów. Od tej pory trzymał się osobno. Nie rozmawiał z nikim, nikomu nie patrzył w oczy. Od śmierci człowieka, który przekazał mi dokumenty, moje myśli zajmowała tylko jedna sprawa.

Oszczędzałem zapalki, słoninę i inne potrzebne rzeczy. Trzy miesiące po śmierci mego towarzysza postanowiłem odezwać się do samotnika. Podczas kolacji wstałem od stołu, wziąłem miskę wypełnioną ciekłą breją, chleb i podszedłem do jego stołu.

- Mogę się przysiąść, bracie? - zapytałem.

Spojrzał na mnie, obtarł gęstą brodę z okruszków chleba, ale nic nie powiedział. Usiadłem naprzeciw niego. Zamoczyłem chleb w zupie i zacząłem żuć.

- Wiesz, co planuję, bracie? - zapytałem, kiedy przelknąłem kęs strawy.

Żuł chleb i nie odzywał się. W końcu i on przelknął, wyciągnął językiem chleb spomiędzy zębów, chrząknął, kaszlnął w pięść i spojrzawszy mi w oczy smutnym wzrokiem, powiedział:

- Zostaw mnie w spokoju, bracie - jego głos był mocny, ale dźwięczał jak pusty dzban. - Ja już stąd nie ucieknę. Chcę stąd wyjść, zanim mnie wykończą. Po moich czterech ucieczkach przedłużyli mi katorgę o pięć lat. Mam żonę i dwójkę małych dzieci w kraju. Chcę ich jeszcze zobaczyć...

Wiedziałem, że nie mam na co liczyć, ale rzuciłem wszystko na jedną szalę:

- Uciekam za dwa dni - wyszeptalem - o drugiej w nocy, jeśli chcesz, możesz iść ze mną... Zastanów się.

- Dzięki, bracie, za zaufanie, a swoją drogą to dziwne, że właśnie mnie wybrałeś - uśmiechnął się smutno i zamilkł.

Śnieg skrzypiał nam pod butami, kiedy objuczeni pakunkami z jedzeniem przekradaliśmy się do stajni.

Z domku strażników dochodziły jeszcze cichnące coraz bardziej odgłosy zabawy, słabe śmiechy i dźwięki zderzających się szklanek.

Weszliśmy do stajni. Ciepło biło od nawozu i od koni. Wzięliśmy każdy po dwa wierzchowce i dwa wielkie worki obroku. Drogę ze stajni do lasu pokonaliśmy na piechotę. Konie szły spokojnie, żaden z nich nie zarżał, dając w ten sposób znak, że przystępuje do spisku. W lesie wskoczyliśmy na siodła i w milczeniu ruszyliśmy na zachód.

Świtało. Jechaliśmy wąwozem. Spod grubej warstwy śniegu, która pokrywała zbocza, wystawały suche gałązki.

- Czemu się zdecydowałeś? - odezwałem się po raz pierwszy od momentu, w którym ruszyliśmy przez las obok naszego chutoru.

- Są sytuacje, kiedy się nie ma wyboru - odpowiedział.

Dojechaliśmy do końca wąwozu. Sto kroków przed nami widać było świerkowy las. Pomiędzy lasem i ujściem wąwozu rozciągała się zasypana śniegiem pusta przestrzeń. Było cicho. Tak cicho, że usłyszałem trzask pękającej gałązki. Obróciłem się odruchowo i zobaczyłem trzech kozaków jadących powoli w naszą stronę. Spiąłem konia ostrogami i ruszyłem przed siebie galopem. Z lasu przed nami wyskoczyło pięciu konnych i galopem zmierzało w naszą stronę.

- W lewo! - krzyknąłem i pomknęliśmy wzdłuż linii drzew, w stronę gór.

Rozległy się strzały. Jedna z kul śmignęła mi koło ucha, inna trafiła w zapasowego konia mojego towarzysza, który jechał o sto kroków przed mną. Zwierzę zarżało przeraźliwie, ugięły się pod nim nogi i runęło w śnieg, pociągając za sobą drugiego konia, do którego przywiązane było lejcami. Mój towarzysz zachwiał się w siodle i puścił lejce. Zakotłowało się. Nie zdążył wyskoczyć ze strzemion i upadł wraz z koniem w śnieg.

Odwiązałem mojego zapasowego konia i puściłem go wolno. Ten błyskawicznie odbił w bok i wyrzucając przed siebie nogi w galopie, pomknął w stronę lasu. Jechałem teraz dużo szybciej. Kiedy mijalem mojego towarzysza, osadziłem konia w miejscu, ale zwierzę nie chciało stać spokojnie. Rżało i stawalo dęba.

- Zostaw mnie - krzyknął mój towarzysz - moje konie już dalej nie pojadą, uciekaj sam!

Kopyta z potężną mocą uderzały w zamrzniętą ziemię. Wiatr ciał po twarzy. Kozacy rzucili się za mną.

Poleciały kule, ale wszystkie śmignęły mi koło głowy. Nagle obok mojego ramienia świsnął arkan. Musiał go rzucić jeden z kozaków, ale nie trafił. Zacząłem jechać zygzakiem, żeby utrudnić ścigającym zadanie. Ale kozacy byli dobrze wyszkoleni. Następny arkan trafił mnie w plecy. Pochyliłem się, ale trzecia pętla doszła celu. Sznur zacisnął się wokół końskiej szyi i mojego tułowia. Kozak szarpnął, koń stracił równowagę i upadł na ziemię. Uderzyłem głową o jakiś kamień i straciłem przytomność.

Najpierw odzyskałem słuch:

- Dobra robota, sierżancie Riazanow, może pan liczyć na awans - powiedział ostry głos ochryply od wykrzykiwania rozkazów. Stuknęły buty. Riazanow musiał trzasnąć nimi stając na baczność. Potem pewnie zasalutował i wyszedł. Podkute oficerki głucho wybijały rytm na drewnianej podłodze. Kiedy trzasnęły drzwi, zacząłem odzyskiwać wzrok.

Byłem w obszernym i wysokim pokoju. Nad ustawionym na środku biurkiem, przed którym siedziałem, przywiązany do krzesła, wisiał portret cara. Po obu jego stronach były okna. Światło, które przez nie wpadało, oświetlało ściany obwieszone myśliwskimi trofeami - głowami jeleni, losi oraz ogromną skórą tygrysa. Przed oknem, po prawej stronie, odwrócony twarzą do światła, stał wysoki i chudy człowiek w mundurze lejtnanta.

- Gdzie jestem? - odezwałem się.

Lejtnant obrócił się w moją stronę.

- No, nareszcie - powiedział głosem, który wcześniej rozmawiał z sierżantem Riazanowem.

Mogłem mu się dokładniej przyjrzeć. Miał pociągłą twarz, krótki czarny zarost i nieprzyjemne oczy - złośliwe i inteligentne.

Na piersi błyszczał w słonecznym świetle Order Świętego Włodzimierza.

- Jestem Iwan Siergiejewicz Burlatow, lejtnant armii Jego Cesarskiej Mości, a wy..., wy jesteście - siadł za biurkiem i przerzucił kilka papierów. W końcu znalazł jakąś kartkę, przyłożył do oka monokl i odczytał moje nazwisko.

- Mam dla was propozycję - Burlatow uśmiechnął się złośliwie i wpadł w zadumę. Zapalił cygaro. - Wiecie, ile dostaniecie za próbę ucieczki, nie licząc oczywiście batów? - odezwał się w końcu.

Milczałem. Burlatow zaciągnął się dymem, puszczał kółka, patrzyć na mnie. W końcu opuścił głowę, jakby coś nagle przyszło mu do głowy, spojrzał na mnie i powiedział:

- Pięć lat. Jak będziecie mieli szczęście - wstał energicznie z krzesła i zaczął chodzić po pokoju. - Ale - tu podniósł palec wskazujący na wysokość oczu - jak już wspomniałem, mam dla was propozycję.

- Nie będę współpracował z ciemnocyicielami mojej ojczyzny! - wysyczałem przez zęby.

- Nie takich jak ty zmiękczyliśmy, nie takich - powiedział Burlatow i krzyknął: - Innokientiju Pawłowiczu - teraz!

Drzwi za moim plecami otworzyły się i ktoś wszedł do pokoju. Usłyszałem dwa kroki, potem przybysz zatrzymał się. Jakby coś nie pozwalało mu iść dalej.

- Proszę, proszę - zachęcał Iwan Siergiejewicz swojego gościa życzliwym tonem, w którym jednak czaiła się stal - bliżej - ostatnie słowo spadło z jego ust jak ostrze gilotyny.

Gość Burlatowa wszedł w zasięg mojego wzroku. Był to samotnik, który uciekał ze mną.

- No właśnie - pułkownik popatrzył na mnie szyderczo - ten człowiek ma rodzinę. Żonę i dzieci. I bardzo swoją rodzinę kocha. Dlatego się zgodził. Teraz, po tym wszystkim, skrócimy mu katorgę do roku i za trzysta sześćdziesiąt pięć dni będzie obchodził Gwiazdkę z rodziną.

Człowiek, z którym uciekałem pochylił głowę, potem podniósł rękę i brudnym rękawem otarł oczy.

- To nie twoja wina - powiedziałem do niego.

- Innokientij, zabierz go! - wrzasnął Burlatow. Do pokoju wpadł adiutant i zaczął odwiązywać mnie z krzesła. Poczulem, że poluzował mi więzy przy prawej ręce Lejtnant poczerwieniał na twarzy:

- Nie tego, idioto - wycedził przez zęby. - Tego, który stoi.

Kiedy wyszli, Burlatow usiadł za biurkiem, wyciągnął z niego butelkę koniaku, nalał sobie kieliszek, pociągnął łyk. Twarz mu się rozluźniła i przybrała swój normalny wyraz. Była tylko trochę bardziej czerwona. Kiedy siedział za biurkiem i nie patrzył na mnie, wysuplałem rękę z poluzowanych przez Innokientija więzów.

- Wspaniały koniak - powiedział wesółym głosem - no i jak będzie, zgadzasz się?

- Ja nie mam dzieci - powiedziałem spokojnie - ani żony.

Iwan Siergiejewicz podszedł do mnie niespiesznie. Czekał chwilę, a potem uderzył mnie w twarz.

Wyszarpnąłem rękę ze sznurów i oddałem cios. Siła uderzenia obróciła go wokół własnej osi. Upadł na biurko, ale szybko się podniósł. Otarł krew, która pociekła mu z wargi i podszedł do mnie. Twarz ściągnął mu grymas wściekłości:

- Lachy, sobaki, nauczę ja was! - krzyczał, ciągnąc mnie za poły kapoty - urzędnika państwowego w twarz - pociągnął za łańcuszek na mojej szyi i urwał zaskoczony. - A co to takie ci ciężkie? - zapytał z osłupieniem na twarzy. Osłupienie szybko przeszło w ciekawość. Burlatow powoli pociągnął za łańcuszek. W końcu jego oczom ukazała się sakwa z dokumentami, które

przekazał mi stary uciekinier. Burlatow zerwał łańcuszek z mojej szyi, zabrał sakwę. Usiadł za biurkiem, otworzył pakunek i przejrzał dokumenty.

Poczerwieniał na twarzy. Wziął czystą kartkę papieru, pomacał pióro w atramencie, skreślił kilka słów i zamasyżując się podpisał. Popatrzył na mnie, uśmiechając się niepewnie, jakby ktoś złapał go na gorącym uczynku:

- Kto wie o tych dokumentach? - zapytał.

- Tylko ja, no i ten Fandorin...

- A tak, monsieur Fandorin... Chytry człowiek, znam go - w jego głosie znowu odezwała się stał, przemieszana tym razem jednak ze strachem. - Próba ucieczki, stawianie oporu przy aresztowaniu, zranienie carskiego żołnierza i obraza carskiego oficera. Sporo tego. Skazuję Was na dziesięć lat dodatkowej katorgi - lejtnant nie patrzył na mnie. - Innokientij! - krzyknął, a kiedy adiutant pojawił się w drzwiach, dodał - zabierz to ścierwo sprzed moich oczu. - W miarę jak mówił, jego głos coraz mniej przypominał niski bas żołnierza, a coraz bardziej niespokojne pomruki niedźwiedzia, którego osaczyli myśliwi, a ich cienie, wydłużone o cienie rohatyn, kłują go w stopy.

Huk. Ogień. Dym. Świsł i kolejne kule wystrzelane przez oddział kozaków ustawiony w równy rząd pod lasem uderzały w naszą lichą barykadę. Żeby ją zrobić, rozebraliśmy domek strażników i pomiędzy pozostałymi dwoma domostwami stojącymi równolegle i naprzeciwko siebie usypaliśmy szaniec. Nasza ostatnia twierdza. Ostatnia twierdza dogasającego powstania nie miała imienia. Rzecz potoczyła się zwykłą w takich sprawach kolejną. Najpierw mieliśmy przewagę, rozbroiliśmy mały garnizon i szliśmy od chutoru do chutoru. Wioska za wioską przyłączały się do nas. Potem Burlatow poprosił o posiłki i wypoczęta armia carska zaczęła deptać nam po piętach. Nie wiadomo, kiedy powstanie przeistoczyło się w zbiorową ucieczkę.

W końcu konie padły, większość towarzyszy broni poddała się, a nas, ostatnich dziesięciu, wojska Burlatowa otoczyły w małej osadzie z trzema domkami. Ostrzeliwali nas regularnie co dwie godziny. Kanonada trwała już siedem dni, nocami huk wystrzałów ustawał i oba nasze obozy spowijała gęsta cisza. Oblegający czekali, aż widmo głodu zajrzy nam w oczy i skapitulujemy.

Ósmej nocy, przy ognisku, nad którego ogniem opiekaliśmy ostatnie kawalki koniny, które nam zostały, nikt nie rozmawiał. Twarze, oświetlane przez ognisko, były zmęczone i zabiedzone. W milczeniu przeżuwaliliśmy twarde mięso. Wreszcie odezwał się najstarszy z nas stopniem, Wilhelm Buszkat.

- Przyjdzie nam się poddać.

Nikt na to nie odpowiedział.

- Jutro rano wywieszę białą flagę i poddamy się. Trzeba będzie wysłać kogoś, żeby porozmawiał z Burlatowem. Może ktoś chce pójść na ochotnika?

- Ja pójdę - powiedziałem.

Koledzy spojrzeli na mnie zdziwieni. To były ostatnie słowa, które padły tamtej nocy. Rano, zanim kozacy zaczęli szyć do nas znowu, Buszkat wychylił się zza barykady i pomachał w stronę nieprzyjacielskich pułków kawalkiem białej koszuli, którą wcześniej zatknął na bagnecie swojego karabinu.

- Chcemy roz.... - krzyknął, ale urwał w pół zdania. Pojedyncza kula z okopów nieprzyjaciela zagwizdała w powietrzu i trafiła naszego dowódcę, jak mi się wydawało, w piersi. Buszkat zacharczał, zgął się w pół i upadł na ziemię. Moi towarzysze broni rzucili się do barykady i zaczęli strzelać. Odpowiedziała im nieprzyjacielska salwa - jedna, druga, trzecia.

- Nie strzelać! - krzyknąłem. - Ja jestem teraz najstarszy stopniem.

Zesłańcy odsunęli się od barykady i przykucnęli wokół mnie. W huku strzałów przeciwnika wyłożyłem im szybko swój plan. Nie chcieli się zgodzić. Wydałem rozkaz.

Burlatow kwaterował w obszernym namiocie, ustawionym w lesie, ale bardzo blisko linii ostrzału.

Kiedy wszedłem, nie podniósł się ze składanego polowego krzeselka. Z ironicznym uśmiechem wskazał krzesło.

- Siadajcie, panie poseł. No, znów skrzyżowały się nasze drogi... - powiedział.

Stałem z karabinem, do którego przywiązany był kawałek białej koszuli.

- Mam do ciebie interes - zacząłem.

- No, no, jaki hardy - lejtnant śmiał się, chociaż widać było, że wcale nie jest mu wesoło. - A jak iż to interes może mieć do mnie ktoś taki jak ty? Was jest garstka, wycieńczonych, głodnych, słabo uzbrojonych, bez amunicji. Ja mam cztery tysiące świeżych żołnierzy, tabor i cotygodniowe dostawy.

- Zapomniałeś już o dokumentach?

- Spaliłem je - Burlatow nie śmiał się już. Jego twarz była poważna, a oczy czujne.

- O nie... - zaryzykowałem - nie spaliłeś. Ktoś taki jak ty, kto mierzy wysoko, musi mieć w zanadrzu jakieś haki, żeby mieć czym rozgrywać swoje partie na salonach. I chociaż jest w tych dokumentach coś, co powinno zginąć w ogniu, nie spaliłeś ich...

Burlatow przelknął ślinę, obrócił się na pięcie i wpatrywał z uwagą w płócienną ścianę namiotu. Wreszcie powiedział cicho, ale stanowczo:

- Twoja cena?

- Nie jest wysoka. Uznasz mnie za prowodyrę powstania i ja poniosę karę, jaką zechcesz. Reszta moich ludzi dostanie najniższe możliwe wyroki.

- A jeśli się nie zgodzę? - Burlatow zbliżył się do mnie i wyciągnął z cholewy buta krótki sztylet.

Przystawił go do mojego gardła.

- Musisz się zgodzić - powiedziałem patrząc mu prosto w oczy - jeśli mnie teraz zabijesz, zabijesz posła i stracisz szacunek w swojej armii. Poza tym, moi ludzie wiedzą o dokumentach. Jeśli będziesz przestrzegał umowy, nikt nie piśnie ani słówka, przysięgli to. Ale jeśli zagrasz nieczysto, to komuś, na przykład na przesłuchaniu, może się wypsnąć słówka o jakichś tajemniczych dokumentach w biurku lejtnanta Iwana Siergiejewicza Burlatowa. Bo przecież są zbyt cenne, żeby je wozić ze sobą.

- Dość - lejtnant opuścił sztylet - wygrałeś.

Pętla uwierala mnie w szyję. Przede mną na rynku zgromadziła się cała ludność miasta. Rzadko mieli okazję oglądać egzekucje. Szubienica stała naprzeciw cekkhausu. Po mojej prawej stronie siedział burmistrz, proboszcz i lejtnant Burlatow, który przybrał propaństwową minę. Kat podszedł do mnie i zwracając się do tłumu, krzyknął:

- Czy skazaniec ma ostatnie życzenie?

- Tak - odpowiedziałem - chciałbym zjeść bigosu. W waszym więzieniu podle karmią.

Obróciłem się w prawo i zobaczyłem wściekle oczy Burlatowa. Po chwili lejtnant machnął na któregoś z żołnierzy i szepnął mu kilka słów do ucha. Innokentij Pawłowicz, bo to właśnie jego wezwał lejtnant, pobiegł w kierunku kuchni. Iwan Siergiejewicz podszedł do mnie:

- Bigosu może nie będzie - syczał z wściekłością przez zęby - ale twojemu życzeniu stanie się zadość. Mam nadzieję, że to ostatnia trudność, którą mi sprawiasz.

Po kilku minutach zobaczyłem żołnierza biegnącego w stronę szubienicy z miską wypełnioną jakąś dymiącą strawą. Kiedy adiutant wbiegał na schodki, w dalekim końcu rynku ludzie zaszemrali niespokojnie i rozstąpili się, robiąc miejsce dla kogoś, kto nadjeżdżał.

Najpierw pojawili się kozacy. Dwanaście wysokich czapek zatańczyło w powietrzu, kiedy klusowali wśród tłumu, robiąc miejsce dla jadącej za nimi kolaski. Kareta podjechała blisko, drzwiczki się otworzyły i wysiadł z niej mężczyzna całkiem młody, ale ze skroniami przyprószoneymi siwizną. Podszedł do Burlatowa i powiedział:

- I-owanie Siergiejewiczu, w imieniu Jego Wysokości aresztuję p-pana i przejmuję tu dowództwo - po czym oddał mu pagony, odpruł Order Świętego Włodzimierza z piersi i odebrał z rąk osłupiałego Burlatowa szpadę. Potem przybysz obrócił się w moją stronę:

- E-egzekucję wstrzymuję. Więźnia odwiązać i przyprowadzić do gabinetu dowódcy garnizonu - powiedział szpakowaty i odszedł w kierunku koszar. Burlatow szedł przed nim, a po jego obu bokach kroczyli kozacy ze świty nowego dowódcy.

- Erast Pietrowicz Fandorin - przedstawił się szpakowaty jegomość, kiedy zostaliśmy on, ja i Burlatow w gabinecie, w którym niegdyś przesłuchiwał mnie eks-lejtnant - proszę spocząć.

Lejtnant, który siedział na krześle przed biurkiem, fuknął opryskliwie, skrzywił się ironicznie i ostentacyjnie obrócił się do Fandorina bokiem. Ale to właśnie do niego były skierowane słowa Erasta Pietrowicza:

- Pan, Iwanie Siergiejewiczu, mierzył wysoko, a upadek z wysoka bardziej boli. Ale mam dla pana propozycję.

- Pluję na twoje propozycje, zdrajco - odburknął Burlatow - czytałem, jak przekazałeś dokumenty ochrony temu kupczykowi. Już ja będę wiedział, komu się poskarżyć.

- I jak myślisz, Burlatow? Komu uwierzą? Skorumpowanemu i zdegradowanemu oficerowi, który nie ma żadnych dowodów i jest oskarżony o udział w zdradzie przygotowywanej przez jego brata, czy mnie, lojalnemu i zasłużonemu słudze Jego Cesarskiej Mości?

Lejtnant nerwowo poprawił się na krześle:

- No więc, m-moja propozycja jest następująca. O-oddasz mi dokumenty, a ja postaram się szepnąć słówko komu trzeba i może jakoś się z tego wykaraskasz.

Burlatow sięgnął za pazuchę i wyciągnął stamtąd paczkę papierów. Podał ją bez słowa Fandorinowi.

- Możecie odejść na kwaterę - powiedział spokojnie szpakowaty.

Kiedy za Burlatowem zamknęły się drzwi, Fandorin odwrócił się do mnie:

- Nie mamy dużo czasu. Uciekniesz dzisiaj w nocy. Dostaniesz jedzenie na drogę, strój bradiagi, nowych dokumentów nie zdołałem zdobyć, ale powiem ci, jak możesz spróbować je uzyskać...

- Ale skąd mam wiedzieć - przerwałem Fandorinowi - że mnie pan nie oszuka? Nie chcę dostać kulki w plecy podczas próby ucieczki...

- Ach, wy Polacy - Fandorin westchnął - zawsze nieufni. Burlatow wie o moich spotkaniach z waszym kupcem pod Plewną, to raz. Nie żądam od was żadnego sprawozdania, to dwa. Oddając te dokumenty w wasze ręce - przy tych słowach przekazał mi paczkę - składam w nie jednocześnie swój prestiż - to trzy.

Nawet jeśli to prowokacja, ja na niej mogę stracić najwięcej. Moje spotkania z waszymi ludźmi opisała w tych papierach ważna persona syberyjskiej emigracji. Ochrona będzie polegać na jej szczerości bardziej niż na szczerości własnych agentów, to cztery.

Złapali mnie, kiedy przekroczyłem Ural. Wzięli za proszalnego dziada, włóczęgę i wsadzili do zwykłego więzienia. Urzędnik więzienny, kiedy stwierdził, że nie mam przy sobie papierów, postanowił wypisać mi nowe:

- Imię?

- Nikołaj Iwanowicz.

- Nazwisko?

- Bestużew.

- Miejsce urodzenia?

- Moskwa.

- I aż tu was wywiało. Posiedzicie, dziadku, parę miesięcy w kozie, to włóczęgi się wam odechce.

Zamknęli mnie w celi z takim samym włóczęgą jak i ja.

- Skąd idziecie, panie? - zagadnął mnie towarzysz niewoli.

- Zza Bajkału - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- To daleko. Zimno tam i niedźwiedzie, i Polacy - jego twarz nagle się rozjaśniła uśmiechem - tacy jak ty i ja - skierował w moją stronę brudny palec. - To ja, Buszkat, nie poznajesz mnie, stary lisie?!

- Buszkat - wyszeptalem zaskoczony, bo w starym włóczędze z długą brodą trudno było rozpoznać naszego dawnego dowódcę - myślałem, że ty już w...

- Ziemi? No, ciężko było, ale się udało. Wtedy to nie w pierś mnie trafili, tylko w ramię, ale tak paskudnie, że zaraz straciłem przytomność. Ruscy wzięli mnie za trupa, rzucili na wóz i powieźli nocą przez las na cmentarz. Kiedy byliśmy w lesie, odzyskałem przytomność, zeskoczyłem z wozu i w nogi. Nawet się nie spostrzegli, jak czmychnąłem w ciemności. A ty?

Opowiedziałem mu historię mego uratowania, ucieczki i tulaczki.

- Ty to masz szczęście, ale z tymi dokumentami musisz uważać... Wiesz, co ja ci radzę. Jak już nas wypuszczą i uda ci się dojść do domu, to ty od razu jak w dym wal do jakiegoś wielkiego człowieka, jakiegoś, na ten przykład, pisarza. On będzie wiedział, co z tym zrobić, komu pokazać, kogo rozpytać... A teraz... spać!

Będziemy jeszcze mieli czas pogadać...

Po 17 latach, ośmiu miesiącach i piętnastu dniach znowu ujrzałem Warszawę. Pierwsze swe kroki po powrocie skierowałem na ulicę Kruczą 25.

Tu kończy się rękopis „Dziennika ucieczki z Sybiru do Warszawy”. Dalsze losy listy agentów opisuje moja książka (tu pismo było zamazane piórem).

ROZDZIAŁ SZESNASTY PAMIĘTNIK STAREGO PROFESORA

Kiedy mój oprawca zostawił mnie na dnie rozpaczy wysłanym słomą, zasnąłem umęczony wydarzeniami poprzednich godzin. Kiedy zbudziłem się, nie wiedziałem, czy jest dzień czy noc. Oczy przyzwyczyły się do mroku po kilku minutach i mogłem mniej więcej zorientować się w tym, jak wygląda piwnica, w której się znalazłem. Nie było za wiele do oglądania. Pod ścianą po lewej stronie dojrzałem stare, żelazne łóżko z siennikiem wypełnionym słomą i starym kocem porzuconym na nim w nieładzie. Obok łóżka, naprzeciw drzwi, stało biurko i ustawione przed nim krzesło. Na biurku dostrzegłem świeczkę w kaganku i pudełko zapalek. Po chwili zapalka trzasnęła o traskę i światło rozjaśniło nieco mrok, ale nic nowego nie odkryłem. Zbliżyłem się do drzwi w nadziei, że odnajdę jakąś drogę ucieczki. Na próżno.

Stalowe wrota skutecznie blokowały drogę wyjścia. Klęczałem właśnie przy drzwiach, gdy usłyszałem jakiś chrobot na wysokości kłódki. Zgasilem świeczkę i padłem na łóżko. Skrzypiało strasznie, kiedy okrywałem się kocem. Po chwili drzwi otworzyły się. Usłyszałem stuk żelaznego naczynia o kamienną podłogę.

- Nie udawaj, stary, że śpisz - odezwał się nieznany mi głos. - Przyniosłem ci jedzenie - po tych słowach drzwi trzasnęły.

Zaczekałem, aż kroki oddalą się i rzuciłem się do miski. Dopiero kiedy poczułem zapach chleba i cienkiej zupy, zdałem sobie sprawę, jak bardzo byłem głodny. Nasyciłem żołądek, usiadłem przy biurku, otworzyłem mój notes i zacząłem uzupełniać notatki. Przez wiele godzin, nie mówię dni, bo straciłem już wtedy rachubę czasu, moim życiem rządził sen, krótkie chwile przy świecy, którą zapalałem tylko do pisania i wizyty strażnika, który przynosił mi jedzenie. Moja niewola skończyła się tak samo gwałtownie, jak się zaczęła. Do mojej celi wszedł fałszywy Wokulski ze strzykawką w rękę. Tym razem nie oponowałem, kiedy aplikował mi specyfik. Po chwili obraz rozdzielił się na dwie części i trucizna strąciła mnie w ciemność.

Obudził mnie warkot samochodu. Byłem związany, na oczach miałem czarną opaskę. Z radością poczułem podmuch na twarzy i łapczywie zaciągałem się świeżym powietrzem nasączonym zapachem wczesnego lata.

- No, doktorze Szuman - odezwał się Wokulski - za chwilę zapłaci mi pan za hojną gościnę - powiedział, po czym usłyszałem jego długi, złośliwy śmiech, do którego po chwili dołączył jakiś drugi, złowrogi rechot.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ZNAJOMY CHARAKTER PISMA * W KROPCE * BIAŁE RĘKAWICZKI, CZYLI JAK MOGŁEM SIĘ TAK DAĆ
NABRAĆ! * TELEFON DO PROFESORA ZIĘBY * NAŚCI, PIESKU, KIELBASY * IR PRZEWODNIK * W
WILANOWIE * WEJŚCIE DO PODZIEMI * KIM JEST CZARNY CYLINDER? * ZDRADA * WALKA PRZY
SKRYTCE * STAĆ, DHABY!

Ostatnie dwa zdania listu zesańca skreślono znajomym charakterem pisma.

- To pismo Bolesława Prusa. - powiedziała Nina. - Autentyk - cmoknęła z uznaniem.

- I to już wszystko? - zapytał pan Tomasz.

- Jest jeszcze jedna kartka - powiedziałem i pokazałem panu Tomaszowi i Ninie małą karteczkę:

W JEDNOŚCI SIŁA

- I co teraz? - zapytałem. - Wszystko na nic. Wskazówka mówi, że trzeba połączyć blaszki, a my mamy tylko dwie.

- Za to Czarny Cylinder ma już wszystkie - pan Tomasz smutno pokiwał głową. - Porywając profesora wszedł w posiadanie jego blaszki i kopii „talizmanu” prawnuczki, okradając Teodora Ochorowicza i porywając Andrzeja skompletował wszystkie cztery części. Nie ma wyjścia, jedziemy na policję...

- Nie ma co - odezwałem się - załatwił nas w białych rękawiczkach...

- Co powiedziałeś? - pan Tomasz nagle się ożywił.

- Że nas załatwił...

- Nie, nie o to mi chodzi, co powiedziałeś potem, coś o rękach?

- Nie, o rękawiczkach, że załatwił nas w białych rękach...

- Jak mogłem tak dać się nabrać! - przerwał mi w pół słowa i klepnął się otwartą dłonią w czoło.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej komórkę. Wybrał numer. Po chwili po drugiej stronie ktoś odebrał, bo Pan Samochodzik prawie krzyknął do słuchawki.

- Profesor Zięba? Profesorze, co pan wie o... ? - tu szef wymienił dwa znane mi doskonale nazwiska.

Kiedy je usłyszałem, przeszedł mi dreszcz po plecach. - Tak myślałem! - pan Tomasz triumfował, kiedy usłyszał odpowiedź profesora. Mam do pana jeszcze jedną prośbę, panie profesorze. Czy możemy się dzisiaj spotkać? Tak, niestety, to sprawa najwyższej wagi. Jedziemy teraz do generała Skorlińskiego... Dobrze. Za pół godziny? Do zobaczenia i dziękuję. Na pana zawsze można liczyć, profesorze. Tak? Błagam, nie ma czasu. Tak. Tak. Wszystko wytłumaczę na miejscu.

Właśnie wsiadaliśmy do wehikułu, gdy obok naszego samochodu pojawił się czarny pudel.

- Uważaj na niego - powiedział Pan Samochodzik.

Podszedłem do pudła i pogłaskałem go za uchem.

- Mam coś dla ciebie - powiedziałem i sięgnąłem do skrytki. Wyjąłem z niej kawałek surowej kielbasy i pomachałem psu przed nosem. Ir zrobił stójkę i zaczął skomleć. Wyciągnąłem z kieszeni kawałek rękawa, który oderwałem w Paryżu z palta Wokulskiego.

- Powąchaj to - Ir fuknął i zamachał ogonem - a teraz posłuchaj mnie, piesku - rzuciłem mu

kielbasę i kiedy łąpczywie zatopił w niej zęby, powiedziałem: - Prowadź nas do swego pana.

Ir pochłonął kielbasę w mgnieniu oka i popędził Krakowskim Przedmieściem.

- Na co czekasz? - krzyczał Pan Samochodzik. - Goń go! Do wehikułu!

Ja jednak spokojnie wsiadłem do wozu i włączyłem mały odbiornik GPS - Spodziewałem się, że Ir nas jeszcze odwiedzi i przygotowałem się do spotkania z naszym małym szpiegiem. Włożyłem do kielbasy nadajnik GPS.

- Teraz Ir jest po naszej stronie i zaprowadzi nas do swego pana - powiedziałem z dumą.

- Moja szkoła - ucieszył się pan Tomasz. - Ruszamy.

Mała kropka na nadajniku powiodła nas w stronę Wilanowa. Wysiedliśmy przed pałacem i z nadajnikiem GPS w rękę poszliśmy tam, dokąd prowadził nas Ir, w głąb pałacowego parku.

- Jest tam - krzyknął pan Tomasz i wskazał na psa, który mignął między drzewami i doprowadził nas w końcu w okolice małego wodospadu, który znajduje się w południowej części ogrodów. Zobaczyliśmy niewielki głaz, z wydrążoną w środku dziurą. U stóp kamienia znajdowała się niewielka jama, przez którą z trudnością mógł przecisnąć się człowiek. Po chwili Ir podbiegł do nas i zaczął wesoło szczeekać domagając się kielbasy. Dałem mu kawałek i zachęciłem, żeby szukał swego pana. Ir pobiegł w stronę jamy i po chwili w niej zniknął.

- Dzwonię do Skorlińskiego - powiedział pan Tomasz i odszedł kawałek od nas, żeby złapać zasięg.

Pan Samochodzik telefonował, a my obserwowaliśmy wylot jamy. W pewnym momencie Nina zerwała się i pobiegła w stronę ciemnego wejścia.

- Nina, stój! Co ty wyrabiasz? - syknąłem, ale nie słuchała mnie. Czerwona grzywa włosów znikła w ciemnościach,

Nie było wyjścia. Kiedy pan Tomasz wrócił, zbliżyliśmy się do wykopu i włączyliśmy latarki. Tunel musiał być długi, bo ze środka nie dobiegały nas żadne głosy. Jama była precyzyjnie obudowana ceglami.

Przypomniała mi moje niedawne niewesołe przygody w bunkrach na Wyspie Sobieszewskiej. Jak na komendę wyciągnęliśmy z szefem swoje pistolety gazowe i ruszyliśmy w głąb.

W miarę jak schodziliśmy w dół, korytarz rozszerzał się. Po pięćdziesięciu metrach ostro skręcał pod kątem prostym i był tak wysoki i szeroki jak górniczy chodnik. Na końcu korytarza, którym szliśmy, widać było uchylone drzwi, zza których dobiegały nas dwa głosy - męski i kobiecy. Zbliżyłem się do drzwi i usłyszałem rozmowę:

- Dzielimy się pół na pół i robimy kopię...

- Nie ma mowy, muszę mieć oba rękopisy...

- Zapłacę ci, mam potężnych mocodawców...

- To, o co walczę, nie jest na sprzedaż.

- Mam broń...

Postanowiłem włączyć się do dyskusji. Pchnąłem drzwi i naszym oczom ukazała się przestronna sala.

W ścianie naprzeciwko drzwi był wbudowany kominek. Ogień, który się na nim palił był jedynym źródłem światła w pomieszczeniu. Sala miała kształt odwróconej skorupy orzecha kokosowego. Podłoga i ściany były wykonane z cegieł. Na podłodze położono skórę lwa, która szczyrzyła ogromne kły w naszą stronę. Przed kominkiem stało dwóch ludzi. Jeden był obrócony

profilem do ognia i w jego podłużnej twarzy rozpoznałem fizjonomię fałszywego Rzeckiego. U jego nogi siedział na tylnych łapach, szczerząc kły, Ir. Twarz drugiego człowieka niknęła w mroku. Na głowie miał czarny cylinder. Jedną ręką trzymał przy sobie nieprzytomnego profesora Jordanka, w drugiej miał nóż, który zbliżył niebezpiecznie do szyi uczonego. Naprzeciwko, odwrócona do nas tyłem, stała Nina Wołga. Jej rude włosy błyszczały w ogniu.

- No, no, widzę że są wszyscy - powiedział fałszywy Wokulski. - Możemy zaczynać zabawę - proszę o uwagę. Jeden fałszywy ruch i Jordanek zginie, a chyba nikomu nie zależy na śmierci profesora... No, Daniec żadnych sztuczek, rzucajcie broń... Tak, bardzo dobrze.

Nina położyła swoją broń pierwsza. We trójkę mielibyśmy może jakieś szanse, ale teraz położyliśmy pistolety na podłodze i czekaliśmy na rozkazy naszego prześladowcy.

- A teraz wszyscy grzecznie za mną... Ignacy, otwórz drzwi do przejścia...

Rzecki podszedł do ukrytej w mroku ściany i nacisnął jedną z cegieł. W jednolitej ścianie ukazała się szpara i cały kawał muru z ciężkim zgrzytem odsłonił wysoki i ciemny korytarz.

- Proszę za mną, jesteśmy już blisko - powiedział Wokulski i poszedł w stronę korytarza, w którym wcześniej zniknęli Rzecki i Ir. Rzekomy Wokulski sapał i ciągnął za sobą profesora, my poruszaliśmy się powoli za nim. Na końcu korytarza widać było ostre elektryczne światło. Wreszcie dotarliśmy do małego pomieszczenia mocno oświetlonego jarzeniówkami. Weszliśmy do środka. Zobaczyłem Rzeckiego z pistoletem wycelowanym w nas. Profesor, ciągle nieprzytomny, siedział pod ścianą po naszej lewej stronie, obok niego leżał skrupowany, ale przytomny Andrzej Węgiełek. Wokulski stał odwrócony do nas plecami. Wreszcie odwrócił się i zobaczyliśmy jego twarz, od której odkleił fałszywe wąsy i brodę.

- Profesor Piekalkiewicz? - pierwszy zareagował Andrzej. - To pan...

- Tak, ja, głupku. Czekałem na tę chwilę wiele lat, ale zemsta jest słodka. Tym bardziej kiedy dokonuje się jej za pomocą swoich wrogów. Jesteśmy blisko tajemnicy. Oto ostatni zamek, który muszę sforsować, żeby nareszcie się dowiedzieć. - odsłonił ścianę i ręką wskazał na urządzenie, które błyskało do nas diodami i świeciło ekranem komputera. - Aha! Jeszcze jedno, Nino, chyba czas ujawnić po czyjej jesteś stronie...

Nina odgarnęła włosy i z przepaszającym wyrazem twarzy podeszła do fałszywego Wokulskiego. Patrzyliśmy na nią zdębiali.

- Nina, nie bądź głupia, to wariat... - prawie krzyknął pan Tomasz.

- Przepraszam, panowie, ale muszę zdobyć ten rękopis...

- Zdrajczyń - rzuciłem po nosem.

- Skoro już wszystko wiemy, możemy przystąpić do rzeczy. Nino, ty pierwsza.

Dziewczyna podeszła do komputera w ścianie. Nacisnęła jakiś przycisk na ekranie, który reagował na dotyk i usłyszeliśmy metaliczny głos:

- Proszę wprowadzić odcisk palca potomkini Feliksa Pawłowskiego.

Nina przyłożyła swój palec wskazujący do ekranu:

- Odcisk zgodny. Proszę wprowadzić odcisk palca potomka doktora Słonimskiego.

Piekalkiewicz zbliżył się do profesora i dotknął lekko jego ramienia. Profesor zaczął się budzić.

Fałszywy Wokulski silnymi rękami przeniósł go do komputera i wczytał jego odcisk palca. Potem całą procedurę powtórzył z Andrzejem, który chociaż wił się jak piskorz i próbował wyrwać nieprzyjacielowi, nie zdołał zapobiec wprowadzeniu swoich danych do komputera.

- Wszystkie dane zgodne - powiedział komputer - wrota otwarte.

W ścianie pojawiła się szpara, syknęły hydrauliczne podnośniki, do których przyczepiono prostokątny kawałek muru i kawał ściany, jak drzwi garażu, zaczął podnosić się do góry. Pomieszczenie, które było przed nami, zalewał mrok.

Piekałkiewicz rozpalony i rozemocjonowany obrócił się do nas.

- Tu kończy się nasza znajomość. Ignacy, strzykawki!

Rzecki podszedł do niego ze srebrnym pudełkiem w jednym ręku i z pistoletem w drugim.

- To nic panów nie zaboli, a mnie pozwoli być daleko, kiedy wydobędę rękopis - powiedział i zaaplikował zastrzyk profesorowi i Andrzejowi. Podszedł do Niny, która nie spodziewała się niebezpieczeństwa, objął ją i wbił strzykawkę w jej ramię. - Dziękuję ci za pomoc - powiedział, kiedy dziewczyna osunęła się na ziemię.

Zbliżył się w końcu do nas. Chwycił pana Tomasza za rękę i wycelował strzykawkę w jego przegub.

Uderzyłem nogą. Kątem oka zobaczyłem, jak Rzecki biegnie w naszą stronę. Nie mógł strzelać, bo łatwo mógłby zranić swego pryncypała. Reakcja Wokulskiego była natychmiastowa. Sparował mój cios i korzystając z chwili, nacisnął tłoczek strzykawki. Zostałem sam. Bez broni. Rzecki wycelował we mnie pistolet, ale Wokulski powstrzymał go gestem ręki. Skoczył na mnie i wycelował pięść w moją szczękę.

Przepuściłem go, unikając ciosu, ale na nieszczęście obróciłem się w tym momencie plecami do Rzeckiego.

Drab wykorzystał mój błąd. Poczulem kolbę pistoletu, która uderzyła w moją głowę. Nie straciłem przytomności, ale upadłem. Poczulem ukłucie w ramieniu. Obróciłem się na plecy i zobaczyłem twarz Piekałkiewicza, który ze złośliwym i triumfalnym uśmiechem powiedział:

- No i co Daniec, czujesz teraz, że przegrałeś?

Nie miałem siły. Obraz rozszczepił się na dwoje. Zobaczyłem, jak dwóch Wokulskich i dwóch Rzeckich, wchodzi do dwóch skrytek.

- Zostaw ten pistolet, już nam niepotrzebny - powiedział Wokulski.

Rzecki położył broń. Odgłosy ich kroków stawały się coraz cichsze. Na krawędzi świadomości, kiedy przestawałem już widzieć i słyszeć, daleko, daleko, z ciemności skrytki, odezwał się dziwnie znajomy głos:

- Stać, dhaby, bo zastrzelę jak psy.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

NIESPODZIEWANE SPOTKANIE W SKRYTCE * ODSIECZ GENERAŁA * TAJEMNICA NINY * PROŚBA ZŁOCZYŃCY *

DWA OSTATNIE ROZDZIAŁY „LALKI”

Mam mocny organizm i trucizny działają na mnie tylko przez chwilę. Ocknąłem się więc szybko i wszedłem do skrytki. Było to małe kwadratowe pomieszczenie. Na ścianach połyskiwały diody komputerów i czujników laserowych. Na podłodze leżał związany i ogłuszony profesor Paul Geist. Bandyci byli tak pewni siebie, że nawet go nie zakneblowali. Rozplątałem profesora i ocuciłem go. Po chwili odzyskał świadomość.

Skoczył na równe nogi i przybrał postawę obronną. Nie miał na nosie swoich okularów, więc mnie nie rozpoznał.

- To ja, profesorze, Paweł Daniec. Niech się pan uspokoi... - powiedziałem.

Uczony rozluźnił się i uśmiechnął.

- Pan Paweł, miło cię znowu widzieć, młodzieńcze, szkoda, że ponieśliśmy shomotną poażkę... Habusie uciekli z hękopisami... - profesorowi przerwał stukot wielu ciężko obutych stóp i pokrzykiwania dobiegające z komnaty, gdzie palił się ogień na kominku.

Obróciliśmy się w tamtą stronę i pobieглиśmy krótkim korytarzem. Nie mogliśmy wejść do sali, bo na całym jej okręgu rozstawieni zostali policjanci z brygady antyterrorystycznej. Zablokowali również wejście do tunelu. Spoglądaliśmy ponad ich ramionami do środka okręgu. Na środku stał Piekałkiewicz, nigdzie nie było widać Ira. Piekałkiewicz trzymał w rękach srebrne pudełko. Jeden z antyterrorystów ściągnął maskę, poznałem Skorlińskiego. Przyłożył do ust megafon. Jego słowa zwielokrotnione przez echo zabrzmiały donośnie w całej sali:

- Jesteś otoczony, nie masz szans. Rączki do góry!

Piekałkiewicz położył ostrożnie pudełko na ziemi i podniósł ręce.

- Widzę, Pawle, że wszystko dobrze się skończyło - usłyszałem za sobą głos pana Tomasza. - Witam, profesorze Geist! Co pan tu robi?

Profesor uśmiechnął się:

- Jestem sthażnikiem skahbu - odpowiedział.

Podeszliśmy do generała Skorlińskiego:

- Dziękuję, panie Tomaszu - powiedział oficer policji - gdyby nie pana telefon, byłby teraz pewnie w drodze na lotnisko.

- Byłby? - pan Tomasz się zdziwił. - Było ich przecież dwóch.

- Złapaliśmy tylko jednego, ale ten drugi też daleko nie ucieknie. Wszystkie drogi z Wilanowa są obstawione. Rozesłaliśmy rysopis. Jeszcze raz dziękuję.

- Drobiazg - odpowiedział szef - to nie tylko moja zasługa, cała moja drużyna zapracowała na ten sukces, chociaż co do wkładu jednej osoby mogę mieć wątpliwości. A właśnie, gdzie się pani wybiera, pani Nino? - powiedział szef do Niny Wołgi, która przy ścianie, w ciemnościach,

próbowała niepostrzeżenie zbliżyć się do wyjścia. Dwóch policjantów zastąpiło jej drogę.

- Jestem obywatelką rosyjską, mam paszport dyplomatyczny, chroni mnie immunitet, nie macie prawa... - broniła się dziewczyna.

- No właśnie - powiedział Skorliński - pani też szukamy - nasz MSZ już wydał decyzję o deportacji pani do Rosji, jako agentki obcego wywiadu. Najpierw jednak zapraszam na przesłuchanie.

Policjanci oddalili się z Niną, a my podeszliśmy do Piekalkiewicza. Włosy miał zmierzwiłone i patrzył na nas wściekle.

- Mam prośbę - warknął.

- Wydaje mi się, że nie jest pan w sytuacji, która pozwala na wysuwanie żądań.

- Jak chcesz, ale jeśli nie dam żadnego znaku przez najbliższe cztery godziny, moi ludzie zajmą się ośmioma osobami, które porwałem - uśmiechnął się złośliwie.

Pan Tomasz zacisnął pięści, w jego oczach pojawiła się złość, ale opanował się i spojrzał na Skorlińskiego. Kiedy ten kiwnął głową w geście potwierdzenia, pan Tomasz powiedział powoli, suchym i beznamiętnym, ale zdecydowanym tonem:

- Czego chcesz?

- Chcę posłuchać dwóch ostatnich rozdziałów „Lalki”, chyba na to zasłużyłem?

- Nie zasłużyłeś, ale zgoda. Panie generale, czy możemy zostać tu jeszcze jakąś godzinę, potem ruszymy po profesora.

Skorliński kiwnął głową na zgodę i odszedł do swoich ludzi. Usadowiliśmy się przy kominku w wygodnych fotelach. Obok Piekalkiewicza i Rzeckiego stali policjanci. Andrzej otworzył kasetkę, którą wcześniej podnieśliśmy z podłogi, i wyjął cienki plik papierów zapisanych pismem Prusa. Zbliżył się do ognia, żeby lepiej widzieć i zaczął czytać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY
PAMIĘTNIK STAREGO SUBIEKTA

A więc Stach się żeni! Ale, ale! Muszę się miarkować, bo znów jestem gotów się rozgadać, a już późno i muszę spać, jak mi kazał doktor Szuman, żeby mieć siły do podróży.

Kto by pomyślał, jadę do Paryża! Moje oczy ujrzą chwałę Napoleonidów... Ale po kolei. Więc najpierw... Cóż mnie to wczoraj spotkała za zniewaga. Szlangbaum kazał mnie pilnować jak złodzieja! I ja mu za darmo układałem wystawę w sklepie! Ciężko mi było spać w nocy, ale skoro świt nowa we mnie wstąpiła siła i napisałem list do kochanej pani Heleny i tego złotego chłopaka Mraczewskiego. Już my razem Szlangbaumowi utrzymy nosa, kiedy nowy sklep pod jego oknem założymy. Ha! Chciałbym zobaczyć wówczas jego minę! Mniejsza jednak ze Szlangbaumem i sklepami, większa mnie dzisiaj niespodzianka spotkała. Otóż wchodzi rano do mnie Kazimierz i rozkłada talerze do śniadania. Kiedy skończył, pyta mnie:

- Czytał już pan list, który wczoraj przyszedł?

Zerwałem się na równe nogi i pytam:

- Jaki list, od kogo, gdzie on jest?

- A bo ja wiem od kogo, panie Rzecki, wczoraj przyniósł go goniec, ten, co to kiedyś u pana Wokulskiego służył. Przyszedł wtedy, kiedy pan w sklepie wystawę układał. Potem pan wypadł ze sklepu, drzwi zatrzaskał i nie było jak z panem mówić. List leży tam, na komodzie.

Usiadłem z wrażenia na szeszlengu. Czyżby to było możliwe? Bagatela, musi być. I chociaż w piersiach mnie zakłuło, podszedłem do komody i podniosłem list zaadresowany do mnie znajomą ręką. Rozerwałem papier i począłem prędko czytać, nie zważając na to, że łzy mi ciekną po twarzy:

Kochany Stary!

Nie musisz już bać się o mnie. Wiedz, że kocham i żenię się, a za osiem miesięcy, wyobraź sobie, spodziewam się potomka! Jeśli będzie to chłopak, nazwę go Ignacy. Mniejsza jednak z płcią, chcę, byś był ojcem chrzestnym tego dziecka. Miłość prawdziwa, do pięknej i inteligentnej kobiety, jaką jest moja Marysieńka, potrafi jednak zdziałać cuda, wiosną cały świat oprzemienić. Dowiedz się, że mnie już dawno nie dręczą owe dawne demony. Może jeszcze kiedyś do Warszawy wrócę, nim teraz jednak. Obrzydło mi to miasto, a poza tym wróciła do mnie pewna stara, jeszcze z czasów wojny bułgarskiej, sprawa, która zmusza mnie do emigracji. Póki jej ostatecznie nie załatwię, moja noga nie postanie w Warszawie.

Tymczasem jednak chciałbym Cię prosić, kochany Ignacy, byś był moją prawicą w stolicy nieszczęsnego naszego kraju. Pomysł bulwarów, o którym była mowa kiedyś, niezmiernie mi się podoba tym bardziej, kiedy patrzę na cudowne paryskie bulwary. Chciałbym go z Twoją pomocą wprowadzić w życie. Zgodzisz się?

Na koniec jeszcze tylko opowiem Ci, co działo się ze mną od ostatniego naszego spotkania. Faktycznie nosiłem się z zamiarem podróży dookoła świata, ale przed tak długą wycieczką postanowiłem pozalawiać ostatnie sprawy w ojczyźnie. Byłem w Zastawku. Pogrzebałem niewarte pamiętania wspomnienie.

Kiedym patrzył na zamkowe ruiny, gnące się w sile wybuchu jak drzewa wiatrem przyginane do ziemi, kiedym słyszał odgłos walących się murów i kiedym wreszcie zobaczył, że ów przeklęty kamień, na którym przesiadywałem z panną Izabelą, na pół się rozpękl, serce moje jakby wyrwało się z żelaznych kleszczy, a płuca były jakby ptak wypuszczony z klatki na wolność. Szedłem do oddalonej o kilka stajañ karety jak pijany, nie widząc nic i nie słysząc, płacząc jeno jak dziecko. Po tej jakże

skutecznej kuracji, nabrałem chęci, by jeszcze raz obejrzeć Paryż, który podczas mojego ostatniego pobytu przemknął mi przed oczami jakby jakieś szare malowidło, bez życia i koloru.

W Paryżu spotkałem się znów z Geistem, z którym razem chciałem poświęcić się nauce. Wygląda jednak na to, że Geist dostanie tylko moje pieniądze, ale nie moją duszę i ciało. Te przypadną w udziale pięknej pannie Marysieńce, którom ujrzał, spacerując po wystawie światowej. To wspaniała kobieta pochodzi z emigracyjnej rodziny i jest mi z nią tak, że wiem już, iż to ona!

Kończę, kochany Stary, żeby cię nie zamęczyć. Zapraszam Cię do Paryża. Za trzy dni podjedzie po Ciebie w nocy karetka, którą będzie powoził Paweł (ten sam, który list Ci przyniósł). Do zobaczenia w Paryżu!

Ściskam Cię najserdeczniej!

Twój

S.W.

Splakałem się jak dziecko i na duszy zrobiło mi się lekko! A więc nie miałeś racji, doktorze, udało się kochanemu Stachowi wykaraskać! Ma chłop szczęście w życiu. A i należy mu się ono za wszystkie cierpienia, których doznawał... Przerwę na chwilę, żeby trochę ochłonać, bo mnie, kiedy wspominam list Stacha, w piersiach kłuje, a potrzebuję teraz dużo siły. Podróż przecie przede mną...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

CO WIDAĆ PRZEZ SZKŁA LORNETKI Z OKIEN OPERY PARYSKIEJ

Szli przez paryski plac Opery w kierunku hotelu. Wysoki człowiek i niższa od niego dama. Deszcz zaczął mocno w twarz człowieka, który obserwował ich zza węgła. Szpieg obtarł z wody swoje cienkie jak szpady wąsiki, potem przetrął szkła lornetki chustką wyciągniętą z kieszeni. Pan Stanisław Wokulski, bo to on był pod obserwacją, wyglądał na zadowolonego. Wybijał swoją laską wesoły rytm na paryskim bruku, a od czasu do czasu robił nią w powietrzu kółko. Szpieg nie znał damy idącej u boku Wokulskiego. Kobieta co chwila obracała się w kierunku Wokulskiego i pan Maruszewicz widział jej piękne zęby, które ukazywała w uśmiechu. Podobała mu się.

- Nie czas teraz na amory - skarcił się wściekłym szeptem, przebiegł na drugą stronę ulicy i skierował się w stronę ciemnego o tej porze budynku Opery. Kiedy pan Stanisław ze swoją towarzyszką dochodzili do Grand Hotelu, on pukał w boczne drzwi sławnej sali teatralnej. Po chwili drzwi otworzyły się i Maruszewicza owionął ciężki, pełen kurzu zapach. Tajemniczy przewodnik, który mu otworzył, prowadził go labiryntem korytarzy do skrzydła Opery, z którego okien można było swobodnie obserwować hotel.

Kiedy dotarli na miejsce, Maruszewicz podziękował swojemu cicerone skinieniem głowy. Ten zostawił w pokoju długą, jakby od fletu, futerał i wyszedł ukłoniwszy się w pas. Maruszewicz zdjął przemokłe palto i wilgotny kapelusz i rzucił je w kąt pustego pokoju. Z kieszeni surduta wyjął flakon perfum i spryskał się nimi starannie. Z futerału zostawionego przez współnika wyjął statyw. Rozłożył go i ustawił pod oknem.

Statyw sięgał mu na wysokość oczu. Zamontował na statywie wyciągniętą z futerału czarną lunetę. Przetrął szkła i przyłożył oko do lunety. Chwilę obracał przyrządem, zanim okular wycelował w interesujące go okno.

Apartament Wokulskiego składał się z dwóch pokoi. Po prawej znajdował się salon. Zbytlowe meble oświetlał tylko ogień palący się na kominku. W tym pokoju nie było nikogo. Maruszewicz przesunął lunetę i zobaczył sypialnię. Na środku pokoju ujrzał malowniczą grupę. Wokulski ścisnął w ramionach kobietę. Po chwili kobieta wzdrygnęła się, jakby coś usłyszała. Pocałowała pana Stanisława w policzek i poszła w głąb pokoju. Maruszewicz nastawił ostrość i zobaczył, jak obserwowana pochyla się nad dziecięcym łóżeczkiem i wyciąga z niego płaczące niemowlę. Wokulski tymczasem podszedł do okna. Położył ręce na szybie i wpatrywał się w ciemność.

- Wie o mnie? - przestraszył się Maruszewicz. - Niemożliwe...

Zmienił ostrość tak, że widział teraz dokładnie twarz i czerwone ręce Wokulskiego.

- Obrączka! - syknął obserwator. - A więc ożenił się... No, no, stary jednak zmądrzał - zaśmiał się w duchu.

Tymczasem Wokulski wrócił na środek pokoju, gdzie stała jego żona z małym dzieckiem na ręku.

Maruszewicz nie widział twarzy, ale ponieważ kobieta uśmiechała się do niego, wywnioskował, że i Wokulski musiał uśmiechnąć się do niej.

„Uroczą sceną rodzinną, niech cię diabli!” - przeklinał w duszy Maruszewicz.

Wokulski pocałował żonę i dziecko. Położył rękę na jej policzku i wyszedł do salonu. Maruszewicz obrócił lunetę. Pan Stanisław usiadł na fotelu, łagodny wyraz jego twarzy stężał nieco, jakby o czymś usilnie myślał. Po piętnastu minutach wyczekiwania Maruszewicz zaniepokoił się:

- A może on tego nie ma?

Ale w tym samym momencie Wokulski wstał. Miał teraz wyraz twarzy tak dobrze znany Maruszewiczowi. Wyraz zdecydowania i siły. Wokulski podszedł do kominka i kucnął. Przyglądał się miejscu, w którym dywan łączył się z podestem kominka. Przeciągnął po nim ręką. Wstał i zdjął z kominka jakieś narzędzie. Zaczął nim operować przy dywanie.

- Wyciąga gwoźdźki - mruknął do siebie Maruszewicz.

Wokulski odciągnął dywan i ukazała się drewniana podłoga. W środku odkrytej powierzchni Maruszewicz zobaczył prostokąt skrytki.

- Do stu diabłów, ależ to było proste! - zaklął cicho.

Wokulski jakby usłyszał jego słowa i obrócił się nagle w stronę okna. Podszedł i zaczął wpatrywać się w ciemność. Przyłożył też ucho do szyby, ale nie usłyszał nic więcej nad krople deszczu bijące w okno.

Maruszewicz zakrył okular lunety ręką. Deszcz zaczął mocniej smagać okna, a w dalekiej stronie odezwał się pomruk zbliżającej się burzy.

- Tylko nie zaciągaj zasłon - błagał szeptem Maruszewicz.

Po dwóch minutach Wokulski uspokoił się i wrócił do przerwanej zajęcia. Opadł na kolana i sięgnął do dewizki od zegarka. Maruszewicz przyglądał się, jak Wokulski wyciągnął z kieszeni łańcuszek, na którego końcu nie było zegarka, ale złoty kluczyk. Otworzył skrytkę i wyjął z niej jakieś papiery.

Wtem zerwał się wiatr i wiosenny deszczyk przeszedł w nawałnicę. Uderzył piorun i rozświetlił plac Opery.

- Do diaska, zobaczy mnie - syknął Maruszewicz i rzucił się na podłogę pociągając za sobą statyw i lunetę. Kiedy delikatny przyrząd uderzył o podłogę, grube soczewki rozpadły się na tysiąc kawałków.

Wokulski zerwał się z kolan i podbiegł do okna. Znow patrzył w ciemność. Ale nic chyba nie zobaczył, bo po chwili wrócił do skrytki.

Maruszewicz był bliski płaczu. Podczołgał się do swojego palta i wyciągnął z niego lornetkę. W chwilę potem był przy oknie. Ostrożnie wychylił się ponad parapet i spojrzął. Musiał chwilę czekać, zanim ze szkieł zejdzie para. Kiedy w końcu znow zobaczył Wokulskiego, ten siedział odwrócony tyłem do okna i coś czytał. Maruszewicz widział tylko tył głowy pana Stanisława. Skierował szkła na skrytkę. Była pusta.

Wokulski siedział tak, że Maruszewicz zdołał przeczytać nagłówek pierwszej trzymanej przez niego strony:

„*Lista zdrajców narodu, ku przestrodze a baczeniu przyszłych pokoleń*”. Błyskawica znow rozświetliła paryskie niebo. Maruszewicz schował się za parapet. Kiedy wychylił się znowu, zobaczył to, na co czekał przez cały czas. Wokulski wrzucał do kominka kartki gęsto zadrukowane kolumnami nazwisk.

Kiedy Maruszewicz zobaczył, jak ostatnia kartka ginie w kominku, a Wokulski wstaje i pogrzebaczem poprawia palące się polana, odetchnął z ulgą:

- Dzięki, stary. Widzę, że się pan zmieniłeś...

Opadł z ulgą na podłogę, oparł się plecami o ścianę pod oknem i wyciągnął fajkę. Nabił ją,

zapalił i pyknął kilka razy.

- A więc wszystko skończone, stary dureń, ja bym takiej okazji nie zmarnował...

Rzucił jeszcze raz okiem na salonik państwa Wokulskich. Pan Stanisław siedział w fotelu. Z jego twarzy znikło napięcie. Palił fajkę i wesoło puszczał kółka dymu w kierunku sufitu. Drzwi musiały skrzypnąć, bo Wokulski obrócił się spokojnie od kominka w stronę ciemniejszej części pokoju. W kręgu światła bijącego od ognia ukazała się kobieta. Podeszła do Wokulskiego i położyła ręce na jego ramionach, pochyliła się i szepnęła mu coś do ucha. Pan Stanisław uśmiechnął się w sposób, którego Maruszewicz nie znał.

- No, dosyć tej sielanki. Zostawiam was, gołąbeczki - mruknął do siebie.

Pozbierał swoje rzeczy i wyszedł z pokoju. Odnalazł przewodnika.

Kiedy wyszedł na ulicę, podniósł kołnierz palta i znalazł dorożkę. Kazał wieźć się na Gare du Nord. Po drodze Maruszewicza dopadło nie wiedzieć skąd uczucie złości. Począł tłuc swoją laską w siedzenie naprzeciwko. Dorożka zatrzymała się i do okienka podszedł woźnica:

- Czy coś wam się stało, panie? - zapytał człowiek w przemokłej od deszczu czapce.

- Nic mi nie jest - odburknął Maruszewicz. - Czemu się zatrzymujesz, spóźnię się na pociąg.

- A tak, panie, już ruszamy - powiedział przestraszony woźnica i wskoczył na kozioł. Świsnął bat i dorożka znowu poczęła wybijać swój smętny rytm na paryskich brukach.

Maruszewicz zobaczył przez okienko płonący światłami dworzec i zrobiło mu się lepiej. Kupił bilet i przeszedł na peron, gdzie czekał na niego pociąg do Warszawy. Para buchała już spod kół lokomotywy.

Maruszewicz odnalazł swój wagon, wspiął się na schodek i odwrócił w stronę peronu.

- Plugawe miasto - warknął i splunął przez ramię na peron.

„A teraz do Warszawy, do domu, do życia” - pomyślał, kiedy umiejscowił się w wygodnym fotelu przedziału pierwszej klasy. Marzenia o pieniądzach, które miał otrzymać od grupy wpływowych osób i światowym życiu, do którego wydawał się sam sobie stworzony, uspokoiły go i ukołysały do snu.

Nie zobaczył już, jak burza, która wstrząsała jeszcze przed chwilą stolicą Francji, poczęła się przesuwać w kierunku wschodnim. Nad placem Opery świeciły gwiazdy, obiecując mieszkańcom Paryża spokój i piękny dzień.

Burza biegła za pociągiem niosącym śpiącego pana Maruszewicza ku Warszawie. Deszcz siekł szyby wagonów. Błyski piorunów co chwila wypełniały bladą poświatą przedziały wypełnione pasażerami. Pociąg trzeszczał, ale wybijał monotennie coraz to nowe sekundy swej drogi. I tylko co wrażliwsi pasażerowie narzekali bladym wiosennym świtem na niewyspanie i niewygody podróży.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

DZIWNY DOM I JEGO MIESZKAŃCY * JEGO LUDZIE * SZANTAŻYSTA * STRATA * NIESPODZIEWANE
SPOTKANIE PO LATACH * PACJENCI I LEKARZE * „SZAJKA WOKULSKIEGO” * KTO POCIĄGAŁ ZA
SZNURKI * HERBATKA U PRAWNUCZKI * WYJAŚNIENIA * PAN SAMOCHODZIK OPOWIADA

- To tu - warknął Piekalkiewicz, kiedy po długiej jeździe stanęliśmy przed starym, piętrowym pałacym na obrzeżach Warszawy.

Wysiedliśmy z samochodów. Słońce chyliło się już za horyzontem. Poszliśmy aleją wysadzaną topolami w kierunku pałacyku. Generał Skorliński rozstawił swoich ludzi wokół budynku. Kiedy wszystko było gotowe, przyłożył do ust megafon i powiedział:

- Tu Skorliński z policji! Dom jest otoczony. Wychodzić z rękami na karkach. Powtarzam.. - ale nie musiał powtarzać. Stare drzwi zaskrzypiały i z domu wyszedł starszy człowiek z rękami uniesionymi do góry.

- To są ci twoi „ludzie”? - zapytał policjant Piekalkiewicza, ale bandyta zacisnął zęby i z wściekłością patrzył na swoje buty.

Brygada antyterrorystyczna sprawdziła dom. Okazało się, że nie ma w nim więcej uzbrojonych bandytów, jest tylko ósemka zaginionych i poszukiwanych przez policję osób. Weszliśmy do domu. Jego wystrój mógł szokować. Każdy mebel i ozdoba były zabytkiem. Po schodach, wyłożonych czerwonym dywanem, weszliśmy na piętro do sali balowej, w której, w kominku znajdującym się naprzeciwko drzwi, palił się wesoło ogień. Tu zgromadzili się wszyscy zaginionieni. W drzwiach pojawił się Piekalkiewicz i ludzie przebrani w dziewiętnastowieczne stroje zbili się w grupkę. Kiedy jednak ujrzeni, że po jego bokach idą dwaj uzbrojeni policjanci, nabrali odwagi i zaczęli wskazywać go palcami. W końcu jedna z kobiet wyszła przed swoich towarzyszy i celując palcem w Piekalkiewicza powiedziała:

- To on nas porwał i uwięził, on, Czarny Cylinder! - ta wypowiedź ośmieliła resztę więźniów Piekalkiewicza. Głośno krzycząc i wskazując go palcem, zaczęli zacieśniać wokół niego krąg. Piekalkiewicz najpierw pochylił głowę, jakby dopadły go wyrzuty sumienia, ale potem ryknął jak lew, rozbił łańcuch utworzony z ludzi i rzucił się na Pana Samochodzika. Wyrwał mu z rąk szkatułkę z rękopisem, otworzył ją i przypadł do kominka. Ogień oświetlił jego twarz nadając jej straszny, obłąkany wyraz. Policjanci już mieli do niego skoczyć i obezwładnić go, kiedy Piekalkiewicz zbliżył rękopis do ognia i powiedział strasznym głosem:

- Odradzam. Moje warunki są proste. Pozwolicie mi stąd odejść albo dwa ostatnie rozdziały „Lalki” pójdą z dymem.

Zapadła cisza, którą przerwały czyjeś kroki. Wszyscy patrzyliśmy na Piekalkiewicza i dlatego nie dostrzegliśmy dwóch antyterrorystów, którzy rzucili się na profesora. Walka trwała chwilę. Kiedy kłębowisko ciał zatrzymało się, ujrzyliśmy, że Piekalkiewicz leży na podłodze, unieruchomiony przez policjantów. Szukałem wzrokiem rękopisu, ale nie znalazłem go ani w rękach policjantów, ani w dłoniach Piekalkiewicza. Z przerażeniem spojrzałem do kominka. Ogień trawił

bezcenny manuskrypt. Piekałkiewicz zaczął się obłąkańczo śmiać. Przy wtórze jego śmiechu podbiegliśmy do kominka.

Profesor Geist, przykucnąwszy przed paleniskiem próbował wyciągać z ognia strzępy manuskryptu.

Załóżyl w tym celu rękawiczki, ale było za późno. Rękopis przepadł. W tym momencie skrzypnęły drzwi do salonu i pojawiło się w nim dwóch gości. Jeden był wysokim, siwym mężczyzną z elegancko przystrzyżonym wąsem i muszką pod szyją. Za nim człapał niski i gruby mężczyzna w wymiętym, tweedowym garniturze. Głowa drugiego przybysza była obwiązana bandażem. Niski człowieczek ustawicznie poprawiał opadające mu na nos okulary. Pan Tomasz podbiegł do wysokiego mężczyzny.

- Witam, profesorze! - wykrzyknął uradowany.

- Dzień dobry, panie Tomaszu. Miło znów pana widzieć, przybyłem jak tylko mogłem najszybciej...

- Szanowni państwo, przedstawiam państwu mojego drogiego przyjaciela, profesora Ziębę.

Sławny psychiatra uklonił się nisko.

- Miło mi państwa poznać - ogarnął nas wszystkich wzrokiem, a potem zwrócił się w kierunku kominka i głosem, w którym była autentyczna radość spotkania, zaprawiona jednak goryczą, powiedział: - Witaj, Teodorze.

- Popatrzyliśmy w tamtą stronę.

- Do kogo pan mówi, profesorze? - odezwał się Andrzej. - Przecież tu nie ma żadnego Teodora.

- Ależ jest! - profesor nie dał zbić się z tropu. - Przecież ten człowiek - wyciągnął rękę i wskazał na profesora Geista - ten człowiek... to Teodor Ochorowicz, mój najgenialniejszy uczeń - jego głos załamał się i przeszedł niemal w szept - i moja największa porażka.

- Nie znam pana - odezwał się Geist. - Odpowie pan za to oszczerstwo przed sądem.

- Naprawdę, Teo, nie znasz mnie? - w głosie profesora pojawiła się lekka drwina. - A może pokażesz wszystkim państwu swoją bliznę na dłoni, którą tak przemyślnie ukryłeś pod rękawiczką?

Profesor Geist milczał. Jego oczy zmieniły swój wyraz. Nie było w nich już świętego oburzenia, którym pałały przed chwilą. Patrzyły za to na nas oczy dziecka, które złapano na tym, jak wykrada jabłka z sadu sąsiada. Geist spiął się w sobie i powoli zaczął się wycofywać. Oparł się o ścianę i zaczął szukać na niej czegoś ręką.

- On ucieknie! - wykrzyknąłem. I w tym samym momencie Geist znalazł to, czego szukał. Trzasnęła zapadka ukrytego w ścianie mechanizmu i w murze ukazała się szczelina wysokości drzwi, która w ciągu dwóch sekund rozszerzyła się. Rzuciliśmy się w stronę Geista. ale było za późno.

- Adieu! - krzyknął, śmiejąc się profesor i zniknął w szczelinie, która zamknęła się za nim. Znów trzasnęła niewidzialny zamek.

Przypadliśmy z panem Tomaszem do drzwi. Szukaliśmy właśnie dźwigni uruchamiającej tajemne przejście, kiedy nad naszymi głowami znów trzasnęła zapadka i drzwi gwałtownie się otwały. Najpierw pojawił się skurczony Geist-Ochorowicz, a za nim ogolony na łyso ogromny dryblas, który kilka minut wcześniej wyszedł do toalety. Na jego twarzy, przez którą, od ust, aż do dołka w podbródku biegła blizna, malowała się siła. Popychał Ochorowicza ogromnymi rękami.

- Zdejmij rękawicę - burknął do swego więźnia.

Ochorowicz milczał. Olbrzym chwycił go za nadgarstek prawej ręki. Teodor miotał się jak ryba i drugą ręką próbował rozczepić wiążące go palce, ale uścisk dryblasa był zbyt silny. Nie zważając na

usiłowania Ochorowicza olbrzym metodycznie ściągnął z ręki hipnotyzera rękawiczkę i odrzucił ją w kąt. Ochorowicz ścisnął dłoń w pięść. Olbrzym chwycił jego palce i bez trudu odgiął je tak, że mogliśmy zobaczyć wewnętrzną stronę dłoni Teodora. Na jego ręce widać było wypalony żywym ogniem kwadrat magiczny.

Siedzieliśmy w mieszkaniu prawnuczki Feliksa Pawłowskiego. Wokół stołu zgromadzili się niemal wszyscy uczestnicy wydarzeń w starym domu. Oprócz mnie i Pana Samochodzika byli tam generał Skorliński, Nina, którą po przesłuchaniu zwolniono, profesor Zięba, prawdziwy profesor Geist, którym okazał się być jegomość przybyły do dziwnego domu razem z profesorem Ziębą, profesor Jordanek i Andrzej Węgiełek. Wszyscy sączyli herbatę i zagryzali ją ciasteczkami, słuchając opowieści profesora Zięby:

- Wykładałem psychiatrię kliniczną na Uniwersytecie Warszawskim dwadzieścia lat temu - rozpoczął swoją opowieść profesor Zięba - to był ostatni mój rok na uczelni. Miałem zacząć pracę jako ordynator szpitala, a praca akademicka tylko by mi w tym przeszkadzała. Zresztą nie dawała mi satysfakcji. Podczas dziesięciu lat spędzonych na uczelni nie odkryłem żadnego prawdziwego talentu i, powiem szczerze, byłem rozczarowany i zniechęcony. I wtedy go spotkałem. Był na piątym roku psychiatrii. Jego prace oszołomiły mnie. Miał niezwykle talent analityczny i ogromną wiedzę. W jego oczach był entuzjazm. Kiedy skończył się pierwszy semestr i na egzaminach wyprzedził wszystkich innych studentów o kilka długości, postanowiłem sprawdzić jego umiejętności praktyczne. Zaprosiłem go do współpracy z katatonikami, czyli ludźmi, którzy pozostają przez cały czas w stanie całkowitego otępienia i nie reagują na żadne bodźce zewnętrzne. Ochorowicz postanowił zastosować hipnozę i na nic były moje protesty, że w wypadku katatoników hipnoza na nic się nie przydaje. Postanowił spróbować. Chciał zająć się najgorszym przypadkiem w szpitalu. Zgodziłem się. To był pacjent, który w katatonii pozostawał od dziesięciu lat.

Próbowano mu pomóc stosując cały arsenał środków, dostępny ówczesnej psychiatrii klinicznej. Nie było żadnych efektów. Zaprowadziłem do niego Ochorowicza. Weszliśmy do pokoju, usiadłem na krzeselku obok drzwi, a Teodor podszedł do niego. Zastosował jakąś dziwną mieszankę hipnozy, mesmeryzmu, akupunktury i masażu. Masował pacjentowi nadgarstki, mówił do niego, patrzył w puste oczy, nakłuwał mu skórę w okolicach uszu i skroni, przykładał do czoła magnesy. Pierwsze trzy godziny nie przyniosły żadnego efektu. Ale potem zdarzył się cud! Ochorowicz stanął przed pacjentem i wyciągnął w jego kierunku dłonie. Mocnym głosem kazał mu podnieść rękę i człowiek, który przez ostatnie dziesięć lat nie dawał żadnego znaku, że dociera do niego jakikolwiek komunikat ze świata zewnętrznego, podniósł rękę! Wtedy zrozumiałem, że mam do czynienia z geniuszem.

Kiedy Ochorowicz skończył studia, zaproponowałem mu współpracę w moim szpitalu. Ku mojemu zadowoleniu zgodził się. Zaznaczył jednak, że musi mieć czas na próby w eksperymentalnym teatrze, który stworzył jeszcze na studiach. Niechętnie, ale zgodziłem się. Znałem ten teatr. Przedstawienia, które tam pokazywano, były rodzajem psychodram. Niektórych aktorów hipnotyzowano przed grą, inni wprowadzali się w trans, nie zawsze zresztą naturalnymi środkami.

Przedstawienia tego teatru, na przykład „Dziady” Mickiewicza, robiły ogromne wrażenie. Aktorzy byli sugestywni, a całą inscenizację spowijał jakiś metafizyczny nimb. Uważałem, że metody stosowane w teatrze są nieetyczne i groźne.

Po kilku miesiącach teatr został rozwiązany. Jedna z aktorek wpadła w obłęd, a teatrem zainteresowała się policja. Nikomu jednak nie postawiono zarzutów i teatr mógł działać dalej.

Członkowie teatru postanowili go jednak rozwiązać. Od tego momentu Ochorowicz rzucił się w wir pracy. Prawie nie spał i bez przerwy zajmował się pacjentami. Ostrzegałem go, żeby się oszczędzał. On jednak pracował bez ustanku. Mieszkał w klinice.

Pewnego razu wróciłem do szpitala o drugiej w nocy, bo zapomniałem jakichś papierów, potrzebnych do pisanego przeze mnie artykułu, który musiałem skończyć na rano. Nie zastałem Teodora w jego gabinecie. Pielęgniarka wskazała mi salę, w której przebywał. Kiedy tam wszedłem, przeraziłem się. Grupa schizofreników siedziała w kole. Twarze mieli pomalowane w dziwne, przypominające indiańskie maski, wzory. Intonowali jakąś dziwną, nieznaną mi inkantację. W środku koła stał Ochorowicz. Na głowie miał pióropusz, na twarzy maskę. Ręce trzymał wzniesione ku górze. Krzyczał. Zauważył mnie dopiero po chwili.

Pstryknął palcami i chorzy przestali nucić. Przedarł się przez krąg i podszedł do mnie. Zdjął maskę. Z jego twarzy nie zszedł jeszcze rumieniec wysiłku. Był zmieszany. Czekał na moją reakcję. Milczałem. Gestem wskazałem mu, żeby poszedł za mną do gabinetu. Staralem mu się wytłumaczyć, że to co robił było błędem. Zaoponował, powiedział, że najważniejsze jest dobro pacjentów. Zapytałem go wtedy, czy zdaje sobie sprawę, że stosowanie jakichś nie do końca poznanych metod z pogranicza medycyny, może spowodować skutki uboczne, których on sam, chociaż bardzo uzdolniony, nie będzie w stanie przewidzieć i nad nimi zapanować. To go chyba przekonało. Zgodził się ze mną.

Teodor się zmienił. Bardziej dbał o siebie. Nie nocował już w klinice, nie brał nadgodzin. Znalazł sobie dziewczynę. Dopuszczałem go do coraz trudniejszych przypadków. W końcu pozwoliłem mu znów pracować bez mojej superwizji.

Tu muszę na chwilę odbiec od mojego opowiadania i wyjaśnić państwu, że wszyscy pacjenci mojego szpitala trafiali najpierw do mojego gabinetu. Po wstępnej rozmowie i diagnozie decydowałem, który z lekarzy zajmie się dalszą terapią.

Pewnego razu przywieziono do naszego szpitala pacjenta z dziwnymi objawami. Był to profesor, polonista. Nie przyszedł do pracy w któryś poniedziałek i nikogo nie zawiadomił o powodach swojej absencji, chociaż wcześniej zawsze to robił. Koledzy zaczęli się o niego niepokoić w środę. Poszli do jego mieszkania. Nikt nie otwierał. Wyważyli drzwi. Zastali swojego kolegę w kuchni, siedzącego nad jakimś rękopisem. Miał podkrążone oczy, jakby nie spał kilka dni. Jego włosy, zazwyczaj starannie uczesane, były w nieładzie, a na twarzy miał kilkudniowy zarost. Kiwał się w przód i w tył, jak dziecko, które cierpi na chorobę sierocą i powtarzał w kółko jedno zdanie: - Dlaczego oni mu to zrobili?

Trafił do nas. Nazywał się Rafał Piekalkiewicz. Rękopis, nad lekturą którego go znaleziono, zawierał wspomnienia jego pradziadka, Mariana Piekalkiewicza. Kiedy przeczytałem rękopis, zrozumiałem zachowanie mojego nowego pacjenta. Jego pradziadek opisywał, jak został skompromitowany, bo wyszły na jaw jego powiązania z carską ochroną. Marian Piekalkiewicz uważał, że informacje o tym, że jest agentem, wydostały się na światło dzienne za sprawą spisku, na czele którego stał Bolesław Prus. Piekalkiewicz udał się do wielkiego pisarza. Autor „Lalki” tłumaczył mu, że do wycieku informacji doszło przypadkowo.

Wyjawił mu, że rzeczywiście ma listę agentów wśród polskiej arystokracji i kupiectwa, ale że nigdy by jej nie użył, żeby doprowadzić do cywilnej śmierci kogokolwiek, nawet jeśli nie wiadomo, jak bardzo ów człowiek byłby winny. Tłumaczył Piekalkiewiczowi, że chciał odwiedzić wszystkich wymienionych na liście i namawiać ich, oczywiście w dyskretny sposób, by zerwali swe związki z

ochroną. Powiedział też, że informacje wyciekły pewnie przez służbę. Przyznał, że raz zostawił listę na biurku i to pewnie wtedy ktoś przeczytał nazwisko Piekalkiewicza na liście i rozpuścił w mieście plotkę. Piekalkiewicz poprosił Prusa, żeby ujawnił całą listę. Po pierwsze, argumentował, nie chce cierpieć sam, a po drugie, kiedy wyda się, ile osób i jak wysoko, wyżej niż on sam, Piekalkiewicz, postawionych pomagało ochrone, może jego i jego rodzinę zostawią w spokoju. Prus nie zgodził się na to. Oferował Piekalkiewiczowi pomoc i zapowiadał, że spali listę. Rozmowa zakończyła się trzaśnięciem drzwiami. Najbardziej przerażający był jednak koniec rękopisu, w którym Marian Piekalkiewicz nakazywał swym potomkom wytropienie i wywarcie zemsty na potomkach Prusa i jego pomocnikach, których jednak nie wymieniał z nazwiska.

Poszedłem z rękopisem do mojego przyjaciela, który był specjalistą od starych dokumentów w Archiwum Głównym Akt Dawnych. Jego ekspertyza zaszokowała mnie. Rękopis Piekalkiewicza był genialnym fałszerstwem! Do jego sporządzenia użyto papieru i atramentu z epoki. Kaligrafia i styl odpowiadały temu jak pisano pod koniec XIX wieku w zaborze rosyjskim. Realia były odtworzone idealnie, nawet postać Mariana Piekalkiewicza była prawdziwa, ale dokładne badania pokazały, że dokument musiał zostać sporządzony współcześnie.

Próbowałem przekonać profesora Piekalkiewicza, że dokument jest fałszywy, ale sugestia, której uległ, była zbyt silna. Na szczęście po podaniu leków trochę się uspokoił i był w stanie odpowiadać na pytania.

Twierdził, że rękopis trafił do niego dzięki „ręce opatrnościowej”, jak to sam nazywał. Mówiąc wprost, w niedzielę wieczorem znalazł rękopis na wycieraczkę swego mieszkania i przeczytał go. Tekst zrobił na nim takie wrażenie, że wpadł w częściową katatonię. Postanowiłem jego terapię powierzyć Ochorowiczowi. Cóż to był za błąd! Chyba nigdy tego sobie nie wybaczę! Ochorowicz nie chciał się początkowo zgodzić, co tylko utwierdziło mnie w tym, że to właśnie on powinien zająć się terapią. Po dwóch tygodniach sesji hipnozy Piekalkiewicz poczuł się lepiej. Jadł chętnie, wysypiał się. Nie ingerowałem w to, co robi Ochorowicz.

Pewnego jednak dnia coś mnie tknęło i przystanąłem przed drzwiami jego gabinetu. Nigdy tego nie robię, ale tym razem przyłożyłem ucho do drzwi i podsłuchiwałem. Piekalkiewicz był zahipnotyzowany, poznałem to po jego sennym głosie, którym odpowiadał na pytania Ochorowicza.

- Opowiedz mi jeszcze raz, jak bardzo nienawidzisz prześladowców twego przodka... - zachęcał pewnym głosem Ochorowicz.

- Chciałbym się zemścić, chciałbym, żeby cierpieli tak samo, jak mój pradziad - odpowiedział Piekalkiewicz.

- Ja ci w tym pomogę. Pomogę ci w zemście, w zamian za to ty będziesz mnie słuchał we wszystkim i będziesz wypełniał moje polecenia.

Chciałem wejść i przerwać ten seans nienawiści urągający wszelkim normom etyki, jednak, żeby nie wybudzać pacjenta z transu i nie szkodzić jego i tak nadwerężonej psychice, poszedłem do siebie. Po półgodzinie zaszedłem do Ochorowicza. Był sam w gabinecie. Rzuciłem mu na stół wymówienie i powiedziałem, że od jutra nie chcę go widzieć w swoim szpitalu. Zagroziłem mu, że jeśli będzie próbował jeszcze zajmować się psychiatrią, ujawnię to, co robił z Piekalkiewiczem. Wtedy zobaczyłem jego prawdziwą twarz. Pod maską układności i grzeczności kryła się twarz rozwścieczonego dziecka z oczami ziejącymi nienawiścią. Po chwili opanował się i ze śmiechem wyszedł z gabinetu. Patrzyłem przez okno, jak wsiada do swojego samochodu i odjeżdża. Ja sam także wkrótce opuściłem klinikę i pojechałem do domu.

- Przepraszam, profesorze - przerwał opowieść psychiatry Skorliński - jaki to był wóz, czy czasami nie czarny opel vectra?

- Skąd pan wie? Ale wróć jeszcze do opowieści, chociaż niewiele tego zostało. Przyjechałem do kliniki następnego dnia rano. Błada ze strachu pielęgniarka oddziałowa powiedziała, że Rafał Piekalkiewicz zniknął. Tknięty złowieszczym przeczuciem zadzwoniłem do Ochorowicza. Nikt nie odbierał. Pojechałem do niego do domu. Drzwi były otwarte. W pokoiku panował chaos. Różne części garderoby walały się po podłodze, szuflady były powysuwane, a drzwi szafy pokazywały puste wnętrza. Wyglądało na to, że właściciel pakował się w pośpiechu. Zawiadomiłem policję. Ale ani Rafała Piekalkiewicza, ani Teodora Ochorowicza nie widziałem aż do dzisiaj.

Opowiadanie zmęczyło profesora. Napił się wody z karafki stojącej na stoliku i odetchnął głęboko.

Potem wyjął z kieszeni marynarki chustkę z monogramem i otarł nią czoło.

- Może ja będę kontynuował - odezwał się Skorliński - bo wydaje mi się, że pańskie opowiadanie wiąże się dosyć ściśle z działalnością „szajki Wokulskiego”, na którą polujemy bezskutecznie od trzech lat.

- Przepraszam pana, jeszcze tylko jedna sprawa - przerwał mu Zięba. - Śledztwo w sprawie zniknięcia, które podjęła policja, miało swoje dobre strony. Kiedy przeszukano mieszkanie Ochorowicza, znaleziono w nim sprzęt do podrabiania dokumentów. Zbadano rękopis i stwierdzono, że musiał być wykonany z pomocą tych narzędzi. Hipotezę ostatecznie potwierdziły odciski palców. Na rękopisie były odciski Piekalkiewicza, moje i Ochorowicza, chociaż nigdy mu go nie pokazałem i trzymałem w swoim domowym sejfie, do którego Teodor na pewno nie miał dostępu. To wszystko.

- Wydaje się, że pana opowieść wyjaśnia, przynajmniej częściowo, genezę „szajki Wokulskiego” i pokazuje, kto tu naprawdę zawinił. Początkiem tej sprawy było porwanie młodej panny Rostockiej. Pamiętają państwo tę sprawę? - kiwnęliśmy głowami, trzy lata temu ta sprawa nie schodziła z okładek gazet przez miesiąc. - Rostocka zniknęła w Wigilię, trzy lata temu. Zrozpaczeni rodzice zadzwonili do nas.

Założyliśmy podsłuchy, obserwowaliśmy dom. Ale porywacze odezwali się przez Internet. Rodzice Rostockiej dostali e-maila z jej zdjęciem. Ich córka była ubrana na dziewiętnastowieczną modłę, ale w rękach trzymała aktualną gazetę. Porywacze zażądali dziesięciu tysięcy złotych i zerwania kontaktów z policją. Przesłane podpisywał się jako „Stanisław Wokulski”. Pieniądze miały zostać przekazane w nietypowy sposób. Rodzice mieli je zostawić następnego dnia w Łazienkach, przy pomniku Chopina.

Urządziliśmy zasadzkę. Niestety, nie udało nam się schwycić przestępców. Uciekli w głąb parku i w ciemnościach zgubiliśmy ich ślad. Jeden z moich podwładnych, który biega najszybciej, zdołał zobaczyć jednego z bandytów. Był to wysoki człowiek w palcie i cylindrze. Niestety, mój podwładny potknął się i przestępca zniknął w ciemnej alejce. Na pomniku Chopina znaleźliśmy tylko taką wizytówkę - Skorliński wyciągnął z torby foliową torebkę z prostokątnym kartonikiem, na którym widniał napis:

STANISŁAW WOKULSKI

kupiec bławatny

magazyny: Krakowskie Przedmieście 7 i 9

dom: Krakowskie Przedmieście 4 m. 2

Następnego dnia znów przyszedł e-mail. Znów ze zdjęciem. Młoda Rostocka siedziała tak jak na poprzednim zdjęciu, tyle że na tle czegoś w rodzaju kurtyny. Trzymała w rękach gazetę z aktualną datą. Na wysokości szyi dziewczyny zza kurtyny wystawała ręka z nożem, którego ostrze dotykało szyi dziewczyny.

Porywacze żądali tym razem dwudziestu tysięcy i znów grzecznie prosili o to, żeby nie kontaktować się z policją. Zapowiadali, że o miejscu przekazania pieniędzy powiadomią następnym razem, kiedy już Rostoccy pozbędą się policji. Stało się zadość ich życzeniu. Rostoccy odmówili dalszej współpracy. Dzięki nowoczesnym metodom dowiedzieliśmy się, że zapłacili porywaczom, a oni w zamian za to przysłali im kolejne zdjęcie córki, tym razem bez strasznej ręki, uzbrojonej w nóż. Porywacze zamilkli na miesiąc. W następnym mailu żądali kolejnych dziesięciu tysięcy, na, jak to określili, potrzeby córki. Rostoccy płacili bez szemrania przez trzy lata. Takich porwań był jeszcze siedem. Wszyscy porwani znajdują się w tym domu.

Scenariusz powtarzał się za każdym razem. Najpierw zrozpaczeni rodzice zwracali się do nas, potem dostawali e-maila ze zdjęciem swojego dziecka, pod którego szyją błyskał złowieszczo nóż i zrywali współpracę. Postanowiłem wówczas zmienić taktykę poszukiwań. Zleciłem naszemu działowi analiz, żeby sprawdził, czy ofiary porywaczy coś łączyło. Efekty były zaskakujące. Okazało się, że we wszystkich wypadkach chodziło zawsze o dalszych lub bliższych poloników rodzin Słonimskich, Węgiełków lub Pawłowskich, Wtedy nic nam to jeszcze nie mówiło, ale teraz, kiedy zdołaliśmy pojmać zbrodniarzy i wyszły na jaw motywy ich działania, możemy się domyślać, jak cała rzecz przebiegała.

- Porywał dla okupu - wtrącił się pan Tomasz - ale sam miał czyste ręce, bo całą brudną robotę wykonywał za niego zhipnotyzowany, żądny zemsty Piekalkiewicz! To właśnie dla Piekalkiewicza urządzony był ten cały cyrk z przebieraniem się za bohaterów „Lalki” i więzieniem ludzi w domu z XIX wieku. Ale skąd Ochorowicz dowiedział się o rękopisie Prusa?

- Bo sam był spadkobiercą jednego ze spiskowców - odparł Skorliński - w jego domu odnaleźliśmy listy Prusa do Ochorowicza i to - rzucił na stół przerysowany za pomocą ołówka, wizerunek składającego się z czterech części talizmanu.

16 3 2 3

5 10 11 8

9 6 7 12

4 15 14 1

N52° 10'14”

E21° 05'28”

- Myślę, że na trop zagadki wpadł już wcześniej - odezwał się profesor Jordanek i opowiedział nam, co stało się w getcie, kiedy młody Ochorowicz zadeklarował się uratować jego rodzinę - nawet mi się to ostatnio śniło... - zamyślił się na chwilę. - Pewnie zobaczył taką blaszkę u ojca albo wuja i kiedy ujrzał moją, zrozumiał, że to pewnie wskazówka, jak odnaleźć skarb. Czym jest ten skarb, zrozumiał dużo później, a działać zaczął dopiero całkiem niedawno, jakiś miesiąc temu.

- Ale czym zajmował się wcześniej, musiał przecież z czegoś żyć? - wtrąciła się Nina.

- Wcześniej prowadził nielegalną praktykę psychiatryczną tłumaczył Skorliński. - Znaleźliśmy już kilku jego pacjentów. Co ciekawe, większości z nich chyba pomógł... Wyobraźcie sobie państwo, prowadził nawet wewnętrzną księgowość. W jego zapiskach pojawiają się też wpłaty od rodziców

porwanych ludzi. Co ciekawe, nic z tych pieniędzy nie uszczknął aż do ostatniego tygodnia. Gromadził je wszystkie na koncie, które jest teraz sprawdzane. Wiem już jednak na pewno, że w ciągu ostatniego tygodnia podjęto z niego ogromne sumy, między innymi w Paryżu. Podejrzewamy, że Ochorowicz zgromadził te pieniądze, żeby użyć ich dopiero przy poszukiwaniach rękopisu. Zdawał sobie doskonale sprawę, że będzie musiał działać szybko i dość brutalnie, a jego działania mogą spowodować nieznaną zupełnie reperkusje i wydatki. Jak się okazało, nie pomylił się.

- Mówię, że zaczął działać jakiś miesiąc temu - wtrącił się profesor Jordanek - bo wtedy zjawiał się u mnie pewien dziennikarz, który koniecznie chciał rozmawiać o „Lalce”. Wszystko wydawało się w porządku, jednak mój gość zaczął schodzić na coraz bardziej zaskakujące tematy. Zapytał mnie o pierwowzory Ochockiego, Szumana i Węgiełka, a w końcu Wokulskiego. Ale podejrzeń nabrałem dopiero wtedy, gdy rozmowa zesłała na temat sprzysiężenia. Wykręciłem się brakiem czasu i zakończyłem rozmowę, ale pięć dni temu, sami państwo wiedzą, zostałem porwany!

- Ale po co? - zapytałem.

- Ochorowicz postanowił zadziałać jak Aleksander Wielki i przeciąć węzeł gordyjski w najprostszy możliwy sposób. Chciał skompletować blaszki i w ten sposób dotrzeć do skarbu. Sam miał jedną. No, półtora, ale blizny na jego ręce nie liczę, bo miał pecha i odbił się na niej kwadrat magiczny. Najpierw chciał ukraść blaszkę pani Pawłowskiej, ale okazało się, że nie da się tego zrobić bez rozgłosu, w dodatku Piekałkiewicz musiał się pomylić i pokazał pani Pawłowskiej nie blaszkę Ochorowicza, ale duplikat blaszki profesora Jordanka, wykonany na podstawie tego, co odbiło się na ręce Teodora w getcie. Musiał działać inaczej. Sprokurował więc ogłoszenie o dwóch ostatnich rozdziałach „Lalki” i czekał na reakcję. Złapałem się na ten haczyk. Ochorowicz nie mógł mnie wypuścić z rąk, dopóki nie dotarł do skarbu. Wtedy los mój i reszty więźniów byłby mu już obojętny...

- I prysnąłby z rękopisem za granicę - wtrącił triumfalnie Skorliński. - Znaleźliśmy u niego w kieszeni bilet na lot w jedną stronę do Rio de Janeiro. Nie chciał nikogo zabijać. Interpol z mniejszą gorliwością poszukiwałby porywacza i złodzieja zabytków niż mordercy...

- Niestety, przypadkowo my weszliśmy mu w drogę i pokrzyżowaliśmy plany - odezwał się pan Tomasz. - Musiał improwizować. Najpierw chciał nas powstrzymać przed otwarciem sejfu profesora, a kiedy mu się to nie udało, zaczął nas śledzić, zresztą z pomocą jednej obecnej tu osoby, której czyny nie do końca są dla nas jasne - pan Tomasz spojrzał na Ninę, której bladą twarz pokrył rumieniec.

- Przepraszam, że się nie ujawniłam od razu - Nina mówiła cicho - jestem agentką Interpolu. Kilka miesięcy temu otrzymaliśmy nietypowe zgłoszenie. Wywiad rosyjski zawiadomił nas, że ktoś w archiwach rosyjskich poszukuje informacji na temat Feliksa Pawłowskiego. Postać ta była znana Rosjanom. Wiedzieli, że miał powiązania ze środowiskami niepodległościowymi i w jego ręce wpadła lista agentów ochrony działających na terenie Warszawy w drugiej połowie XIX wieku. Rosjanie wpadli w panikę. Znali tę listę, bo mieli jej kopię w swoich archiwach. Twierdzili, że może być groźna dla bezpieczeństwa międzynarodowego.

Były na niej nazwiska kilku prominentnych polityków, nie tylko rosyjskich. Gdyby wyszło na jaw, że ich rodziny miały coś wspólnego z ochroną mogli przestać być wiarygodni dla partnerów. Początkowo nikt w Interpolu nie chciał im uwierzyć, kiedy jednak nasz szef zobaczył tę listę w Moskwie, wrócił przerażony i postanowił natychmiast włączyć się do sprawy. Wezwał mnie z placówki na Syberii do Polski. Byłam idealna do tego przedsięwzięcia, bo, jak panowie wiedzą,

należę do rodziny Pawłowskich. Nasi ludzie namierzyli Ochorowicza, bo to on przeprowadzał kwerendę na temat Pawłowskiego w rosyjskich archiwach.

Udało mi się z nim skontaktować i wkraść w jego łaski. Ale Teodor Ochorowicz był ostrożny. Nie dowierzał mi. Nie spotykał się ze mną, rozmawiał tylko z budek telefonicznych. I wtedy panowie - tu zwróciła się w naszą stronę - spadli mi jak z nieba. Szpiegowałam was dla Ochorowicza i w ten sposób zyskałam jego zaufanie. Poznałam numer jego komórki i od tej pory kontaktowałam się z nim za pomocą telefonu. Dlatego znał nasz każdy krok. Z drugiej strony jednak wiedziałam, że nic wam nie grozi, bo dzięki kontaktom z Ochorowiczem udało się nam go namierzyć i od trzech dni był obserwowany przez naszych ludzi. Mój osobisty udział był jednak ciągle konieczny. Byłam jedyną osobą, która miała bezpośredni kontakt i z Ochorowiczem, i z wami. Będąc w obu drużynach wyścigu po rękopis, miałam największe szanse na to, by dotrzeć do listy agentów i zniszczyć ją, zanim zobaczy ją ktokolwiek inny. Ale po wyjeździe do Paryża Ochorowicz przestał mi ufać. Porwał mnie i oskarżył, że z wami współpracuję...

- Może się wtrączę - odezwał się po raz pierwszy profesor Geist, w jego słowach nie było śladu akcentu, którego używał udający go Teodor Ochorowicz - i coś wytłumaczę. - Wszyscy spojrzeliśmy na Geista. - To, co Teodor Ochorowicz mówił panom o mnie w Paryżu, było bliskie prawdy. Tym niezwykle hojnym Polakiem był Julian Ochorowicz, on też włączył mojego pradziadka do sprzysiężenia. Miało to być kolejne zabezpieczenie rękopisu. My, Geistowie, staliśmy się strażnikami sekretu. Przez trzy pokolenia coraz bardziej udoskonalaliśmy system zabezpieczeń skarbu Bolesława Prusa. Ja byłem ostatnim ze strażników. I to ja sam przygotowałem skrytkę, którą państwo widzieli w Wilanowie. Jestem specjalistą od laserów i zabezpieczeń. Pracowałem dla kilku potężnych banków, między innymi w Szwajcarii...

- Ale skąd pan miał nasze odciski palców? - Andrzej prawie wstał z krzesła. - Przeciż nigdy się nie spotkaliśmy.

- To prawda - profesor Geist uśmiechnął się szeroko i upił łyk herbaty - ale jest bardzo proste wytłumaczenie. Czy mówi państwu coś nazwa „Hołd Bolesławowi Prusowi”?

- Dostałem list z tej fundacji około pięciu lat temu - odezwał się profesor Jordanek - informowali mnie, że rozpoczynają publikację pisma poświęconego twórczości Bolesława Prusa. Pismo miało być bezpłatne, wystarczyło tylko odesłać do nich wypełniony formularz zgłoszeniowy. Pamiętam, że to zrobiłem, ale pismo nigdy nie przyszło.

- Czy ktoś z państwa otrzymał podobne pisma? - profesor Geist uśmiechał się szelmowsko.

Głową kiwnęła Nina, a po niej Andrzej.

- Nie ma wśród nas Teodora - profesor pokiwał głową - ale on też dostał przesyłkę i odesłał ją z powrotem. W ten sposób uzyskałem państwa odciski, które później wprowadziłem do komputera w skrytce. Dwa dni temu odwiedził mnie Teo Ochorowicz. Nie wiem, jak wpadł na moje powiązanie ze sprawą, podejrzewam, że strzelał w ciemno. Groził mi. Udałem, że się go boję i na szczęście nie użył serum prawdy. Powiedziałem mu, że nie wiem, gdzie jest skrytka, bo wykonałem zabezpieczenia dla tajemniczego zleceniodawcy z Polski. W ten sposób dowiedział się o zamku uruchamianym odciskami palców. Zostawił mnie związanego. Ukradł mi komórkę i podszył się pode mnie. Dopiero wczoraj wieczorem policja uwolniła mnie z więzów. Tłumaczyli, że dostali telefon z Polski od bardzo zaufanej osoby, która prosiła ich o sprawdzenie co się ze mną dzieje. Uwolniony, od razu zadzwoniłem do generała Skorlińskiego, z którym kiedyś współpracowałem przy sprawie kradzieży intelektualnej. Chodziło o lasery. Mniejsza z tym.. Generał Skorliński zaprosił mnie do Polski.

Przybyłem wczoraj wieczorem. Spod lotniska zabrał mnie radiowóz. Ten sam, który przywiózł znakomitego profesora Ziębę.

- Wróć może do mojej opowieści - powiedziała Nina - w mojej relacji z porwania pominęłam tylko dwie rzeczy. Rozmowę z Ochorowiczem na temat tego, że przestał mi ufać i jego rozkaz, żeby po tym jak przetrzymam panów w ministerstwie do wpół do drugiej, odjechać z Rafałem Piekalkiewiczem czarnym oplem vectrą. Na szczęście, zjawili się panowie, kiedy podjeżdżał już po mnie i wybawili mnie od towarzystwa tego człowieka. Nie mówiłam nic panom o podstępie Ochorowicza, bo wiedziałam, że jest śledzony przez naszych agentów i nie wymknie się nam. No i, opóźniając trochę panów przyjazd do skrytki, miałam nadzieję, że moi koledzy zdołają zniszczyć listę, jeśli tam będzie. Dalsze wydarzenia państwo znają. Jeszcze raz przepraszam.

- Jednej rzeczy nie rozumiem - odezwał się pan Tomasz. - Jak państwo trafili na ślad Ochorowicza? Czy to był przypadek?

- Oczywiście, że nie - tłumaczyła Nina. - Ochorowicz to bardzo pyszny człowiek. Powiedział mi, gdzie szukać informacji, które mogą na niego naprowadzić i w ten sposób „trafiliśmy” z Andrzejem na niego. Ale tak naprawdę chciał się spotkać z panem, panie Tomaszu, spróbować swoich sił, sprawdzić, czy jest na tyle dobrym aktorem, że zdoła pana oszukać występując raz jako profesor Geist, a raz jako Teodor Ochorowicz. Chciał także uzyskać oczywiście czwartą blaszkę. Obie te rzeczy, jak panowie wiedzą, udały mu się.

- Chyba jednak nie do końca... - wtrącił się generał Skorliński. - Nigdy byśmy się nie zjawili w Wilanowie, gdyby nie telefon pana Tomasza.

- Kluczowa była sprawa rękawiczek - odezwał się mój szef, a oczy wszystkich zwróciły się na niego - Na ten trop wpadłem jednak dopiero dzisiaj, kiedy otrzymałem informacje od profesora Zięby. Ale po kolei. Najpierw był Piekalkiewicz. Podejrzywałem go od początku. Nie podobało mi się to, że tak ochoczo zgodził się nam pomóc, skoro najpierw zbył Andrzeja. Poza tym był jeszcze jeden ważny ślad. Z przesłuchania, które po napadzie na nas w gabinecie profesora Jordanka przeprowadzili ludzie generała, wynikało, że Piekalkiewicz nie widział człowieka, który zaraz po jego wizycie wpadł do gabinetu i postrzelił Pawła. Podzieliłem się moimi wątpliwościami z generałem Skorlińskim, który objął Piekalkiewicza obserwacją.

Profesor jednak był bardzo sprytny i policjantom nie udało się zauważyć nic podejrzanego. Obserwowany umiał zawsze zgubić ogon i uciec, a przecież nie mieliśmy na niego żadnych dowodów. W zachowaniu tak Piekalkiewicza, jak i Czarnego Cylindra dało się jednak wyczuć, że nie działa on sam. Pojawiał się zawsze w doskonałym momencie i sprawiał wrażenie człowieka, który bezwzględnie wykonuje wcześniej przygotowany plan. Na przykład kiedy ścigaliśmy go w drodze powrotnej z Ćmielowa, kiedy udało się nam go dogonić, spanikował i jego zachowanie nie miało w sobie ani śladu genialnej improwizacji, której można było się spodziewać po twórcy genialnych planów, które tylko Piekalkiewicz wykonywał. Założyłem więc, że jest ktoś drugi, kto pociąga za sznurki. Nie wiedziałem jednak, jak trafić na jego trop.

- Udało mi się to dopiero w Paryżu. Kiedy zobaczyłem profesora Geista, a właściwie Ochorowicza, który go udawał, człowiek ten wydał mi się znajomy. Moje podejrzenia podsycił jeszcze fakt, że kiedy wspominałem o blaszkach, Ochorowicz, teraz to widzę, popełnił błąd i nie udał, że słyszy o nich pierwszy raz. To mi dało do myślenia. Przez całą drogę z Paryża usiłowałem przeniknąć rolę Geista, ale nie udało mi się to. Zadzwoiłem tylko do kolegi z francuskiej policji i poprosiłem go, żeby sprawdził, co robi profesor Geist i jeśli zachowywałby się podejrzanie,

zalecałem jego obserwację. Nie pomyliłem się!

- Jeszcze raz dziękuję panie Tomaszu - odezwał się prawdziwy Geist.

- Po powrocie do Polski od razu wpadliśmy w wir wydarzeń i te rozmyślania musiałem odłożyć na potem - kontynuował mój szef - Podczas odwiedzin u Ochorowicza znów doznałem niejasnego uczucia, że skądś znam tego człowieka. Ale dopiero twoja dzisiejsza, Pawle, uwaga, o białych rękawiczkach sprawiła, że wszystko zrozumiałem. Ochorowicz i Geist był tą samą osobą. A poznałem go podczas jednej z moich wizyt u profesora Zięby, z którym znamy się od długiego czasu. Zostaliśmy nawet sobie z Ochorowiczem przedstawieni i zapamiętałem wtedy, że miał na rękach czarne rękawiczki bez palców, którymi, jak się teraz dowiedzieliśmy, maskował ślad wypalony przez blaszkę. Skojarzyłem to z profesorem Geistem, którym nosił rękawiczki, rzekomo z powodu uczulenia i z Ochorowiczem, który wymyślił bajeczkę o włamywaczu, który go zranił, żeby móc zamaskować wypalone znamię. Zadzwoiłem do profesora, który potwierdził moje przypuszczenia. Zgodził się też na konfrontację z Ochorowiczem. Teodor był prawdziwym spryciarzem i działał na dwa fronty. Kiedy on i Piekalkiewicz obezwładnili nas w skrytce i weszli do środka, upodobnił się szybko do Geista. Piekalkiewicz go związał i zostawił w skrytce. Przekonał pewnie swego zmanipulowanego współnika, że w ten sposób na pewno wejdą w posiadanie rękopisów. Jeśli Piekalkiewiczowi udałooby się uciec, Ochorowicz jako Geist żałowałby straty, odjechał do Paryża i tam znów spotkał się ze współnikiem i sprzedał rękopisy za bająńską sumę. Jeżeli natomiast Piekalkiewicz zostałby schwytany, do czego doszło, bezcenny rękopis też wpadłby w jego ręce, jako strażnika skrytki. Wówczas Ochorowicz, już bez współnika udałby się do Rio de Janeiro. Piekalkiewiczowi oczywiście opowiedział pewnie bajeczkę o tym, że wyciągnie go z więzienia i razem dokończą dzieła. Na szczęście Ochorowicz się przeliczył. Nie spodziewał się, że z Paryża przybędzie prawdziwy profesor Geist i że ja zdołam wpaść na jego trop. Już w skrytce wiedziałem kim jest człowiek, który podaje się za Geista, chciałem jednak, żeby konfrontacja na oczach policji ostatecznie zdemaskowała Teodora Ochorowicza - pan Tomasz zamyślił się - Trochę mnie rzeczywiście oszukał ten „wilk w owczej skórze”, ale jak mówi stare przysłowie: nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka.

Salonik starszej pani wypełnił się pogodnym śmiechem.

ZAKOŃCZENIE

Największy wpływ nasza przygoda miała na życie profesora Geista. Na jego prośbę zabraliśmy go na wycieczkę po Polsce. Pokazaliśmy mu nie tylko Warszawę, Kraków, Zakopane, Górny i Dolny Śląsk, Warmię, Mazury oraz Trójmiasto, ale także mniej uczęszczane przez turystów miejsca.

Właśnie w jednym z takich miejsc, gospodarstwie agroturystycznym w środkowej Polsce, doszło do pewnej brzemiennej w skutki rozmowy.

Siedzieliśmy na ławce przed krytą strzechą wiejską chatą, trzymając w rękach gliniane kubeczki ze zsiadłym mlekiem, które przed chwilą przyniosła nam gospodyni. Profesor nie przypominał zupełnie naukowca, którego spotkaliśmy tydzień temu w dziwnym domu. Miał na sobie krótkie spodenki i koszulkę z napisem: „Kocham Kraków”, zakupioną trzy dni wcześniej w Sukiennicach. Na głowę włożył chusteczkę związaną w supełki w czterech rogach. Na jego szyi wisiał cyfrowy aparat. Pan Tomasz, kiedy po raz pierwszy zobaczył go w tym stroju, powiedział, że profesor wygląda jak „prawdziwy turysta” i że przypomina mu „wspaniałe czasy młodości”.

- Jak podoba się panu nasza wycieczka, profesorze? - zapytał szef.

- Jest pysznie! - Geist jeszcze nie do końca przyswoił sobie współczesną polszczyznę. - Dotychczas bywałem w Polsce tylko czasami, żeby naprawić albo unowocześnić sprzęt w kryjówce w Wilanowie. Te wizyty siłą rzeczy odbywały się nocą, tak że nie miałem okazji zobaczyć całego piękna rodzinnego kraju mojej prababki - Geist zapatrzył się na stojące w pobliżu płaczące wierzby, zwieszające gałęzie nad leniwie płynącą Wisłą, potem wyciągnął się z uśmiechem na ławce i pociągnąwszy łyk zsiadłego mleka, westchnął - powiem panom, że zupełnie nie chce mi się teraz wracać do Paryża!

- To może zostanie pan w Polsce? - Pan Samochodzik kuł żelazo póki gorące.

- Myśli pan, że miałbym szansę urządzić się tu? - zapytał niepewnie profesor.

- Ależ oczywiście. Pana błyskotliwy intelekt na pewno przysłużyłby się polskiej nauce!

Po powrocie do Warszawy profesor Geist był już zdecydowany. Pojechał jeszcze tylko na dwa tygodnie do Paryża, żeby pozamykać swoje francuskie sprawy i załatwić przeprowadzkę.

Ulokował się na Mokotowie, bo podobno jego prababka mieszkała właśnie w tej dzielnicy, zanim wyemigrowała do Francji. Tak jak przypuszczał pan Tomasz, profesora Geista przyjęto na Uniwersytecie Warszawskim i Politechnice z otwartymi rękami.

Po kraju szybko rozniosła się wiadomość o skrytce, którą zbudował pod Wilanowskim parkiem, a gdzie teraz przechowywano największe skarby muzeum, mieszczącego się w dawnej siedzibie króla Jana III Sobieskiego. W krótkim czasie zasypała go lawina listów słanych ze wszystkich muzeów w Polsce. Ich kustosze prosili go o konsultacje i rady w sprawie zabezpieczeń zabytków, a profesor oczywiście nikomu nie odmawiał.

Zaproszono go też do udziału w pracach przy Centrum Nauki „Kopernik”, które powstaje na Powiślu, w tym samym miejscu, gdzie w czasach Wokulskiego znajdował się „chory kąt”, najbiedniejsza dzielnica Warszawy.

Wydawać by się mogło, że w nawale zajęć profesor nie znajdzie czasu na nic innego niż kilka

godzin snu i posiłki. Widać jednak tak dogłębnie poznał prawa fizyki, że potrafił nagiąć czas do swoich celów i zrealizował jeszcze jeden pomysł. Powołał fundację „Hołd Prusowi”, której statutowym celem jest organizowanie co cztery lata Dni Prusowskich i wydawanie czasopisma „Lalka”. W pierwszym numerze tego periodyku ukazała się obszerna relacja z poszukiwań rękopisu dwóch ostatnich rozdziałów „Lalki”.

Andrzej Węgiełek i profesor Czesław Jordanek piszą książkę. Roboczy jej tył brzmi; „Dwa ostatnie rozdziały »Lalki« Prusa. Próba rekonstrukcji.” Chcą w niej opisać dzieje naszej przygody, a także zebrać dowody, że rękopis Prusa nie był tylko zbiorową halucynacją, że naprawdę istniał. Mają zamiar dokładnie zarysować tło epoki i wyjaśnić sprawę tajemniczej listy opisanej w zapiskach zesłańca. Ostatnio do naszego departamentu wpadł Andrzej z kilkoma kartkami maszynopisu. Pierwsza lektura tekstu zapowiada wielkie dzieło. No i może wreszcie Andrzej zrobi doktorat?

Nina zrezygnowała z pracy w Interpolu. Wjechała na Syberię badać dzieje polskich zesłańców. Jeździ od miasta do miasta, z guberni do guberni i przetrząsa przepastne rosyjskie archiwa. A że ma dobre kontakty z poprzedniej pracy, udaje jej się dotrzeć do dokumentów, których nie widział jeszcze żaden polski badacz. Z każdego miasta Nina przysyła kartki z pozdrowieniami i wiadomościami co u niej słychać. Nieodmiennie na takiej kartce widać zaśnieżone miasto, nad którym góruje złota kopuła cerkwi.

Kiedy przeczytałem ostatnią kartkę od Niny, poczułem ukłucie w sercu. Dziewczyna pisała, że w jednym z miast w pobliżu granicy z Chinami poznała młodego geologa z Oxfordu Johna Macintosha. Po kilku tygodniach znajomości chłopak się jej oświadczył, a ona przyjęła od niego zaręczynowy pierścionek. Jadą teraz badać teren, gdzie spadł meteoryt Tunguski. Pisała, że zaproszenia na ślub dośle później.

- Szkoda ci, że to nie ty staniesz z nią na ślubnym kobiercu? - zapytał pan Tomasz, a kiedy nie odpowiedziałem, rzekł. - Widzisz Pawle, nad naszym departamentem ciąży klątwa... - szef zauważył moje zainteresowanie i zawiesił teatralnie głos, a potem dokończył: - Kto się tu zatrudnia, skazany jest na starokawalerstwo - dodał ledwie powstrzymując się od śmiechu.

Roześmiałem się i podniesiony trochę na duchu, dołączyłem do pana Tomasza, który pochylony nad mapą Rosji, wygrzebaną gdzieś z szafy planował już trasę, którą pojedziemy wehikułem na pierwsze w życiu wesele za kołem polarnym.

W sprawie Teodora Ochorowicza i Rafała Piekalkiewicza warszawska prokuratura wszczęła śledztwo i kilka tygodni później, kiedy wszyscy rodzice nacieszyli się zwróconymi im dziećmi, a my trochę odżałowaliśmy stratę rękopisu, wszyscy uczestnicy wydarzeń związanych ze sprawą Prusa zbrali się znowu na sali sądowej.

Rozpoczął się proces Ochorowicza i Piekalkiewicza. Prokurator żądał piętnastu lat więzienia dla Teodora Ochorowicza i dwóch lat w zawieszeniu i przymusowego leczenia psychiatrycznego dla profesora Piekalkiewicza. Na sali brakowało tylko dwóch osób. Nie dziwiłem się spóźnieniu Andrzeja, tego można się było po nim spodziewać, ale że nie przyszedł pan Tomasz?

Andrzej wpadł na salę jak burza. Przysiadł się do mnie i wsunął mi w rękę gazetę:

- Patrz - rzucił wskazując na ogłoszenie.

„Sprzedam pakiet listów Norwida. Spotkanie dziś o 13.00 w kawiarni »Daily Cafe« na Nowym Świecie. Będę w czarnym kapeluszu” - przeczytałem.

- Chodź - szepnęła Andrzej - po moim ostatnim spotkaniu z Ignacym „Ochorowiczem” Rzeckim

boję się odpowiadać na takie ogłoszenia samotnie.

Czarny kapelusz zobaczyliśmy od razu. Facet siedział na piętorku, odwrócony plecami do wejścia.

Kołnierz płaszcza miał wysoko postawiony. Znad ronda unosił się dym z papierosa. Podeszliśmy do niego powoli, prawie się skradając, wywołując zdziwienie kelnerki. Kiedy stanęliśmy za plecami tajemniczego osobnika, ten odwrócił się. Szkoda, że nikt nam nie zrobił wtedy zdjęcia, bo musieliśmy mieć nietęgą minę, kiedy osobnik w czarnym kapeluszu ukazał nam twarz mojego szefa:

- I co, chłopcy - Pan Samochodzik uśmiechnął się szeroko - czy nasza ostatnia przygoda nie nauczyła was, żeby nie ufać gazetom?